

Zbigniew Nienacki

Nowe przygody Pana Samochodzika

ROZDZIAŁ PIERWSZY [\[top\]](#)

SPOTKANIE U PRZEPRAWY • PAN, KTÓRY ZNA SIĘ NA WSZYSTKIM • PIERWSZA PRZYGODA • GANG CZARNEGO FRANKA • TCHÓRZ • BIAŁY JACHT • JEGO WYSOKOŚĆ KSIĄŻĘ SPINNINGU • TAJEMNICZY LIST • KIM JEST KAPITAN NEMO • SZARY ŚLIZGACZ

Na początku lipca w pachnącej skwaśniałym piwem gospodzie ludowej „Nad Jeziorakiem” zebrało się bardzo liczne towarzystwo. Prom, który na drugą stronę, dość wąskiego w tym miejscu, jeziora przewoził samochody i podróżnych, był właśnie zepsuty i obiecywano go uruchomić nie wcześniej niż za godzinę, więc kto tylko nadjechał albo natychmiast wracał, decydując się nadrabiać czterdzieści kilometrów drogi wokół jeziora, albo też pozostawał, czekając na naprawę. W chłodnym wnętrzu gospody pił piwo lub oranżadę, jadł kielbasę z musztardą, nic bowiem innego do picia i do jedzenia tam nie było.

Mój wehikuł zajmował drugie miejsce w niezbyt długim rzędzie samochodów stojących na podjeździe do promu. Wyprzedzała mnie stara, zdezelowana ciężarówka z jakiegoś mazurskiego pegeeru, którą przyjechała dwunastoosobowa grupa chłopców i dziewcząt. Z początku sądziłem, że młodzież ta jedzie do prac polowych, ale po chwili widząc jak zdejmują z samochodu plecaki, pogniecione menażki i poobtlukiwane kociołki, zorientowałem się, że grupa ta przyjechała autostopem na wyraj nad Jeziorak. Zapewne dopiero co rozpoczęli swoją letnią włośćkę, bo mieli jeszcze pieniądze; obsiedli jeden wielki stół w gospodzie i obficie raczyli się piwem, hałasując przy tym i używając niewybrednego słownika uliczników.

Tuż po mnie nadjechały dwa osobowe samochody: syrena i wartburg z warszawskimi rejestracjami. Przykręcony do dachu syreny bagażnik aż ugiął się pod ciężarem sprzętu kempingowego: worków ze śpiworami, namiotami, nadmuchiwanymi materacami. Wartburg zaś ciągnął za sobą dwukółkę, na której spoczywała nieduża łódka. Mimo przebytej drogi samochody lśniły czystością, a łódka wyglądała na jeszcze nie używaną. Z syreny wysiadła para w średnim wieku: on — szczupły, szpakowaty, z zaferowaną, a jednocześnie dumną miną „niedzielnego kierowcy”, który po raz pierwszy w życiu odbył własnym samochodem aż tak wielką trasę: z Warszawy na Mazury, ona — wysoka, chuda, w okularach, przypominająca starą Angielkę z filmowych komedii. Z wartburga wytoczyła się korpulentna pani, a zza kierownicy wysiadł gruby starszy pan z wąsikami i straszliwym marsem na czole.

Jego widok mógł wywołać paroksyzm śmiechu u każdego obywatela. Nosił bluzę, jaką nabyć można w zagranicznych sklepach rybackich, upstrzoną dziesiątkami mniejszych i większych kieszonek. Podobnie bogate w kieszenie miał spodnie. A ponieważ wszystkie kieszenie były wypchane, wydawało się, że osobnik ten jest jakby miniaturą wielkiego domu towarowego; można by się u niego zaopatrzyć nie tylko w szpulę nici żadanego koloru, ale i w igłę żadanej grubości, każdy rodzaj haczyka do wędki, kamienie do zapalniczek, sznurki, żyłki, składane wieszaki do ubrania, sprężynki do

spinningu, nożyczki, sznurowadła do butów, tasiemki, agrałki i tym podobne akcesoria, łącznie z zapasowymi śledziami do namiotu.

Miałem niemal pewność, że pan ten przez dwa tygodnie przygotowywał się starannie do urlopu, uwzględniając każdą sytuację, jaka mu się może przydarzyć na kempingu. A więc w lewej górnej kieszeni nosił na pewno zapalniczkę na benzynę wraz z zapasowymi kamieniami. Na wypadek gdy benzyna się wyczerpie, w prawej dolnej kieszeni trzymał zapalniczkę na gaz. A gdyby i ona przestała działać, w prawej górnej kieszeni krył pudełeczko zapalek. Byłem też przekonany, że gdy już rozbije swój namiot, okaże się, że właśnie zapomniał zabrać czegoś niezwykle ważnego i nieodzownego.

U szerokiego pasa wisiał mu przyrząd stanowiący skrzyżowanie toporka z piłą, saperką, młotkiem i nożem fińskim. U drugiego boku kołysał się na łańcuszku ogromny scyzoryk o kilku ostrzach i jakiś składany aparat, którego przeznaczenia nie znali chyba sami producenci. Na przegubie lewej ręki nosił zegarek, a na przegubie prawej tkwiła busola. Na nogach miał papucie wełniane ręcznej roboty ze specjalnie przyszytymi podeszwami.

Gdy tylko wysiadł z wozu, żona podała mu buty. Pan spojrzał najpierw na zegarek, potem na busolę.

— Jedziemy w prawidłowym kierunku — rzekł do pary z drugiego wozu. A potem zdjął papucie i wzuł trzewiki.

— Uważam — rzucił pod adresem szpakowatego pana, zapewne swego przyjaciela — że twoja żona również powinna ci uszyć podobne papucie. Gdy prowadzisz samochód i trzymasz nogę na gazie, nie męczy ci się stopa. O nogi należy dbać podczas podróży. Pamiętaj: na kempingu noga rzecz najważniejsza. Na obolałych nogach niczego nie zdziałasz.

Mówił to takim tonem, jakby przyszedł tu z Warszawy pieszo, a nie przyjechał samochodem.

Gdy dowiedział się, że prom będzie czynny nie wcześniej niż za godzinę, srogi mars na jego czole jeszcze bardziej się pogłębił. Wspólnie ze swoją małą gromadką wkroczył do gospody ludowej, głośno przemawiając do przyjaciela:

— Pamiętaj, Kaziu, że podczas upału nie wolno pić piwa ani oranżady, gdyż to tylko wzmaga pragnienie. Należy pić albo czarną kawę, albo gorzką, mocną herbatę.

Urwał, zobaczył bowiem mnie, siedzącego przy stole i zapijającego oranżadą kiełbasę z musztardą.

— O, właśnie — wskazał mnie palcem — ten pan nie ma doświadczenia turystycznego. Będzie przez cały dzień odczuwał narastające pragnienie.

Bezradnie rozłożyłem ręce.

— Niestety, szanowny panie, w tej gospodzie nie ma ani czarnej kawy, ani gorącej herbaty.

Oko grubego pana błysnęło triumfująco.

— Słyszycie? — zawołał do swej gromadki. — Oto przykład braku doświadczenia turystycznego. Co bowiem cechuje prawdziwego turystę? Otóż cechuje go przezorność. Prawdziwy turysta wozi ze sobą w jednym termosie czarną kawę, a w drugim gorącą herbatę. Miła Myszko — zwrócił się do żony — czy możesz nas poczęstować herbatą?

Z uznaniem pokiwałem głową i uśmiechnąłem się życzliwie do „doświadczonego turysty”. Uważam ten gatunek ludzi za dość denerwujący, ale dla przyrody są oni zupełnie nieszkodliwi. Jeszcze się nie zdarzyło, aby taki pedantyczny i dokładny turysta

pozostawił na swym kempingu nie zakopane puszki po konserwach albo zaproszył ogień w lesie.

Pan Anatol — takim imieniem zwali go żona i przyjaciele — zagarnął swoją gromadkę do sąsiadującego z moim stołu i począł raczyć ich napitkiem z termosu. A ponieważ życzliwie odniosłem się do jego słów, nawet przede mną postawił plastikowy kubeczek z herbatą.

— To chyba pański samochód stoi przed gospodą? — zapytał mnie uprzejmie i nie czekając na odpowiedź oświadczył: — Sam pan go zbudował, prawda? Od razu, na pierwszy rzut oka widać, że zrobiony został na silniku motocyklowym. Szybkość zapewne ma bardzo ograniczoną, ale zawsze to cztery kółka i na rybki można się wybrać.

Nie zaprzeczyłem. Nie chciałem pozbawić go wrażenia, że jest znawcą motoryzacji. Stanowił klasyczny typ „besserwisera”¹¹, wdać się z nim w dysputę, znaczyło — obrazić go śmiertelnie.

Od dalszej rozmowy z panem Anatolem uratowało mnie wejście siedemnastoletniej dziewczyny, która przed gospodę zajechała na rowerze. Była to ładna, szczupła blondynka z grubym, jasnym warkoczem na plecach. Do bagażnika roweru przytroczoną miała odrapaną walizkę. Wyglądała na osóbkę, która pierwszy raz w życiu samodzielnie wyruszyła na wczasy.

Jej wejście powitał ryk popijających piwo wyrostków.

— O, nowa laleczka! — wrzeszczeli. — Dzieweczko, chodź do nas. Przysiądź się do wesolej kompanii. Z nami nie zginiesz, laleczko! Chodź do nas, Czarny Franek cię zaprasza.

Na ustach dziewczyny pojawił się pogardliwy grymas, jej twarz spochmurniała. W odpowiedzi na wrzaski wyrostków wrzuciła ramionami i skierowała się do mojego stołu, jedyne z resztą z wolnymi miejscami.

— Czy mogę się przysiąść? — zapytała.

A kiedy skinąłem głową, usiadła na brzeżku krzeselka. Z przewieszanej przez ramię torby wyjęła dwie kanapki owinięte w bibułki, rozłożyła posiłek na stole i podeszła do bufetu, aby zamówić coś do picia.

Banda wyrostków ciągle nie dawała jej spokoju, gestami i wrzaskiem zapraszając dziewczynę do swego stołu. Nie reagowała na ich zaczepki, wzięła od bufetowej butelkę oranżady i wróciła z nią do mego stołu.

— To pani znajomi? — zagadnąłem ją.

Spojrzała na mnie zdumiona.

— Nie znam ich w ogóle.

Chciałem zapytać, z jakiego miasta przyjechała, ale w tym momencie od stołu wyrostków podniósł się chłopak z ogromną czarną czupryną, która upodabniała go do kruka z rozpostartymi skrzydłami. To był chyba ów Czarny Franek.

Podszedł do nas, kołysząc się jak marynarz, z rękami głęboko wsuniętymi w kieszenie brudnych dżinsów.

— Czemu nie słuchasz naszych głosów, laleczko? — zagadnął dziewczynę pochylając się ku niej. — Jest nas trzynaście osób, a trzynastka, jak wiesz, to feralna liczba. Ty byłabyś czternasta.

— Nie życzę sobie waszego towarzystwa — burknęła dziewczyna.

Czarny Franek aż wyprostował się, jakby go ktoś dźgnął w plecy.

— Tylko nie podskakuj — warknął. — Chyba słyszałaś o gangu Czarnego Franka?

— Nie słyszałam — odpaliła.

Z ubolewaniem pokiwał głową.

— Znaczy się, panienka gazet nie czytuje, niewykształcona osóbką. Bo w „Ekspre-siaku” duży artykuł wydrukowali o gangu Czarnego Franka z Ochoty. Że niby spokoju przez nas nie ma w całej dzielnicy. To ja jestem Czarny Franek, rok poprawczaka mam za sobą — powiedział z taką dumą, jak żołnierz o bojowych odznaczeniach.

Dziewczyna znowu lekceważąco wzruszyła ramionami, co mocno ubodło chłopaka, tym bardziej że cała banda przysłuchiwała się ich głośnej rozmowie.

Śliczna ruda dziewczyna w bluzeczce o pałacej jak ogień czerwieni z niezadowo-
loną miną obserwowała zachowanie się Czarnego Franka. Teraz pogardliwie wzdęła
wargi i krzyknęła:

— Daj jej spokój! Czy nie widzisz, że to prowincjonalna gęś?

Chłopak roześmiał się, do wtóru zabrzmiał ryk jego bandy.

— A więc panienka jest prowincjonalną gęsią? Ale teraz panienka już wie, kto ja
jestem. A skoro grzecznie zapraszam, to należy słuchać. No, jazda! — krzyknął i mocno
chwycił dziewczynę za ramię.

Podniosłem się od stołu.

— Stop, młody człowieku. Maszeruj na swoje miejsce i zostaw tę panią w spokoju.

Czarny Franek poczerwieniał z gniewu.

W gospodzie zapadła taka cisza, że usłyszałem szept pani Anatolowej:

— Błagam was, nie wtrącajcie się. To są chuligani...

Pan Anatol rozejrzał się dookoła bezradnie. Widać było, że ma wielką ochotę dać
folgę swoim przyzwyczajeniom do pouczenia wszystkich. Teraz była ku temu szcze-
gólna i może właściwa okazja. Ale zobaczył ponure, zacięte miny wyrostków i chyba
tchórz go obleciał.

Odwrócił się do mnie plecami, jakby dając wszystkim do zrozumienia, że on się do
niczego nie wtrąca.

„Tchórz” — pomyślałem o nim z pogardą. I natychmiast straciłem całą sympatię dla
niego i jego nauk.

A dziewczyna? Zauważyłem, że przybladła. Później zerknęła na mnie, rzuciła spoj-
rzenie na Czarnego Franka. I raptem zrobiła coś, co wprawilo mnie w bezbrzeżne zdu-
mienie. Wstała od stołu i powiedziała do chłopaka:

— Ostatecznie mogę się do was przysiąść. Nawet ciekawa jestem, co z was za
kompania...

I poszła do ich stołu, gdzie cała banda przywitała ją nieludzkim wrzaskiem. Czarny
Franek skrzywił twarz w grymasie pogardy i odchodząc za dziewczyną, rzucił w moją
stronę:

— No i po co pan się wtrąca, panie starszy?

Poczerwieniałem.

— Taka jest ta dzisiejsza młodzież — mruknął głośno pan Anatol.

Drobnym truchcikiem przydreptała do mnie bufetowa w brudnym fartuchu.

— O Boże, jaki pan nieostrożny — złożyła modlitewnie ręce i oparła je na wydat-
nym brzuchu. — Przecież mogła z tego wyniknąć straszna awantura. Ja ich znam, tę
bandę Czarnego Franka. Oni tu już byli w ubiegłe lato, cały miesiąc grasowali nad Je-
ziorakiem, zanim ich milicja nie uspokoiła. A co szkód narobili! Kilka łódek ukradli i roz-
wlekli po całym jeziorze, wybierali rybakom ryby z sieci. A tak przy tym sprytnie to robili,

że milicja nie potrafiła im niczego udowodnić i nie mogli ich zamknąć w kryminale. Teraz znowu tu wrócili. O, niewesołe się nam lato zapowiada. Wystraszą turystów i zarobki będą mniejsze.

Uważniej niż dotąd popatrzyłem na wrzeszczącą gromadę. A więc nie była to po prostu banda rozwyrzonych chłopaków i dziewcząt, ale już przestępcy. Gang łobuzów i chuliganów, a nawet złodziejasków. A przecież żaden z nich nie miał więcej niż siedemnaście lat. Czarny Franek wyglądał nawet trochę młodziej.

„Co skłoniło chłopaka do wkroczenia na taką drogę?” — zastanawiałem się. Albo ta ruda dziewczyna w czerwonej bluzeczce. Prezentowała bardzo subtelny typ urody, dłonie miała delikatne, włosy starannie uczesane, nosiła eleganckie sztruksowe spodnie. Wyglądała, jak to się kiedyś mówiło, na „panienkę z dobrego domu”. I skąd ona znalazła się wśród tego wilczego stada?

Wrzask wyrostków nagle ucichł. Któryś z chłopaków zobaczył przez okno, że do brzegu przybija duży, biały jacht. Cała banda natychmiast wypadła z gospody. Blondynka z warkoczem także wyszła z nimi na brzeg. Wyglądało na to, że świetnie się czuje w nowej kompanii.

— Uff — głośno, z ogromną ulgą odsapnął pan Anatol. I zaraz obudziła się w nim ochota do pouczeń.

— Najlepiej trzymać się od nich z daleka — odezwał się do mnie. — Na szczęście Jeziorak to bardzo duże jezioro i można będzie jakoś unikać spotkania z nimi. A swoją drogą, dlaczego milicja nie zrobi porządku z takimi łobuzami?

Rozgniewało mnie to gadanie. Byłem na niego zły za tchórzostwo.

— Najbliższy posterunek milicji jest, o ile wiem, o piętnaście kilometrów stąd. A zresztą milicja nie może być wszędzie i nie trzeba jej wzywać w wypadku każdego grubiaństwa. Wystarczy, jeśli obywatele właściwie zareagują w odpowiednim momencie, zamiast odwracać się plecami, gdy widzą zło.

Obraził się. Jego żona pośpieszyła mu z odsieczą.

— Uważamy — powiedziała — że każdy powinien pilnować swojego nosa. Co pana obchodziła ta dziewczyna? Wtrącił się pan i kto wie, czy nie doszłoby do bójk. A ta dziewczyna okazała się nie lepsza od tamtych.

Wzruszyłem ramionami. Uważałem, że postąpiłem słusznie, niezależnie od tego, jak zachowała się blondynka z warkoczem. Ale nie miało sensu przedłużanie dyskusji z panią Anatolową. Udałem, że i mnie zainteresował jacht przybijający do brzegu i przesiadłem się bliżej okna.

Jacht był piękny — biały, wysmukły. Motorowo-żaglowy. W tej chwili przyplłynął na motorze. Pórnagi, brodaty mężczyzna zarzucił cumę na pal, a młoda kobieta wysunęła z jachtu drewniany trap. Potem z kabiny wyszedł młodzian mający na oko około dwudziestu dwóch lat — chudy, blady, wymoczkowaty. W jego sylwetce nie było nic ze sportowca-wodniaka, choć na głowie nosił czapkę jacht-klubu i był chyba kapitanem jachtu.

Te trzy osoby stanowiły całą załogę jachciku. Po trapie przemaszerowali na brzeg i skierowali się do gospody. Banda wyrostków przyglądała się przybyszom w niemym zachwycie, zapewne ów jacht bardzo im zaimponował. Wymoczkowaty młodzian dostrzegł ten zachwyt, wyprostował się dumnie i odtąd starał się iść rozkołysanym krokiem starego wilka morskiego.

Do gospody wkroczyli gęsiego. Na przedzie wymoczek, za nim młoda kobieta, na końcu zaś półnagi Brodacz. Młoda kobieta nie odznaczała się urodą, ale nosiła piękny kostium kąpielowy. Skórę miała opaloną, kontrastowały z nią utlenione na biało włosy. Lecz mimo, że przypląnęła na jachcie, dałbym sobie głowę uciąć, że jej opalenizna powstała od promieni solluxu. Wyglądała, jakby dopiero wczoraj wsiadła na jacht. Upewniłem się co do tego jeszcze bardziej, gdy zobaczyłem jej straszliwie długie i starannie wymalowane paznokcie. Z takimi paznokciami nie rozpina się żagla ani nawet nie gotuje posiłków na wodniackim szlaku.

Tylko półnagi Brodacz robił wrażenie sportowca-wodniaka, choć nie nosił białej czapki, lecz wyszarzałą od słońca dzokejkę. Przez opalone, prawie czarne ramię przewieszoną miał kamerę filmową, z którą zdawał się nigdy nie rozstawać, jak operator kroniki filmowej.

Razem z nimi powróciła do gospody banda wyrostków. Dziewczęta i chłopcy opanowali już swój zachwyty dla jachtu i zaczęli się prześcigać w zaczepkach wobec przybyłych. Nie były to jednak ordynarne okrzyki, a po prostu bardzo smarkaczowskie zawołania w rodzaju: „Panie, niech mnie pan sfilmuje!” „Ile kosztuje taki statek?” „Jak szybko się na nim płynie?” „Może nas państwo ze sobą zabiorą?”.

Przybyli nie reagowali na te zaczepki. Wymoczkowaty kapitan podszedł do bufetu i obwieścił gromko:

— Chcemy kupić dwie skrzynki piwa. Zapłacę za butelki i za skrzynki. Zabierzemy je na jacht, jest taki upał, że nawet na wodzie można ducha wyzionać z pragnienia.

Bufetowa miała na składzie tylko jedną skrzynkę z butelkami pełnymi piwa. Przyniosła ją z zaplecza i postawiła przed kapitanem. Ten skinął na Brodacza, aby odniósł skrzynkę. Zapewne Brodacz odgrywał na jachcie rolę służącego.

Gdy cała trójka ruszyła już w stronę drzwi, pan Anatol poderwał się nagle od stołu.

— Już wiem, skąd ja pana znam! — zawołał głośno w stronę wymoczkowatego kapitała. — Widziałem w gazecie pana zdjęcie. Pan jest „królem spinningu”.

— Tylko księciem, drogi panie. Tylko księciem — łaskawie skinął mu głową wymoczkowaty kapitan.

— Nie, nie. Pan jest prawdziwym królem — zaaferowany pan Anatol już spieszył w jego stronę. — To pan schwytał na spinning sandacza o wadze jedenastu kilogramów. Czy wolno mi, skromnemu rycerzowi spinningu, uściskać pana prawicę?

„Jego Wysokość” łaskawie podał mu swoją dłoń, ale skromność znowu kazała mu sprostować poglądy entuzjasty wędkarstwa.

— Złowiłem nie sandacza, lecz szczupaka o wadze trzynastu kilogramów, za co otrzymałem tylko srebrny medal, drogi panie. Stosując więc pana określenia, mam chyba prawo jedynie do tytułu „księcia spinningu”. Rekordzistką Polski w ubiegłym roku, a zarazem zdobywczynią złotego medalu jest jakaś dziewczyna, która tu właśnie, na Jezioraku, schwytała na spinning suma o wadze trzydziestu ośmiu kilogramów. Ona została „królową spinningu”, choć niektórzy kwestionowali jej prawo do tytułu. Bo niech pan sobie wyobrazi: młoda dziewczyna i ogromny sum o wadze trzydziestu dziewięciu kilogramów. To przecież nieprawdopodobne.

Pan Anatol aż złapał się za głowę.

— Słyszysz, Myszko? — zawołał do żony. — Szczupak o wadze trzynastu kilogramów. Sum o wadze trzydziestu dziewięciu kilogramów. Jakież wspaniałe wyniki osiągnęli niektórzy, łowiąc na spinning. Patrz, Kaziu, na pana! — krzyknął do przyjaciela. —

Oto jest książę spinningu. Podziwiał, ucz się, jak łowić ryby. Może i ty kiedyś zostaniesz księciem?

„Jego Wysokość” znowu łaskawie skinął głową, a entuzjazm pana Anatola doszedł do zenitu.

— Mości książę — rzekł do wymoczkowatego kapitana — czy wolno mi wiedzieć, w jakim celu przybył pan nad Jeziorak? Domyślam się, że będzie pan tutaj próbował łowić. Lecz czy wolno mi zaspokoić swoją ciekawość: na jaką rybę zamierza pan polować i w jakim miejscu?

Entuzjazm pana Anatola, a przede wszystkim jego uniżone ukłony wyglądały tak zabawnie, że wywołały nową falę drwin u bandy wyrostków. Ruda dziewczyna z błazeńską miną podeszła do księcia i złożyła przed nim dworski ukłon.

— O, jakże jestem zaszczyczona, mości książę, przebywając w tak wybitnym towarzystwie — powiedziała kpiąco.

Czarny Franek splunął na podłogę i burknął głośno:

— Co za arystokracja, psiakość! Królowie i książęta, panowie magnaci. A ja kicham na wasze arystokratyczne tytuły, na wasze spinningi. Łowię ryby, kiedy mi się podoba i jak mi się podoba. Zresztą — jeszcze raz splunął pogardliwie — pan nie jest żaden książę. Nazywają pana w Warszawie Wacek Krawacik, bo pana matka ma sklepik z krawatami w pawilonach na Marszałkowskiej. Kupiła panu ten jacht, którym się pan teraz rozbija po jeziorach.

Na te słowa wróciła do gospody blondynka z warkoczem. Dłużej niż inni podziwiała biały jacht. Usłyszała wypowiedziane przez Czarnego Franka przezwisko właściciela jachtu i roześmiała się głośno. A Czarny Franek — jak gdyby zazdrosny o sławę Wacka Krawacika — perorował dalej:

— Ryby głosu nie mają, więc nie powiedzą, co myślą o pana rekordach i medalach. Może mamusia kupiła na Targówku dużego szczupaka i ten medal ma pan od niej, tak jak i jachcik? Kicham na książęce tytuły. I zapewniam pana, że to ja będę królowała na Jezioraku, a nie pan, panie Krawacik.

Choć nie uważam się za psychologa, pomyślałem: „Zdaje się, że wiem, co tego chłopaka sprowadziło na złą drogę. Jest w nim przeogromna chęć imponowania innym. Nie potrafi im imponować w dobrym, robi to w złym”.

Łaskawość zniknęła z oblicza księcia. Zacisnął usta i burknął do Brodacza:

— Zabieraj tę skrzynkę z piwem i wracamy na jacht.

Udając, że nie dostrzega wyrostków, zwrócił się wyłącznie do pana Anatola. To jednak co mówił, skierowane było wyraźnie do Czarnego Franka.

— Pytał mnie pan o moje plany rybackie. Drogi panie, będę próbował na Jezioraku polować na sandacze. A mój przyjaciel — wskazał Brodacza — który jest filmowcem-amatorem, zamierza zrobić film o moich rzutach spinningiem. Nakręci krótki oświatowy film o tym, w jaki sposób łowię za pomocą błyszczki. Potem wyświetlimy ten film w naszym kole Polskiego Związku Wędkarskiego.

— Gdzie? Gdzie pan będzie łowić? — zapytał pan Anatol. — Chciałbym choć raz zobaczyć pana słynne rzuty. A może miejsce swoich łowisk okrywa pan tajemnicą?

Łaskawość znowu zagościła na obliczu księcia.

— Będę łowił koło Przylądka Sandacza — odparł.

— Nie mam pojęcia, gdzie to jest — zmartwił się rycerz spinningu. — Czytałem dokładnie przewodnik po Jezioraku, ale takiego przylądka tam nie było.

— Być może — przytaknął pan Krawacik. — Od pewnego znawcy Jezioraka kupiłem mapę z zaznaczonymi na niej łowiskami różnego rodzaju ryb. Ten znawca jeziora wykorzystał nazwy używane przez okoliczną ludność. Januszkę — obrócił się do Brodacza — czy nie mógłbyś przynieść z jachtu naszej mapy? Wskażemy panu, gdzie jest Przylądek Sandacza. Tego pana interesują moje rzuty...

Brodacz zbuntował się.

— Sam sobie przynieś tę mapę — burknął. — A zresztą, zdaje się, zapomnieliśmy zabrać ją z domu.

To powiedziawszy wziął z podłogi skrzynkę z piwem i mrużąc gniewnie pod nosem wyniósł się z gospody.

Autorytet księcia znowu uległ zachwianiu. Postanowił więc szybko zakończyć rozmowę.

— Przylądek Sandacza leży w północnej części Jezioraka. Tam mnie pan znajdzie. Mój jacht nietrudno zauważyć — dodał. I na pożegnanie wyciągnął rękę do pana Anatola, który uścisnął ją z ogromną uniżonością. A wtedy księżę i jego dama skierowali się do wyjścia.

W tym czasie do gospody wbiegł bosy wiejski chłopak i podał Czarnemu Frankowi jakąś kartkę. Zanim Czarny Franek zdążył ją przeczytać, chłopak już czmychnął z gospody.

Biały jacht odbijał od brzegu. Ale nikt z wyrostków tego nie oglądał. Czarny Franek wyszedł na środek gospody i wrzasnął na swoją bandę:

— Cicho hołota! Tu mi jakąś kartkę przyniesiono.

I przeczytał:

Jesteście bandą opryszków. Jeśli znów w tym roku spróbujecie grasować nad Jeziorakiem, pożałujecie tego. Rozprawię się z wami.
Kapitan Nemo.

Gospodę wypełniły okrzyki wyrostków:

— Kto przyniósł tę kartkę?

— Kto nam tak grozi?

Któryś z chłopaków wyskoczył na dwór, żeby odnaleźć bosego malca, lecz powrócił samotnie. Chłopca już nie było ani w pobliżu gospody, ani na brzegu jeziora.

Czarny Franek głośno wykrzykiwał:

— Słyszycie? Grozi nam. Już my się z nim rozprawimy. Chciałbym jednak wiedzieć, co to za kapitan Nemo?

Odezwałem się:

— Nie czytaliście książek Verne'a: *20.000 mil podmorskiej żeglugi* i *Tajemniczej wyspy*?

Czarny Franek wzruszył ramionami.

— Pewnie, że czytałem te książki. Ale pan chyba nie myśli, że to kapitan Nemo mieszka nad Jeziorakiem?

Ruda dziewczyna pogroziła pięścią w stronę okna i widocznego przez nie jeziora.

— Patrzcie, państwo, bohater z książki ożył i zaczyna nas straszyć. Niech no się on nam pokaże...

W tym momencie, jakby w odpowiedzi na rzucone wyzwanie, na jeziorze głucho, zahuczał mały holownik mijający się z białym jachtem Wacka Krawacika. Holownik

ciągnął za sobą nowiutki, szary ślizgacz. Ujrzeliśmy wymalowaną na burcie ślizgacza nazwę: *Kapitan Nemo*.

ROZDZIAŁ DRUGI [\[top\]](#)

WEZWANIE NA MILICJĘ • FAŁSZYWE IKONY I BURSZTYNOWA WENUS • HISTORIA BURSZTYNOWEJ FIGURKI • CZŁOWIEK Z BLIŻNĄ NA PRAWYM POLICZKU • GDZIE JEST ZATOPIONA CIĘŻARÓWKA • UCIECZKA POD BOMBAMI • PODRÓŻ PALCEM PO MAPIE • PODEJMUJĘ RYZYKOWNE PRZEDSIĘWZIĘCIE

Historia mego przybycia nad Jeziorak miała swój początek jeszcze w zimie... W lutym otrzymałem wezwanie do Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej. Wyjaśniono mi telefonicznie, że milicji zależy na mojej opinii dotyczącej jakichś starych dzieł sztuki i zażytków. Nie zaskoczyło mnie to, ponieważ od czasu, gdy podjąłem pracę na stanowisku referenta do specjalnych zadań w Naczelnym Zarządzie Muzeów w Ministerstwie Kultury i Sztuki, często zdarzało mi się współpracować z organami ścigania. Z ramienia ministerstwa zajmowałem się poszukiwaniami zaginionych podczas wojny zbiorów muzealnych i prywatnych kolekcji, wojowałem z handlarzami antyków, fałszerzami dzieł sztuki, a także zwykłymi rabusiami przedmiotów cennych dla naszej kultury narodowej, nic więc dziwnego, że nierzadko odwoływałem się do pomocy milicji lub milicja odwoływała się do mojej pomocy, prosząc o dokonanie ekspertyzy jakiegoś dzieła sztuki, odnalezionego u złodzieja czy przemytnika.

Zaprowadzono mnie do pokoju kapitana Józwiaka, trzydziestoletniego szczupłego blondyna o wesołych, zielonkawych oczach i sympatycznym uśmiechu. Posadził mnie wygodnie za swoim biurkiem, z kasy ogniotrwałej wyjął dwie ikony malowane na desce i jakąś niedużą figurkę zrobioną z bursztynu. Wszystkie te przedmioty położył przede mną na biurku i powiedział:

— Interesuje nas, co pan sądzi o tych rzeczach.

Miałem ze sobą teczkę, którą zazwyczaj zabierałem na konsultacje. W teczce nosiłem lupę i kilka buteleczek z różnymi chemikaliami przydatnymi niekiedy do dokonania szybkich analiz. Umożliwiały one stwierdzenie, czy obraz jest autentycznie stary. Ale tym razem w ogóle nawet nie musiałem otwierać teczki. Już na pierwszy rzut oka zauważyłem, że obrazy na desce są imitacją starych łemkowskich ikon. Wykonano je z dużym talentem, lecz ten, kto je malował, nawet specjalnie nie silił się, żeby ukryć fakt imitacji. Po prostu były to współczesne malowidła na deskach, dobrze wzorowane na bardzo starych i pięknych ikonach.

Odsunąłem je więc na bok i zająłem się bursztynową figurką, zrobiono ją bardzo dawno, może przed tysiącem albo dwoma tysiącami lat, z dużego kawałka bursztynu, bo figurka miała prawie dwadzieścia centymetrów wysokości. Był to prymitywny, schematyczny zarys kobiecej postaci, jakby rzeźbiarzowi nie zależało na upodobnieniu jej do kogoś konkretnego, lecz wyobrażeniu kobiety w ogóle, kobiety-symbolu. Moim zdaniem przedstawiała boginię płodności. Że była to rzeźba kultowa służąca do obrzędów religijnych, potwierdzałby fakt, iż wykonano ją z bursztynu, który w odległych wiekach cenił się bardziej niż złoto. Chociaż, być może, zrobił ją ktoś, kto miał pod dostatkiem tego

materiału i dlatego — zamiast wykonać setki tak cennych w dawnych latach paciorków bursztynowych — wyrzeźbił postać kobiety.

I gdy tak o tym pomyślałem, przypomniałem sobie coś. Zerwałem się z krzesła.

— Czy pozwoli pan, że na chwilę pojedę do domu i przywiozę stary katalog zabytków? — zapytałem.

Kapitan Józwiak, który przez cały czas, gdy oglądałem rozłożone na biurku przedmioty, przyglądał mi się z taką uwagą i napięciem, jakby chciał odgadnąć tok moich myśli, wskazał palcem bursztynową postać kobiety.

— A więc jednak to ona pana zainteresowała — stwierdził. I dodał z zadowoleniem: — Wiedziałem, że pan będzie nam mógł pomóc w rozwiązaniu tej zagadki. Bo jeśli chodzi o te ikony, eksperci z Zakładu Kryminalistyki natychmiast orzekli, że są to współcześnie malowane obrazy. Co zaś się tyczy tej figurki z bursztynu, stwierdzili tylko, że jest stara. A dla mnie to za mało. Dlatego zdecydowałem się zwrócić o pomoc do pana.

— Czy mógłbym wiedzieć, w jakich okolicznościach znaleziono tę bursztynową panią?

— Nazwałem ją Bursztynową Wenus — roześmiał się kapitan Józwiak. — I taki kryptonim nadałem prowadzonej przeze mnie sprawie kryminalnej.

— Bursztynowa Wenus? — zawołałem. I w mej głowie otworzył się sezam pamięci.

Usiadłem za biurkiem. Powiedziałem:

— Nie muszę jechać po katalog. Przypomniałem sobie wszystko, co wiem o tej figurce.

Na twarzy kapitana Józwiaka widać było napięcie.

— Naprawdę udzieli mi pan informacji o Bursztynowej Wenus?

— Nazwał pan figurkę Bursztynową Wenus, a ja przypomniałem sobie, że zetknąłem się już z tą nazwą. Dotyczyła ona identycznej figurki z bursztynu.

Wyciągnąłem z kieszeni gruby notatnik. Usiadł obok mnie przy biurku.

— Słucham więc, panie Tomaszu...

Tym razem to ja uśmiechnąłem się i powiedziałem z odrobiną zażenowania:

— Czy nie obrazi się pan, jeśli wysunę pewną propozycję? Ja powiem panu, co wiem o Bursztynowej Wenus, a pan zdradzi mi, w jakich okolicznościach została ona odnaleziona. Nie pytam zresztą przez zwykłą ciekawość, tylko z obowiązku, jako muzealnik.

— Zgoda — kiwnął głową. — Informując pana, nie postąpię wbrew przepisom, gdyż w pewnym sensie uważamy tę sprawę za zakończoną.

Wziąłem do ręki bursztynową figurkę.

— Pochodzi ona najprawdopodobniej z Sambii, a odkryto ją w grobie z tak zwanego okresu rzymskiego, a więc w początkach naszej ery. Do końca czterdziestego czwartego roku znajdowała się ona w muzeum w E. i podczas działań wojennych zginęła wraz z całymi niemal zbiorami. Sądziliśmy, że zbiory muzeum wywieziono do Niemiec. Niestety, poszukiwania nasze na terenie Niemiec nie dały rezultatu. I to już chyba wszystko, co mogę panu powiedzieć na ten temat — zakończyłem i spojrzałem pytająco na kapitana Józwiaka.

— Dwie fałszywe ikony i Bursztynową Wenus — zaczął kapitan celnicy odebrali na granicy pewnemu cudzoziemcowi, gdy chciał te przedmioty wywieźć bez zezwolenia władz. Nie ma chyba dla pana znaczenia, jak się nazywa ten cudzoziemiec i z jakiego pochodzi kraju, znajduje się on już zresztą w swojej ojczyźnie. Ze względu na to, że

ikony okazały się fałszywe, zdecydowano się umorzyć śledztwo, cudzoziemca ukarano tylko grzywną, a przedmioty, które chciał wywieźć, zatrzymano w depozycie. Cudzoziemiec złożył jednak zeznania przed milicją i one mogą mieć dla pana pewną wartość, ponieważ, jak się zorientowałem z pana słów, odkrycie tej bursztynowej figurki rzuca nowe światło na sprawę zaginionych zbiorów.

— Właśnie. To bardzo ważna sprawa.

— Cudzoziemiec kupił obrazy od człowieka, którego przypadkowo poznał w sklepie „Desy” w Warszawie. Mamy rysopis tego człowieka; sądzymy, że to jakiś plastyk, który dorabia sobie fałszując ikony i sprzedając je obcokrajowcom. Przez tego właśnie plastyka cudzoziemiec zetknął się z innym, nazwijmy go umownie Człowiekiem z Blizną, bo cudzoziemiec mówił, że ów osobnik ma bliznę na prawym policzku. Człowiek z Blizną zaoferował cudzoziemcowi Bursztynową Wenus i zaproponował zrobienie wielkiego interesu. Na czym polegał ów interes? Człowiek z Blizną stwierdził, że zna jezioro na Mazurach, gdzie podczas działań wojennych wpadła pod lód hitlerowska ciężarówka, wywożąca jakieś bardzo cenne przedmioty. Ciężarówka leży na dnie jeziora. Człowiekowi z Blizną udało się do niej dotrzeć i wydobyć bursztynową figurkę, lecz twierdzi, że innych przedmiotów nie uda się wydostać z ciężarówki bez aparatów do nurkowania. Namawiał więc cudzoziemca, aby wszedł z nim w spółkę. Cudzoziemiec miał wyłożyć pieniądze, za które Człowiek z Blizną nauczyłby się podwodnego nurkowania i zakupił sprzęt podwodny. Po wydobyciu skarbów podzieliliby się nimi po połowie. Cudzoziemiec jednak nie miał zaufania do Człowieka z Blizną i nie chciał z nim wchodzić w żadne spółki. Poprzestał na kupnie Bursztynowej Wenus, którą, jak pan wie, odebrano mu na granicy.

Ręce mi drżały, gdy sięgnąłem do kieszeni po fajkę.

— Kiedy się to wszystko zdarzyło? — zapytałem.

— Przed dwoma tygodniami.

— Cudzoziemiec nie zgodził się finansować poczynań Człowieka z Blizną. Ale może się znalazł ktoś, kto zaryzykował trochę pieniędzy? I w tej chwili Człowiek z Blizną na którymś z warszawskich basenów być może uczy się podwodnego nurkowania. A za pół roku przystąpi do wydobywania skarbów.

— Tak, to bardzo prawdopodobne — skinął głową kapitan Jóźwiak.

— Trzeba tego człowieka aresztować. Musimy odzyskać te skarby! — krzyknąłem.

— Nie można aresztować człowieka tylko dlatego, że uczy się nurkowania. W Warszawie jest kilka klubów pletwonurków i wiele ludzi uprawia ten sport. A może Człowiek z Blizną nie jest z Warszawy tylko, na przykład, z Olsztyna lub Wrocławia?

— Ale może zaryzykować ekspedycję i wydobyć zbiory z zatopionej ciężarówki.

Wzruszył ramionami.

— Mazury nazywają Krainą Tysiąca Jezior. Które jezioro z tego tysiąca jest tym, gdzie zatona ciężarówka?

— Gdyby odnaleźć Człowieka z Blizną — powiedziałem — i otoczyć go dyskretną obserwacją, to już on sam, latem, zaprowadziłby nas na miejsce zatopionej ciężarówki.

Znowu uśmiechnął się wyrozumiale.

— Czy zdaje sobie pan sprawę, ilu ludzi trzeba by zatrudnić w tym celu? Nie mamy gwarancji, że cudzoziemiec powiedział prawdę. A może skłamał i Człowiek z Blizną? Może po prostu chciał wyłudzić pieniądze od cudzoziemca i historia zatopionej ciężarówki jest tylko jego wymysłem? Lecz jeśli nawet przyjmiemy, że cała sprawa jest praw-

dziwa i rzeczywiście istnieje jezioro z zatopioną ciężarówką, czy sądzi pan, że Człowiek z Blizną, zrażony odmową ze strony cudzoziemca, będzie nadal poszukiwał finansowego poparcia dla wydobycia zbiorów? Prościej by mu było zwrócić się do jakiegoś pletwonurka i zaproponować mu spółkę na zasadach: ja ci wskażę miejsce, ty wydobędziesz zbiory, a skarbami podzielimy się.

— Więc co robić? Jaka jest rada?

— Nie umiem panu nic powiedzieć — odrzekł kapitan Józwiak. — Cieszy mnie zaufanie, jakie ma pan do nas, ale muszę stwierdzić: nie jesteśmy towarzystwem jasnowidzów, nie wiemy, gdzie znajduje się jezioro z zatopioną ciężarówką. Wyniki śledztwa oraz Bursztynową Wenus przekazemy Naczelnemu Zarządowi Muzeów w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Na tym nasza rola zostaje zakończona. Nie znaczy to oczywiście, że zupełnie przestaniemy interesować się tą sprawą. Jeśli otrzymamy sygnał, iż ktoś usiłuje wydobyć skarby, stanowiące własność naszego narodu, może pan być pewny, że wtrącimy swoje trzy grosze.

Zrozumiałem, że to jest koniec rozmowy. Pożegnałem kapitana Józwiaka i powróciłem do swych codziennych zajęć. Próbowiałem zapomnieć o sprawie Bursztynowej Wenus, ale w majakach sennych zwiadywały mi się postacie pletwonurków, wydobywających z głębin jeziora niezliczoną ilość bursztynowych figurek. We śnie starałem się im je odebrać i budziłem się zmęczony walką, zlany potem.

W tydzień później zjawiłem się w archiwum Muzeum Narodowego i w starych szpargałach zacząłem szukać teczki z zapiskami, które kiedyś sporządziłem. Byłem wtedy studentem historii sztuki, a że studiowałem w pierwszych powojennych latach, gdy dla muzealistów polskich pierwszoplanowym zadaniem stało się odnalezienie i rewindykowanie polskich zbiorów zrabowanych przez hitlerowców, na praktyce wakacyjnej powierzono mi sprawę, którą raczej winien się był zająć detektyw niż historyk sztuki. Ale ja właśnie miałem żyłkę detektywistyczną i zajęcie to przypadło mi do gustu. Moim zadaniem było ustalenie trasy, którą prawdopodobnie uciekały samochody hitlerowskie ze zbiorami muzeum w E.

Zadanie okazało się trudne i przerosło moje możliwości badawcze. Wprawdzie dzięki pomocy autochtonicznej ludności polskiej, zamieszkującej obszar Mazur i Powiśla, zdołałem nakreślić pewien odcinek drogi, którą ciężarówka z napisem „Muzeum w E.” uciekała przed nacierającymi oddziałami Armii Czerwonej, jednak szlak urywał się w pewnym miejscu. I mimo wielu usiłowań nie zdołałem odnaleźć zagubionego tropu.

Pamiętam, że kiedy kierownictwu Muzeum Narodowego przedstawiłem wykreśloną na mapie trasę uciekającej ciężarówki, poddano w wątpliwość wartość moich badań, tak była fantastycznie kręta i sprzeczna z logiką. Wynikało z niej bowiem, że zbiory wywożono nie na zachód, ale na południe, co wydawało się bzdurą. Dlatego wyniki moich badań odłożono do archiwum.

Po dwudziestu latach z prawdziwym wzruszeniem wziąłem do ręki żółtą teczkę i otworzywszy ją, na nowo odczytałem zrobione przeze mnie kiedyś zapiski. Mapka z zaznaczoną na niej trasą wskazywała, że zbiory wieziono na Pasłęk, a potem do miejscowości o nazwie Matyty. W tym miejscu ciężarówka skręciła na drogę do miasteczka, które zwie się obecnie Zalewo. Tu właśnie, w Zalewie, urywał się trop uciekającej ciężarówki.

Zalewo wówczas płonęło, zbombardowane przez samoloty radzieckie. Rynek pełen był cofającego się w popłochu hitlerowskiego wojska. Jeden z dawnych mieszkańców

Zalewa przypomniał sobie, że wielotonową ciężarówkę z napisem „Muzeum w E.” widział stojącą na rozstaju dróg, przy wjeździe do miasteczka. Było to w czasie kolejnego nalotu i kierowca ciężarówki zjechał trochę z szosy, szosa bowiem stanowiła główny cel nadlatujących samolotów. Mieszkaniec ów ukrył się przed nalotem w piwnicy, a gdy uspokoiło się trochę i opuścił piwnicę, ciężarówkę już nie zobaczył. Prawdopodobnie odjechała. Albo szosą na Stary Dzierzgoń, albo drogą do Jerzwałdu i Susza.

W Starym Dzierzgoniu — pamiętam — spędziłem bezowocnie aż dwa dni, wypytując ówczesnych mieszkańców miasteczka o ciężarówkę z napisem „Muzeum w E.”. Nie zauważył też jej nikt w miejscowościach położonych na tej samej trasie. Pozostawała więc tylko droga: na Dobrzyki, Jerzwałd i Susz, przez który można było dojechać dalej: do Prabut, Kwidzyna lub Malborka i jeszcze dalej na zachód — do Niemiec.

Niestety, również i na tej trasie nikt nie zapamiętał poszukiwanego przeze mnie samochodu.

Na tym stwierdzeniu zakończyłem wtedy swoje badania. Ale teraz byłem nieco mądrzejszy niż przed laty. Mądrzejszy o jedną informację. Ciężarówka nie odjechała do Niemiec, utonęła w jakimś jeziorze.

Przyniosłem poźółkłą teczkę do domu i rozłożyłem mapę województwa olsztyńskiego.

Zbiory nie mogły pojechać w kierunku Ławy, bo tam już były radzieckie czołgi. Nie widziano ciężarówkę w Starym Dzierzgoniu, więc i tę trasę trzeba odrzucić. Pozostaje tylko droga na Susz, lecz i w Suszu jej nie widziano...

Przy drodze do Starego Dzierzgonia nie ma żadnego jeziora. A przy trasie Zalewo-Susz rozlewa się długi Jeziorak. Skoro w Suszu nie widziano ciężarówkę, znaczy to chyba, że między Zalewem a Suszem kierowca nagle skręcił na jakąś polną drogę i usiłował przedostać się przez zamrznięte w owym czasie jezioro.

Ale w którym to nastąpiło miejscu? Czy w Dobrzykach? A może bardziej na południe? Może między Dobrzykami a Jerzwałdem odkrył boczną drogę na Matyty i jechał dalej aż do końca długiego półwyspu, wrzynającego się w Jeziorak? Może przez wąski przesmyk łączący Jeziorak z Jeziorem Płaskim usiłował przedostać się do drogi, która umożliwiała powrót na trasę do Susza?

Milczała rozłożona przede mną mapa, pocięta czerwono-żółtymi nitkami dróg i szos. Sprawę należało dalej badać już na miejscu, nad Jeziorakiem.

I w tym celu poszedłem do Ministerstwa Kultury i Sztuki, do dyrektora Marcza.

Na biurku dyrektora zobaczyłem rozpieczętowaną paczkę, w której leżała Bursztynowa Wenus. Dyrektor kończył właśnie czytanie informacji, jaką milicja dołączyła do zabytkowej figurki.

— Zdaje mi się, że wiem, czemu zawdzięczam pańską wizytę — odezwał się do mnie dyrektor Marcza.

— Przyszedłem w sprawie zaginionych zbiorów muzeum w E.

Rozłożył ręce.

— Raduje mnie fakt, że część tych zbiorów prawdopodobnie jest gdzieś na naszych ziemiach. Niestety, milicji nie udało się ustalić, w którym miejscu spoczywa zatopiona ciężarówka.

— Wydaje mi się, że w Jezioraku — wtrąciłem.

— Tak? Jest pan tego pewien? — zapytał ironicznie. — Z ręką na sercu może pan przysiąc, że to Jeziorak? A jeśli nawet tak jest, to co z tego?

— Należy wszcząć poszukiwania...

— Co takiego? Do kogo pan to mówi, panie Tomaszu? Do starego kajakarza, który zwiedził niemal wszystkie mazurskie jeziora? A może pan nigdy nie był w tamtych stronach? Jeziorak jest trzecim co do wielkości mazurskim jeziorem. Ma trzydzieści kilometrów długości, proszę pana, i wiele ogromnych zatok, wiele wysp, wysepek, półwyspów. Wystarczy zajrzeć do przewodnika — to mówiąc sięgnął do szuflady i wyjął czerwono-biały *Przewodnik po Polsce* — aby przekonać się, że Jeziorak ma ponad trzy tysiące hektarów lustra wody. Na takiej przestrzeni chciałby pan odnaleźć zatopioną ciężarówkę? Miałby pan mniejszą szansę niż szukając igły w stogu siana.

Rozłożyłem na biurku mapę, z poźółkłej teczki wyciągnąłem swoje stare raporty.

— Sądzę, że ciężarówka zatonęła przy tym półwyspie, a w każdym razie w północnej części Jezioraka. Tylko tędy mogła uciekać przed radzieckimi czołgami.

Wzruszył ramionami i stwierdził:

— Mam do pana zaufanie, panie Tomaszu, bo już niejedną zagadkę pan rozwiązał i niejedną korzyść oddał pan polskiemu muzealnictwu. Ale ta sprawa przerasta pana możliwości. I nasze również. Chyba że pan wskaże miejsce z dokładnością do... trzystu metrów. No, powiedzmy... nawet pół kilometra! Wtedy na koszt ministerstwa możemy zorganizować ekipę płetwonurków i rozpocząć poszukiwania.

Z kolei ja bezradnie rozłożyłem ręce.

— Nawet z dokładnością do pięciu kilometrów nie wskażę miejsca. Przecież nie jestem pewien, czy to w ogóle chodzi o Jeziorak. Pozostaje więc jedno: wykorzystam swój urlop w lipcu na szukanie zbiorów. Pojadę nad Jeziorak, postaram się spotkać tam człowieka z bliźną na prawym policzku, człowieka który najprawdopodobniej będzie już zaopatrzony w aparat do nurkowania lub przy pomocy jakiegoś płetwonurka spróbuje wydobyć skarby z zatopionej ciężarówki. Ten człowiek wskaże mi miejsce, gdzie są zatopione zbiory. Wówczas zawiadomię milicję i odzyskamy je. Na podstawie starych katalogów przypuszczać można, że jest to kolekcja wyrobów z bursztynu, którą posiadało muzeum w E.

Dyrektor Marczak aż się rozpromienił.

— Tak pan postanowił? To wspaniale. Nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć panu sukcesów.

A w dwa tygodnie później na ulicy spotkałem przypadkowo kapitana Józwiaka. Podszedł do mnie, przywitał się i zapytał:

— Czy to prawda, że w tym roku wybiera się pan na urlop nad Jeziorak? Mówił mi o tym dyrektor Marczak...

— Tak. Urlop spędzę nad Jeziorakiem — uśmiechnąłem się. Przecież chyba domyślał się, dlaczego właśnie tam chcę się wybrać.

— To bardzo duże jezioro — rzekł.

— Zamierzam spędzić urlop nad północną częścią Jezioraka — odpowiedziałem.

— Ach tak — zastanowił się chwilę, a potem dodał żegnając się ze mną: — Życzę powodzenia. Ale ostrzegam, że waży się pan na trudne przedsięwzięcie.

NA DRUGIM BRZEGU • DZIEWCZYNA Z WARKOCZEM • NIKT NIC NIE WIE O KAPITANIE NEMO • DZIWNY CZŁOWIEK Z CIĘŻKIM WORKIEM • CO MI MÓWIŁ KAZNODZIEJA • ZABAWNY PODARUNEK • PODEJRZENIA • KAŻDY SZUKA SAMOTNOŚCI • ZWIEDZAM JEZIORAK • CO ODKRYŁEM NA WYSEPKACH

Nie lubię bez potrzeby ujawniać niezwykłych właściwości mego wehikułu. Mogę nim rozwijać szybkość ponad dwieście kilometrów na godzinę — i przecież były już takie chwile, że musiałem jechać aż z tak wielką prędkością. Lecz zazwyczaj nie podróżuję szybciej niż inni.

Przyzwyczałem się także do tego, że widok mego samochodu budzi drwiny, potem zaś, gdy pokazuje on swoją niezwykłą szybkość, zaczynają się niezliczone pytania i prośby, abym pokazał silnik i opowiedział historię wehikułu. Tyle jednak razy musiałem mówić o moim wuju Gromille, zacnym wynalazcy, który odkupił wrak rozbitego pod Zakopanem samochodu ferrari 410, obudował go karoserią własnego wyrobu i pomysłu — tyle razy — powtarzam, opowiadać musiałem tę historię, że wolę jeździć wolno i nie sprawiać niespodzianek, po których zawsze następują pytania i konieczność wyjaśnień.

A poza tym dla poszukiwacza przygód jest lepiej, jeżeli nie prezentuje od razu wszystkich swoich możliwości. Z niejednej niebezpiecznej przygody wyszedłem cało tylko dlatego, że moim przeciwnikom wehikuł wydał się starym, śmiesznym, dziwacznym samochodem, zdolnym rozwijać szybkość co najwyżej sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Zbyt długo trwała naprawa promu na Jezioraku i doszedłem do wniosku, że tracę tu za wiele czasu. Mój wehikuł świetnie pływał po wodzie. Nie chciałem jednak na oczach bandy Czarnego Franka i innych wycieczkowiczów wjeżdżać do Jezioraka. Zawróciłem więc przed gospodą i udając, że zamierzam objechać jezioro, wróciłem szosą w las. Potem skręciłem w pierwszą przesiekę, która prowadziła nad jezioro, znalazłem dogodny zjazd do wody, puściłem w ruch śrubę wehikułu, a ponieważ w tym miejscu Jeziorak był bardzo wąski, w chwilę później znajdowałem się już na drugim brzegu. Po dziesięciu minutach byłem na drodze prowadzącej do promu.

I wtedy los jakby zemścił się na mnie za to, że okazałem tyle niecierpliwości — ogromny gwóźdź z podkowy końskiej wlaźł w oponę wehikułu i przebił dętkę.

Zrobiłem to, co czynią wszyscy kierowcy w takiej sytuacji. Przystanąłem, podniosłem lewarkiem samochód, zdjąłem koło z przebitą dętką.

Miałem w skrzyni wozu zapasowe koło z napompowaną dętką. Ale pozostać bez zapasu już na początku poszukiwań Człowieka z Blizną? Kto wie, w jakich sytuacjach znajdę się jeszcze?

Zdjąłem więc oponę, wyciągnąłem z niej hufnal i zabrałem się do zalepiania dziury w dętce. Ta praca zajęła mi ponad godzinę. W tym czasie widać naprawiono prom, na drodze bowiem pokazał się obłok kurzu i obok mnie przemknęły dwa osobowe samochody: pana Anatola i jego przyjaciela. Zdażyłem dostrzec zdziwione miny obydwu panów, którzy napotkali mnie o trzy kilometry od promu, choć przecież z promu nie korzystałem.

Później przejechało ciężarowe auto wiozące bandę Czarnego Franka. Wyrostki również zrobiły zdumione miny, gdy mnie dostrzegły.

Ich widok zmartwił mnie. Wyglądało na to, że oni też jadą nad północną część Jezioraka, w stronę wsi Siemiany, dokąd i ja zmierzałem.

Kończyłem pompowanie opony, kiedy nadjechała blondynka z pięknym warkoczem. A więc Czarny Franek nie zdołał jej namówić, aby przyłączyła się do jego bandy.

Przystanęła obok mego samochodu, zeskoczyła z roweru. Na jej ładnej, jeszcze bardzo dziecinnej twarzy zauważyłem wyraz podejrzliwości.

— Jak się pan tu dostał? — zapytała. — Przecież promem pan nie przepłynął. Zamachałem rękami.

— Przeleciałem. Mój samochód potrafi latać w powietrzu.

Pokręciła głową.

— Owszem, wygląd ma bardzo dziwny. Ale raczej przypomina łódkę niż samolot. I dokąd pan zmierza tą machiną? Na ryby, na wczasy?

Nie obrażem się, że mnie tak indaguje. Ale i dawać wyczerpujących odpowiedzi nie zamierzałem.

— A pani? — zapytałem. — Na wczasy? Na letnisko?

Wzruszyła ramionami.

— Do domu wracam, proszę pana. Do rodziców. Bo ja jestem tutejsza. Rodzice mają gospodarstwo niedaleko stąd. A ja zrobiłam w tym roku maturę w ławie, potem zdawałam w Warszawie na studia, zdałam i teraz wracam do rodziców na wakacje.

— A na co pani zdawała?

— Och, pan jest strasznie ciekawski. A na moje pytania, to pan w ogóle nie raczył odpowiedzieć.

— Bo jestem na panią trochę oburzony. Dziwnie zachowała się pani wobec Czarnego Franka. Dlaczego pani usiadła razem z nimi? Wydawało mi się, że pani wcale nie łąknie ich towarzystwa.

Roześmiała się pogodnie.

— Dobrze pan myślał. Nie lubię takich typów. Ale nie chciałam, żeby spowodowali awanturę. Postąpił pan jak dżentelmen. I jestem panu za to wdzięczna. Ale nie mogłam nadużywać pana rycerskości. Przesiadając się do nich, nie poniosłam szwanku na honorze, a ciekawa byłam, dokąd jedzie ta banda.

— A ten Kapitan Nemo? Słyszała pani o nim?

Znowu przecząco pokręciła głową.

— Nie mam pojęcia, kto to taki. Mieszkam w tych okolicach, ale o Kapitanie Nemo nigdy nie słyszałam. Z książki Verne'a owszem. Ale żeby tu był jakiś Kapitan Nemo, to coś nieprawdopodobnego.

— A jednak wszyscy widzieliśmy ślizgacz z taką nazwą na dziobie.

— Piękny ślizgacz — powiedziała z zachwytem. — Miał panoramiczną szybę i małą kabinę na wypadek niepogody. To chyba coś cudownego gdy płynie się nim po jeziorze.

— Ślizgacz *Kapitan Nemo* był faktem zauważyłem. — Więc może jakiś Kapitan Nemo przebywa nad Jeziorakiem?

— Zapewne przyjechał na wczasy — zastanawiała się głośno. — Albo tu niedawno zamieszkał? Od czasu gdy poszłam do liceum w ławie, przez dziesięć miesięcy w roku mieszkam w internacie, w domu bywam tylko w niedziele, w święta i na wakacjach. Po powrocie do domu zapytam rodziców o Kapitana Nemo. Może oni o nim coś wiedzą? Jeśli i pan zostanie nad Jeziorakiem, to być może jeszcze się spotkamy i wtedy coś więcej zdołam o nim powiedzieć. Moi rodzice mają łódkę, często pływam po jeziorze. A

choć jezioro jest ogromne, spotkać się można, prawda? Dlatego chcę wiedzieć, gdzie pan zamieszka.

Bezradnie rozłożyłem ręce.

— Nie wiem. Może ulokuję się w pobliżu Siemian. Może w Jeziornie?

— Pan już tu bywał?

— Nie. Okolice znam tylko z mapy i opisu w przewodniku.

— Pan jest wędkarzem?

— Też nie. Lubię samotność i tutaj chcę ją znaleźć.

— A ja panu przeszkadzam... — stwierdziła. Powiedziała: „do widzenia”, wskoczyła na rower i odjechała.

Po kilkudziesięciu metrach skręciła z drogi w las, na jakąś ścieżynę. Mieszkała w tych stronach, więc chyba świetnie orientowała się w terenie. Zapewne tę trasę odbywała w każdą sobotę i przed każdym świętem, gdy wracała ze szkoły do domu.

Skończyłem pompowanie koła. Wsiadłem do wehikułu i pojechałem drogą przez las. „Czy kiedyś spotkam ją jeszcze?” — pomyślałem o sympatycznej dziewczynie z jasnym warkoczem, która na rowerze powracała do rodzinnego domu, aby z dumą oświadczyć, że zdała egzamin na wyższą uczelnię.

Było już po południu, ale wciąż jeszcze dokuczał skwar letniego dnia. Sosnowy las po obydwu stronach drogi wprawdzie dawał trochę cienia, lecz od nagrzanego podściółki buchało żarem. Pachniało igliwem i żywicą, najpiękniejszą z moich ulubionych woni. Mimo wszystko jednak chciałem znowu znaleźć się nad jeziorem, bo pomyślałem o kąpieli. Poza tym zaczynałem odczuwać głód. Należało przyrządzić obiad.

Na rozstajach piaszczystych leśnych dróg, pod splekanym pnem ogromnej brzozy siedział jakiś młody mężczyzna w dużym słomkowym kapeluszu na głowie. Obok niego leżał wielki brezentowy wór turystyczny. Na mój widok mężczyzna podniósł do góry rękę.

Gest ten wyrażał tyle rozpaczy i rezygnacji, że zatrzymałem samochód.

— Woody... — jęknął osobnik.

Miałem w termosie troszkę herbaty. Łyknął chciwie, odetchnął głęboko. A potem rzekł:

— Bóg zapłać. Szlachetna to sprawa wędrowca napoić. Nad jezioro wędruję ze swym tłumokiem, od stacji kolejowej. I ani jednego samochodu nie spotkałem, który jechałby w stronę jeziora. Wszystkie pędziły od promu.

Nie przekroczył jeszcze chyba trzydziestu lat, był jednak nie ogolony, twarz miał zakurzoną i spoconą, dlatego wyglądał znacznie starzej.

— Że też w taką piękną pogodę ludzie uciekają znad jeziora, a nikt nie pędzi do wody, która jest źródłem wszelkiego życia. Na początku bowiem świata cała kula była zalana wodą i wszelkie życie wyszło z wody, panie szanowny.

Przytaknąłem uprzejmie. „Czyżby jakiś podróżujący kaznodzieja?” pomyślałem.

— Pan też ucieka od wody, a powinien pan jechać do promu. Zabrałby pan wówczas i mnie, i mój wór. Czy chce pan wiedzieć, jaki on ciężki?

Nie chciałem wiedzieć, ale on zaczął mnie gorąco nakłaniać, abym przekonał się, jak wielki ciężar musi dźwigać.

Przypomniała mi się bajka o wędrowcu, który napotkał człowieka niosącego ciężki worek. Tamten poprosił go o potrzymanie worka, a potem tylko roześmiał się i powiedział: „Teraz ty będziesz niósł ten wór albo oddasz drugiemu. Wór jest zaczarowany”.

Wór Kaznodziei (tak go bowiem nazwałem) nie był zaczarowany. Ważył jednak chyba z pięćdziesiąt kilogramów.

— O Boże! — jęknąłem kładąc go na trawie. — Co pan w nim dźwiga?

— Jak ślimak dom swój noszę na grzbiecie i wszystko, co mi potrzebne. Nadmuchiwaną łódeczkę, kuchenkę gazową, aparat do nurkowania, książki wszelakie...

— Pan nurkuje? — przerwałem mu trochę zbyt gwałtownie. Nie powinienem był okazać aż takiego zainteresowania. Ale przecież przybyłem nad Jeziorak z myślą, aby odnaleźć nurkującego Człowieka z Blizną. Ten wprawdzie nie miał blizny, lecz mógł być wynajętym przez niego płetwonurkiem.

— Nurkuje. Czy to coś złego? — zaskoczyła go trochę gwałtowność mego pytania.

Udałem, że nie słyszę odpowiedzi. Pośpieszyłem z innymi pytaniami, aby zatrzeć poprzednie wrażenie.

— Pan ma książki? A jakie? Czy ciekawe? Bo bardzo lubię czytać ciekawe książki.

Podniósł do góry wskazujący palec i rzekł uczenie:

— Powiedziane jest: kto książki miłuje, nie miewa tęsknoty. Słusznie pan czyni interesując się ciekawymi księgami. Ale moje nie zaciekawiają pana.

— Skąd pan wie? Mam szerokie zainteresowania.

Wydawało mi się, że gdybym wiedział, jakie książki czyta, domyśliłbym się i jego zawodu.

Machnięciem ręki zbył moją ciekawość.

— Dziękuję za herbatę. Życie mi pan uratował. Gdyby tak jeszcze jechał pan nad jezioro, a nie w stronę przeciwną, uznałbym pana za człowieka wybitnego.

— Właśnie jadę nad jezioro. Nie do przesmyku, gdzie pływa prom, lecz nad potężne rozlewisko, w stronę Siemian.

— Wspaniale! — krzyknął. I klepnął mnie tak mocno w plecy, że o mało nie przewróciłem się. Miał krzepę ten Kaznodzieja.

— Mnie jest wszystko jedno, dokąd pojedziemy — stwierdził. — Byle nad jezioro. Wsiądę na brzegu, nadmucham łódeczkę i zaraz znikam.

Ruszyliśmy. Intrygował mnie, byłem już jednak ostrożny i natarczywymi pytaniami nie chciałem budzić jego nieufności. Raz tylko odważyłem się okazać mu swoją ciekawość.

— Ja także zamierzam biwakować nad jeziorem — powiedziałem. — Być może spotkamy się w którymś miejscu...

— Pan tu pierwszy raz? — odpowiedział pytaniem.

— Tak. A pan?

— Ja również po raz pierwszy. Ale poznałem już jezioro z przewodnika. Może wyruszę na Czaplak albo poszukam sobie jakiejś ustronnej wysepki. Czytałem, że sporo ich koło Siemian.

Mimo upału poczułem dreszczyk w okolicach kręgosłupa. Ten człowiek wybrał sobie na wypoczynek tereny, w których grasować winien był, wedle moich przewidywań, Człowiek z Blizną. A ponieważ, jak sam wyznał, miał aparat do nurkowania, narastały we mnie podejrzenia... On — nieświadomy tego — zaczął prawić:

— Szukam miejsca, gdzie człowiek rzadko przebywa, ptak żyje swobodnie. Nietety, ludzie niszczą przyrodę, ptaki nie znajdują już spokojnych uroczysk do zakładania lęgówisk i wymierają. Tak, proszę pana. Czy nie sądzi pan, że ptaki, to najwspanialsze stworzenia na ziemi? Są symbolem piękna i wolności. Tak, proszę pana. Kajaki z mo-

torkami, motorówki jazgotliwe jak hordy diabłów, to wszystko wdziera się latem na spokojne tonie naszych wód i powoduje nieodwracalne szkody. Przez dziesięć lat jeździłem latem na Śniardwy, nad Niegocin lub Nidzkie. Z początku było tam cicho, wspaniała pierwotna przyroda. A teraz? Do drugiej w nocy słychać jazgot motorów łodzi i kajaków powracających z jeziora na przybrzeżne biwaki, a o trzeciej rano rybacy wyruszają na rejsy. Makabra. I jak w takich warunkach ma żyć kormoran? Jeziorak jest jeszcze stosunkowo mało odwiedzany przez turystów, straszliwą stonkę, która niszczy przyrodę. Więc przybyłem tutaj. A pan? Pan też pływa po jeziorze z hałaśliwym motorkiem?

— Nie — odrzekłem dumnie. Mój wehikuł rzeczywiście ma wspaniały tłumik, pływa niemal bez szmeru.

Lecz oto droga nagle skręciła i naszym oczom ukazała się zielonkawa toń jeziora, prześwietlająca między pniami olszyn.

— Wsiadam! — wrzasnął Kaznodzieja.

Brzeg był tu niedogodny, bo zarośnięty trzinami. Lecz on na to nie zważał. Gdy zatrzymałem wehikuł, natychmiast wytaszczył z niego swój ogromny wór. Tak mu się śpieszyło nad jezioro, że pomyślałem „Nawet się ze mną nie pożegna”.

Raptem jednak jak gdyby przypomniał sobie o mojej obecności.

— Chwileczkę, niech pan zaczeka — rzekł do mnie.

Przyklął nad swoim przepastnym workiem, rozwiązał węzeł sznura i wsadził rękę do środka.

Dość długo grzebał, aż wreszcie wyjął z niego coś w rodzaju długiej piszczalki czy też trąbki.

— Spragnionego pan napoił, zmęczonego pan podwiózł — odezwał się takim tonem, jakby wypowiadał zaklęcie. — Gdyby kiedyś na jeziorze znalazł się pan w kłopotcie, proszę zadać w ten róg. Jeśli będę w pobliżu, przyjdę panu z pomocą.

To mówiąc wcisnął mi do ręki trąbkę czy też piszczalkę. Szelmowsko mrugnął do mnie prawym okiem, później zarzucił sobie na ramię ciężki wór i lekkim krokiem, jakby ten worek nic nie ważył, zaczął schodzić nad brzeg jeziora.

Ruszyłem dalej skonsternowany, z głową pełną niepokojących myśli.

Kim był ten człowiek? Czego szukał nad Jeziorakiem? Czy tylko samotności i odosobnienia? Czemu dał mi swoją trąbkę? A może to właśnie był ów tajemniczy Kapitan Nemo?

Las skończył się, droga wybiegała w pole. Nad brzegiem jeziora rozciągała się zielona łąka, a kilometr dalej zobaczyłem czerwone, ceglane mury pierwszej chałupy jakiejś wioski.

Nie namyślając się długo skręciłem. Zauważyłem, że pastuszek pilnujący niewielkiego stada krów aż krzyknął przerażony, gdy mój wehikuł popędził prosto do wody. Nastąpił skok — i już płynąłem po spokojnej tafli jeziora.

Było to chyba najszersze miejsce jeziora. Z prawej strony rysowały się ciemne kontury drzew na dwóch wyspach. Drugi brzeg zaznaczał się wyraźnie, ale znajdował się w odległości przynajmniej dwóch kilometrów. Nieco na północ rozlewisko wody stawało się niemal bezkresne, a brzeg zaledwie się rysował. To była chyba potężna odnoga Jezioraka z Czaplím Ostrowem i zatoką, nad którą rozciągała się wieś Matyty, a dalej Dobrzyki z kanałem łączącym Jeziorak z jeziorem Ewingi.

Przez chwilę zawahałem się. Miałem ochotę płynąć od razu w tamtą stronę. Ale czy nie przeczniej było pozwolić Człowiekowi z Blizną — jeśli przybył już nad Jeziorak —

aby zadomowił się tutaj, poczuł się pewnie i bezpiecznie? Dlatego zamiast na północ skierowałem wehikuł na południe i popłynąłem w kierunku ławy.

Zwiedzanie Jezioraka powinno się chyba zaczynać od ławy, a nie, jak proponują na ogół wszystkie przewodniki, od jego połączenia z Kanałem Elbląskim, to jest od Miłomłyna, gdzie Kanał Elbląski rozdziela się i jedną odnogę prowadzi do Jezioraka oraz jego rozlewiska zwanego Kragą. Jeziorak bowiem, jeśli patrzeć na mapę, przypomina drzewo o nieco wygiętym, wiotkim pniu, który wyrasta z ławy. Drzewo to jest niezwykle wysokie i potężnie rozgałęzione. Pierwsze duże rozgałęzienie to właśnie Kraga, dokąd wpada kanał z Miłomłyna. Wyżej jeszcze rozrasta się szeroka korona z dwiema grubymi gałęziami.

Jeziorak ma bardzo wiele dużych i małych wysp: bezludnych i zamieszkałych, podmokłych i o twardym gruncie.

Mniejsze wyspy wyglądają jak czarne, nieprzeniknione kępy drzew, otoczone szerokim i trudno dostępnym lasem trzcin. Lecz prawie każda z nich ma takie miejsce, gdzie trzcina rośnie dość rzadko i umożliwia dostęp do brzegów. Wtajemniczeni potrafią wśliznąć się tędy, a wówczas płynącym za nimi wydaje się, że nagle przepadli jak poranna mgła. Ściana trzcin zamyka się za nimi i kryje ich zazdrośnie. Wnętrze zaś wyspy okazuje się suche, a gdy wytnie się trochę pokrzyw, można świetnie rozbić namiocik i przeżyć spokojną noc na zupełnym odludziu, słysząc tylko nawoływanie perkozów, plusk fal i szelest trzcin.

Trzy takie noce spędziłem na wysepkach Jezioraka. I ku swojemu zdumieniu przekonywałem się, że każda z nich miała zagadkę lub — jak kto woli — tajemnicę związaną z jedną osobą. Na każdej z tych wyseppek, w najbardziej niedostępnym miejscu, odkrywałem mały szałasik z traw i gałęzi, a w nim blaszane pudełeczko ze świecą, zapalnikami, haczykami na ryby, jakieś garnuszki, z cegieł zrobione palenisko. W blaszanym pudełeczku leżała karteczka ze słowami:

Pamiętaj, że to nie Twoje. Nie kradnij!
Kapitan Nemo.

Kapitan Nemo był postacią realną. Nie miała racji dziewczyna z warkoczem, przypuszczając, że chyba dopiero od bardzo niedawna pojawił się w tych okolicach. Szalasy na wysepkach były już stare, zbudowano je najpóźniej latem ubiegłego roku, na pudełeczkach i innych rzeczach pozostawionych w szałasach leżała gruba warstwa kurzu. Wyglądało to tak, jakby Kapitan Nemo wraz z końcem ubiegłego lata przestał odwiedzać swoje szalasy.

Wniosek z tych spostrzeżeń sam się narzucał: Kapitan Nemo nie mieszkał stale nad Jeziorakiem, zapewne przyjeżdżał tutaj tylko latem.

ROZDZIAŁ CZWARTY [\[top\]](#)

PONURA WYSPA • PRZERAŻAJĄCY ŚLAD • NIESPOKOJNA NOC • KROGULEC I KOMPANIA • KTO UKRADŁ KAJAKI • ZBRODNIA • CO SIĘ STAŁO NA WYSPIE • WOŁANIE O POMOC • ROZPRAWA Z GROŹNYM PRZECIWNIKIEM • ZNOWU PAN ANATOL I POUCZENIA

Uzupełniwszy w ławie swoje zapasy żywnościowe powracałem w stronę Siemian wzdłuż wschodniego brzegu Jezioraka. Był to już czwarty dzień mojej podróży po jeziorze, nadeszła już chyba pora, aby znaleźć się w tych stronach, gdzie powinien był działać Człowiek z Blizną.

Zbliżał się wieczór. Gdy tylko zniknęło słońce, natychmiast pojawił się księżyc — z początku blady, niemal biały, lecz w miarę jak wodę i niebo ogarniać zaczynał nocny mrok, stawał się coraz jaśniejszy, złotawy, a potem srebrzysty.

Zerwał się wiatr i wzburzył spokojne dotąd jezioro. Wehikułem zakolysały fale. Byłem już zmęczony i marzyłem o zacisznej przystani, o szklance gorącej herbaty, a potem o spokojnym śnie w ciepłym śpiworze.

Przed maską samochodu coraz bliżej miałem czarną kępę wysokich drzew na dość dużej wyspie. Pomiąłem ją w czasie swej drogi do ławy, gdyż leżała blisko wschodniego brzegu, a ja płynąłem zachodnim. Obiecałem sobie, że zwiedzę ją podczas drogi powrotnej, i teraz chciałem swój zamiar zrealizować. Ciekawiło mnie, czy i tutaj znajdę szalę Kapitana Nemo.

Wkrótce usłyszałem szum drzew i głośny szelest przybrzeżnych trzcin. I może to właśnie ciemności nocy, jęk wiatru i plusk fal spowodowały, że wyspa ta wydała mi się ponura i najmniej gościnna ze wszystkich, jakie dotąd odwiedziłem.

Opłynąłem ją dookoła i przekonałem się, że ma kształt podłużny, ze zwężeniem pośrodku, tworzącym z dwóch stron zatoczki. Wpłynąłem w jedną z nich i znalazłem się na wąskiej, piaszczystej łasze, po której bez trudu mógłbym samochodem wyjechać na brzeg. Ale, jak już wspomniałem, wolałem nie ujawniać właściwości swego pojazdu. Gdy płynąłem nim, koła miały ukryte pod wodą i widziano w nim tylko staroświecką motorówkę. Samochód na wyspie otoczonej wodą musiałby wzbudzić zdziwienie. Wcisnąłem go więc jeszcze bardziej w gęstą ścianę trzcin i zakotwiczyłem. Pozostał tam ukryty przed wzrokiem ludzkim zarówno od strony wyspy, jak i od jeziora.

Wyniosłem z wehikułu namiot, śpiwór i kuchenkę gazową. Postawiłem namiot pod drzewami tuż obok piaszczystej łachy, potem poszedłem do jeziora, aby zaczerpnąć wody na herbatę.

Na piasku nadbrzeżnym odkryłem świeże ślady stóp ludzkich i podługowate wgłębienie, pozostałość po dziobie łódki, którą ktoś tu wyciągnął przed niedawnym czasem, a później zsunął do wody i odpłynął.

Gdy wracałem do namiotu, spostrzegłem na piasku jeszcze jeden dziwny ślad. Dużą, niekształtną ciemną plamę. Poświeciłem latarką i ku swojemu przerażeniu stwierdziłem, że jest to ogromna plama krwi.

Ogarniał mnie coraz większy niepokój, nawet strach. Chciałem jeszcze raz zbadać ślady na piasku, lecz nagle księżyc zakryły chmury i noc zrobiła się bardzo czarna. Światło latarki było za skąpe, nie mogłem więc odkryć żadnych innych szczegółów.

Dał coraz silniejszy wiatr, wzmógł się szum drzew. Zrezygnowałem z gotowania i picia herbaty. Przez chwilę nawet zastanawiałem się, czy stąd nie odjechać i nie zanoć na stałym lądzie, ale zmęczenie wzięło górę. Postanowiłem zostać i zaraz położyć się spać, aby móc już o pierwszym brzasku obejrzeć dokładnie to miejsce, gdzie odkryłem krwawą plamę. Zanim jednak zasznurowałem się w namiocie, z zapaloną latarką zwiedziłem najbliższe otoczenie.

Brzegi wyspy porastały drzewa i krzaki, natomiast wewnątrz było gołe, trawiaste, pełne ogromnych kretowisk. Pasły się tam owce. Hałas wiatru pochłaniał i głuszył

wszelkie odgłosy, lecz prawie byłem pewien, że wyspa jest bezludna. Jacyś ludzie — ci chyba, którzy pozostawili na piasku krwawą plamę — odpłynęli stąd na krótko przed wieczorem.

A jednak mimo przekonania, że na wyspie jestem zupełnie sam, długo nie mogłem zasnąć i wciąż wsłuchiwałem się w szum wiatru, szelest trzciny i plusk fal jeziora, starając się wyłowić wśród tych dźwięków echo rozmowy lub czyichś kroków.

Wreszcie zmęczyła mnie ta czujność i nad ranem zapadłem w mocny, kamienny sen.

Obudził mnie czyjś piskliwy głos:

— Hej, obywatele, zbudźcie się!

Wyskoczyłem ze śpiwora, wystawiłem z namiotu zaspaną głowę.

Na piaszczystym brzegu stały rzędem cztery kajaki zaopatrzone w niemieckie silniki — tumblery. Mój namiot otaczała ich załoga: ośmiu rosnących piętnastolatków i czter-nastolatków w mundurach harcerskich. Byli w krótkich spodenkach, nosili białe pasy, białe koalicyjki oraz białe sznury, zwieszające się z ramienia, a więc należeli do Młodzieżowej Służby Ruchu. Miny mieli srogie.

Wyszedłem z namiotu i wyprostowałem się. Natychmiast któryś z nich zajrzał do środka i stwierdził:

— Tylko jeden. Samotnik.

Nie podobało mi się coś w wyrazie ich twarzy, w tonie głosu.

— Czego wam trzeba? — burknąłem niegrzecznie.

Wystąpił chyba ich zastępowy. Najniższy wzrostem, ale barczysty. Przechodził widocznie mutację, bo piał jak kogucik.

— Obywatel zwinie swój namiot i pojedzie z nami do obozu harcerskiego. Obywatel ukradł nam trzy kajaki.

— Aż trzy? — zdumiałem się.

— Niech obywatel sobie nie żartuje. To sprawa poważna.

— Domyślam się tego, patrząc na groźne miny obywateli harcerzy — odrzekłem. — Ale ja z wami jednak nie popłynę.

— Potrafimy zastosować siłę — wyprostował się dumnie. — Albo zatrzymamy tu obywatela i sprowadzimy milicję.

Ziewnąłem ostentacyjnie, żeby okazać im lekceważenie. Czułem się obrażony i nie zamierzałem wdawać się z nimi w dyskusję lub pytać, na jakiej podstawie mnie oskarżają.

— Uważam, że dokonaliście na mnie napadu, zbudziliście o brzasku, zasypaliście pogroźkami. A teraz odsuńcie się trochę, bo muszę zagotować wodę na herbatę.

Odsunęli się zaskoczeni nieco moją spokojną postawą.

— Obywatel nam ukradł trzy kajaki... — zaczął znowu zastępowy. Przerwałem mu w pół słowa:

— Nie interesują mnie wasze sprawy i nie zamierzam z wami dalej rozmawiać. Sprowadźcie milicję.

Zastępowy zafrasował się. Bezradnie spojrzał na swoich podkomendnych.

— Któryś z was będzie musiał skoczyć do Siemian i zadzwonić z rybacówki na posterunek MO w Zalewie — powiedział. — A my tu tego gościa popilnujemy.

— A może go zabrać do obozu, druha Krogulec? — odezwał się najwyższy z nich, z ciemnym meszkiem pod nosem.

Zastępowy nazywał się Krogulec i chyba miał charakter drapieżnika. Łypnął na mnie okiem, jak gdyby oceniał zasób moich sił. Lecz zrezygnował z podsunętej mu propozycji.

— Nie warto się z nim szarpać — machnął ręką.

Głos zabrał chłopiec podobny do dziewczyny.

— Wygląda bardzo porządnie — rzekł. — Może to nie on ukradł nasze kajaki?

— Baśka, nie gadaj głupstw! — huknął na niego Krogulec.

Tego chłopca chyba przezywali Baśka z powodu jego urody. Bardzo mi się podobało to przezwisko, bo pasowało do niego jak ulał.

— Ten pan nie jest złodziejem — upierał się Baśka.

— Skąd to wiesz? — zmarszczył czoło Krogulec.

Tamten wzruszył ramionami.

— Po co by mu były aż trzy kajaki?

— Ale samolotem nie przyleciał na wyspę, tylko przyplłynął którymś z naszych kajaków. Przecież znaleźliśmy je tu w trzcinach.

Nie odkryli mego wehikułu, lecz znaleźli kajaki i stąd ich podejrzenia. Mogłem im wskazać, gdzie go ukryłem, ale bawiła mnie ta sytuacja i ciekawiło, jak też zachowają się dalej. Odezwał się trzeci harcerz:

— Podobno nad Jeziorakiem znowu zjawił się gang Czarnego Franka z Ochoty. Może to oni ukradli nasze kajaki?

Krogulec wciąż jeszcze nie chciał dać za wygraną. Zwrócił się do mnie z naiwnym pytaniem:

— Pan naprawdę nie ukradł tych kajaków?

Uśmiechnąłem się:

— Nie.

— A w jaki sposób dostał się pan na wyspę?

— Mam w trzcinach motorówkę.

— Dlaczego pan od razu nam tego nie powiedział?

— Przecież nikt z was o to nie pytał. Otoczyliście mnie jak zbója.

Zsunął z głowy czapkę i podrapał się w potylicę.

— Jeśli prawdą jest, że nad Jeziorak przybyła banda Czarnego Franka z Ochoty, to z całą pewnością kradzież kajaków jest ich sprawką. Już ja ich znam. W ubiegłym roku też tu byli. Przyszli kiedyś na nasze ognisko i zaczęli rozrabiać, więc ich wyprosiliśmy. Od tego czasu między nami a nimi trwa wojna. Teraz zacznijcie się od nowa. Trzeba będzie o tym powiadomić komendanta obozu, musimy wzmocnić strażę i dokonać kilku wypadów w okolice, aby dowiedzieć się, gdzie banda Czarnego Franka rozłożyła się obozem.

Baśka zastanawiał się głośno:

— Rozumiem, że nam ukradli kajaki i przepłynęli jezioro. Ale dlaczego zostawili je w trzcinach przy tej wyspie? Jaki to miało cel?

Krogulec uważał się za najmądrzejszego. Szybko i bez namysłu rozstrzygał najbardziej zawile kwestie.

— Chcieli zrobić nam głupi kawał.

Byłem innego zdania.

— Gdybyście, jak przystało na harcerzy, uważniej rozglądali się wokół siebie, zapewne zauważylibyście krwawą plamę na piasku.

Pobiegli we wskazanym kierunku i znaleźli plamę krwi na brzegu.

— Jezus Maria!... — jęknął Baśka. — Teraz naprawdę trzeba popłynąć do Siemian i dzwonić po milicję.

— Tak jest — przytaknął Krogulec. — Tu wydarzyła się zbrodnia. Zabito człowieka.

Zaczęli żywo rozprawiać. Próbowali czytać ze śladów na piasku, ale przybijając do brzegu sami je zdeptali.

A ja? Poprzez szum drzew na wyspie usłyszałem głos, który nasunął mi pewną myśl. Ta zaś z kolei pozwoliła spokojnie pić herbatę i nie przejmować się za bardzo wielką plamą krwi.

Krogulca nieprzyjemnie uderzyła moja obojętność. Bądź co bądź zdarzyła się zbrodnia, a ja piłem sobie herbatę.

Podszedł do mnie i zapytał:

— Pan wie coś o tej sprawie?

— Tyle co i pan, druhu zastępowy — zatytułowałem go. — Przypląnąłem tutaj późnym wieczorem. Ta plama już była.

— Zbrodnia, prawda?

— Nie wiem, czy można to tak nazwać — rzekłem oględnie.

— Krew. Wielka plama zakrzepłej krwi — powtarzał Krogulec, przejęty do głębi duszy. — Ukradli nasze kajaki, przywieźli tu kogoś i zamordowali. Jak pan sądzi? Czy nie należy przeszukać krzaków na wyspie?

— Tak jest — zgodziłem się z nim. — Przeszukać je warto. Ale wydaje mi się, że znajdziecie w nich tylko wnętrzności owcy lub barana. To owcza wyspa. Ktoś przywiózł wiosną swoje owce i pasą się tutaj bez pasterza całe lato. Przed chwilą słyszałem beczenie z głębi wyspy.

Rozbiegli się i po pewnym czasie przywołali mnie okrzykiem do kępy dzikich malin. Leżała tam odcięta głowa owcy, jej wnętrzności i skóra.

— No, nic złego się nie stało. A już myślałem, że to była zbrodnia — powiedział Krogulec. — Pewnie przyjechał właściciel stada i zabił jedną z owiec.

— I zostawił cenną skórę? — zapytałem.

Pochyliwszy się, obejrzałem ją dokładnie.

— Nieudolnie ściągnięta. Ktoś zrobił to w pośpiechu i bez znajomości rzeczy.

— A więc jednak popełniono tu zbrodnię — niemal z zadowoleniem oświadczył Krogulec. Miał wielką chęć działać, a odkryta „zbrodnia” dawała mu pole do popisu. — Ktoś ukradł nasze trzy kajaki i przypląnął nimi na wyspę. Tutaj zabił i oprawił owcę. Tylko jak się stąd wydostał, skoro kajaki pozostały w trzcinach? I dlaczego je pozostał?

Odparłem niemal bez zastanowienia:

— Ukradli kajaki, żeby jak najszybciej znaleźć się na wyspie. Popelnivszy przestępstwo usiłowali zatrzeć za sobą ślady. Dlatego pozostawili kajaki w trzcinach przybrzeżnych. A sami zapewne odpłynęli na... tratwach z trzciny. Rozejrzyjcie się po brzegu, a być może znajdziecie miejsce, gdzie tę trzcinę wycinali. Kiedy znaleźli się na stałym lądzie, trzcinę puścili z wiatrem po jeziorze, sami zaś odeszli z mięsem owcy.

Harcerze znowu rozbiegli się po brzegach wyspy. Gdy wrócili, Krogulec powiedział do mnie z zachwytem, ale i odrobiną podejrzliwości:

— Kim pan jest, do licha? Jasnowidzem? Detektywem?... Zgadza się wszystko co do joty. Uciekli stąd na wiązkach trzciny.

Odpowiedziałem zgodnie z prawdą:

— Nie jestem detektywem ani jasnovidzem. Kiedyś byłem harcerzem i nauczyłem się bystro patrzeć wokół siebie.

Krogulec wyprężył się dumnie.

— Ja też umiem czytać ślady i zapewne po jakimś czasie sam bym to wszystko dostrzegł. Jestem przekonany, że zbrodnię na owcy popełniła banda Czarnego Franka. Ukradli trzy kajaki, to znaczy, że sześć, a może nawet więcej osób przyplęnęło tutaj, aby zdobyć mięso. Nasz zastęp, obywatelu, należy do służby ruchu. Mamy za zadanie pilnować porządku. Te owce należą chyba do jakiegoś rybaka. Dowiemy się w Siemianach, kto jest ich właścicielem i zawiadomimy go o kradzieży owcy. Baczość, druhowie! — krzyknął na swoją kompanię. — Odpływamy!

Szybko i sprawnie odbili od brzegu. Cokolwiek by się myślało o jego zarozumiałstwie i pewności siebie, trzeba przyznać: Krogulec umiał swój zastęp trzymać w ryzach i stworzyć zgrany, prężny zespół.

Skończyłem jeść śniadanie i zwinąwszy namiot przeniosłem swoje rzeczy do wehikułu. Przy świetle dnia rozejrzałem się po wyspie i stwierdziłem, że jej położenie oraz wygląd odpowiadają zaznaczonej na mapie wysepce Gierczak, która ma podłużny kształt z silnym przewężeniem pośrodku, jak napisano w przewodniku. To przewężenie było tak głębokie, że wdarła się w nie woda i nawet przy dość niskim stanie tworzyła cieśninę, splawną dla kajaków i łodzi. Cieśnina rozdzielała Gierczak na dwie oddzielne wysepki — południową i północną. Ja właśnie nocowałem na południowej.

Zapuściłem silnik wehikułu i wydostałem się z trzcin. Opłynąłem wysepki tuż przy brzegach, przyglądając im się z ciekawością.

Nagle od północnej części Gierczaka doleciał mnie czyjś rozpaczliwy krzyk:

— Ratunkuuuuu! Ludzie, ratunkuuuuu!... Na pooooooc!...

„O Boże — westchnąłem — czy ta seria przygód nigdy się nie skończy?”

Szybko skierowałem swój wehikuł w stronę brzegu. Ale kiedy zobaczyłem, co się tam dzieje, wybuchnąłem śmiechem. Śmiałem się, choć widok, jaki ukazał się moim oczom, był w gruncie rzeczy żałosny i powinien obudzić współczucie.

Na rosnącym nad brzegiem jeziora drzewie, rozgałęziającym się na wysokości człowieka, siedziało czworo ludzi. Oni to właśnie wołali o pomoc i ratunek. A w najbliższym sąsiedztwie namiotu pał się spokojnie ogromny czarny buhaj.

Sytuacja była jasna. Wczoraj wieczorem przybyła tu łodzią czwórka turystów. I zapewne nie zwrócili uwagi na stado krów i buhaja, postawili namiot i zabrali się do przyrządzania posiłku. A wtedy nadszedł buhaj i rozgniewany czymś przystąpił do szturmowania. Cwórka turystów znalazła się na drzewie, a namiot został stratowany. Siedzieli biedacy o dziesięć metrów od swej łodzi, ale żadne z nich nawet w nocy nie odważyło się opuścić bezpiecznej kryjówki na drzewie.

No tak. Rozpoznałem ich i przestałem się dziwić aż takiemu brakowi odwagi. To byli pan Anatol i jego przyjaciel pan Kazio, dwaj rycerze spinningu, oraz ich małżonki.

— Niech pan wezwie pomoc, żeby odegnano tego straszliwego potwora! — krzyczał z drzewa pan Anatol. — Jesteśmy półżywi z zimna i niewyspania!

Powoli zbliżałem się do wyspy. Ogromny buhaj podniósł łeb i zlustrował mnie baczny spojrzeniem. Wyglądał rzeczywiście przerażająco ze swym grubym karkiem, z przekrwionymi oczami i potężną sylwetką. Nie chciało mi się jechać do wsi po pomoc.

Lecz również rola toreadora zupełnie mi nie odpowiadała, tym bardziej że ten buhaja wcale nie przypominał byczka Fernando.

Wyjechałem więc swoim wehikułem z wody na niski w tym miejscu brzeg i naciśkając klakson, popędziłem wprost na buhaja. Ustąpił mi z drogi, a ja kierując samochód to w lewo, to w prawo przegnałem go wreszcie w drugi koniec wyspy. Potem wróciłem pod drzewo. Czwórka nieszczęśników ładowała już w pośpiechu do łodzi stratowany namiot i rozrzucone graty.

— Wszystkie kości mnie bolą — jęczał pan Kazio.

A pan Anatol coraz to spoglądał w stronę, w którą odegnałem buhaja.

— Jak pan myśli? — zwrócił się do mnie. — Czy on tu nie wróci? Zacznie szarżować i co wtedy?

— O Boże, Boże, prędeży! — przestraszyła się na nowo Myszka i uciekła na łódkę.

Tak byli wstrząśnięci nocnymi przeżyciami i możliwością powrotu buhaja, że nawet mi nie podziękowali za pomoc. Pan Anatol na chwilę tylko przystanął przed moim wehikułem i stwierdził:

— Myślałem, że on ma motocyklowy silnik...

To było wszystko, na co się zdobył, nie należał bowiem do ludzi, którzy potrafią przyznać się do błędu. Była w nim nieustanna potrzeba pouczenia innych, czuł się od wszystkich mądrzejszy, sprytniejszy i rozważniejszy. I nawet teraz, zląwszy zaledwie z drzewa, pouczył mnie na pożegnanie:

— Niech pan płynie pod fale, bo się pan wywróci i utopi. Ale nie za blisko trzciny i wodorostów. Okręcają się na śrubie i zatrzymają pana...

ROZDZIAŁ PIĄTY [\[top\]](#)

O TURYSTACH NAD JEZIOREM • SPOTYKAM ZNOWU JACHT WACKA KRAWACIKA • NARZECZONA KSIĘCIA SPINNINGU • CO UKRADZONO WACKOWI • CZARNA FLAGA NA TRATWACH • KAPITAN NEMO WYPEŁNIA SWOJE PRZYRZECZENIE • O RZUCANIU SPINNINGIEM • ZNOWU DZIEWCZYNA • MOJA PIERWSZA RYBA • GDZIE JEST OBOZOWISKO BANDY CZARNEGO FRANKA

W południe wiatr ustał, jezioro wygładziło się.

Oplynałem dalsze cztery wyspy, zatrzymując się na nich i zwiedzając je. Mała, ale bardzo ładna, o suchym trawiastym wnętrzu, okazała się wysepka Lipowy Ostrów. Nikt na niej nie biwakował, na gałęziach dzikich malin dojrzewały czerwone, słodkie owoce.

Za to na wyspie Łąkowej dużej i górzystej — aż rojno było od wczasowiczów. U zachodniego i południowego brzegu kołysało się mnóstwo jachtów, motorówek, łodzi i kajaków, a na łagodnej pochyłości wyspowego wzgórza rozbito wiele różnokolorowych namiotów o najróżniejszych kształtach. Namioty małe i duże, podobne do indiańskich wigwamów, do chat z altanami, namioty bogate i ubogie, ciasne i przestronne, o dachach płaskich i stromych — królowały na wyspie, a przed każdym z nich smażono coś na kuchenkach.

Jeszcze rojniej było na ogromnej, połączonej z lądem wyspie Bukowiec^[2]. Dzięki grobli, która łączyła wyspę z drogą do wsi Wieprz, mogli tu dojechać turyści zmotoryzowani. Na wschodnim brzegu wyrosło sporo namiotów, odkryłem tam również kilka osad

domków kempingowych z pomostami wchodzącymi w głąb zatoczki, z kąpieliskami ogrodzonymi sznurami. Od tej strony napływały nad jezioro dźwięki muzyki z tranzytorów, przemówienia, pogadanki rolnicze.

Ludziom, którzy zbudowali tu swoje letnie osady, hałas zdawał się nie przeszkadzać. Uciekli tu z głośnych miast, by — jak zapewne sobie mówili — szukać odosobnienia i ciszy. Ale to chyba jednak nieprawda, że szukali tu tego, o czym mówili. Zbyt rzadkim zjawiskiem nad jeziorem jest milczący, samotny tramp. Wystarczy, że ktoś w jakimś miejscu postawi namiot i założy biwak, a zaraz — nazajutrz lub w dni następne — jak grzyby po deszczu staną obok niego inne namioty, zrodzi się namiotowa osada.

Z wyspy Łąkowej i Bukowca umknąłem więc w panice, jak z terenu objętego zarazą. Zawahałem się, czy nie skierować wehikułu w Kragę, długą zatokę wrzynającą się w łąd. Ale właśnie stamtąd napływały roje kajakowiczów.

Dlatego ruszyłem dalej na północ, nad wielką zatokę z dużym masywem wyspy Czapli Ostrów. Płynąłem wzdłuż wschodniego brzegu, po lewej ręce mając półwyspy i ów rejon, gdzie spodziewałem się znaleźć Człowieka z Blizną. Zamierzałem jednak zbudować biwak na przeciwległym brzegu, aby, z pewnej odległości, przez lornetkę obserwować interesujący mnie teren. Nie chciałem wzbudzać niepokoju i podejrzeń u człowieka, którego szukałem.

Był to jednak dzień coraz nowych przygód i niezwykłych spotkań.

Właśnie poczułem głód i rozglądałem się po brzegu za miejscem dobrym dla ugotowania obiadu, gdy na porośniętej rzadką trzcina płyciźnie zobaczyłem znajomy biały jacht Wacka Krawacika. Wyglądał żałośnie — przechylony na bok i jak gdyby opuszczony przez swoją załogę.

Było obowiązkiem turysty dopłynąć do jachtu i zapytać, czy nie trzeba w czymś pomóc. Z kabiny wynurzyła się młoda kobieta o utlenionych na biało włosach.

— Dzień dobry pani — przywitałem ją, dobijając wehikułem do burty jachtu. — Zauważyłem, że państwo osiedli na mieliźnie i przybyłem zapytać, czy moja osoba może okazać się pomocna?

Młoda pani uśmiechnęła się do mnie przyjemnie i przecząco pokręciła białą głową.

— Mój narzeczony i jego przyjaciel popłynęli wpław do brzegu, a potem łodem mieli pójść do wsi Pomielin po pomoc, żeby nam jacht ściągnięto na głębszą wodę. A pana to ja już gdzieś widziałam, prawda?

— W gospodzie ludowej, u przeprawy — powiedziałem.

— Ach tak, rzeczywiście — i uśmiechnęła się jeszcze promiennie, jak do starego znajomego. Potem wyciągnęła do mnie rękę.

— Edyta jestem — przedstawiła się.

— Tomasz — ucisnąłem jej dłoń z paznokciami jak u najgroźniejszego drapieżcy.

— Proszę, niech pan wejdzie na pokład. Minęły już dwie godziny, odkąd mnie tu pozostawili zupełnie samą. Nie mam do kogo ust otworzyć i strasznie się nudzę. Zapali pan? — wyciągnęła w moim kierunku paczkę papierosów.

Usiadłem na pokładzie jachtu, zapaliliśmy papierosy.

— Jak to się stało, że państwo osiedli na mieliźnie? — zagailem rozmowę.

— Przez to przekłete piwo, które kupiliśmy w gospodzie. Wacek, to jest mój narzeczony, i Janusz, jego przyjaciel, wciąż to piwsko pili i pili. A mnie kazali prowadzić jacht. No i pan się domyśla? Wprowadziłam jacht na mieliżnę — uśmiechnęła się rozbraja-

jąco. Ale po chwili surowo zmarszczyła brwi. — To jednak ich wina. Dlaczego kazali mi prowadzić jacht? Pili to piwo i kłócili się ze sobą.

Nie interesowały mnie szczegóły życia na jachcie, zmieniłem więc temat:

— A pan Wacek dużo ryb nałapał?

Roześmiała się:

— Jeszcze ani jednej. W ogóle nawet nie próbowali łapać. Wacek i Janusz kupili w Warszawie mapę najlepszych łowisk na Jezioraku, wydali na nią mnóstwo pieniędzy. Bo Wacek chce koniecznie dostać w tym roku złoty medal i zostać królem spinningu. Płynęliśmy na Przylądek Sandacza, ponieważ tam miały być najlepsze połowy, ale nie spieszyło się nam i po drodze zwiedzaliśmy jezioro. Wczoraj nocowaliśmy na Bukowcu. Rozbiliśmy namiot na brzegu, gdyż — mimo że kabinę mamy sporą — spać w niej niewygodnie.

Paplała i paplała, a ja słuchałem przez grzeczność.

— I dziś rano, proszę pana, kiedy już płynęliśmy na Przylądek Sandacza, nagle Janusz stwierdził, że na jachcie nie ma naszej skórzanej torby, w której była mapa łowisk. Janusz sądzi, że ktoś ją nam zwędził na Bukowcu, bo koło naszego biwaku kręciło się mnóstwo ludzi. A najpewniej zrobili to dwaj młodzi chłopcy, którzy przyszli do nas, żeby pożyczyć zapalek.

— Tak, to ciekawe — udałem zainteresowanie.

Skończyłem palić papierosa i pożegnawszy rozmowną pannę Edytę, czmychnąłem na swój wehikuł. Lubię ciszę i spokój, a od jej gadania już głowa mnie rozbolała. Śmiać mi się chciało: księżę spinningu został bez mapy najlepszych łowisk. Co teraz będzie z jego księżęcą sławą? W jaki sposób zostanie królem?

Po kilkunastu minutach podróży ujrzałem przy wschodnim brzegu niewielką, malowniczą zatoczkę niezbyt zarośniętą szuwarami. Brzeg był tu suchy, trawiasty, rosło na nim z rzadka kilka starych dębów przypominających baobaby. Miejsce to wydawało mi się wymarzone na dłuższy biwak, tym bardziej że było stąd świetnie widać zachodni brzeg z dwoma półwyspami, gdzie winien był, według moich obliczeń, zjawić się Człowiek z Blizną.

Wyjechałem wehikułem na brzeg. Rozstawiłem swój mały zielony namiocik i zacząłem przyrządzać obiad: zupełną błyskawiczną z makaronem, a na drugie — pulpety w sosie pomidorowym z hermetycznie zamkniętego słoika — nieśmiertelne danie turystyczne.

Jezioro w tym miejscu było puste, bez żaglówek, kajaków, motorówek i łodzi. W tę odnogę Jezioraka zapewne dość rzadko zaglądali turyści z Bukowca i wyspy Łąkowej. Również na Czaplaku — o ile dobrze widziałem przez lornetkę — w ogóle nie było wczasowiczów.

Kończyłem jedzenie obiadu, gdy zza ściany trzciny obrastających brzeg usłyszałem ludzkie głosy. Ktoś, chyba kilka osób, płynęło wzdłuż łądu. Po chwili dojrzałem osiem wielkich tratw uplecionych z trzciny i sitowia. Odpychane od dna żerdziami zdążyły wolno w stronę Czaplaka. Na tratwach płynęła banda Czarnego Franka. Na tej, na której siedzieli Franek i ładna, ruda dziewczyna powiewała czarna flaga na długim kiju.

„Bawią się w piratów” — pomyślałem.

Zobaczyli mnie siedzącego przed namiotem.

— O, obrońca uciśnionych! — krzyknął w moją stronę Czarny Franek.

Nie odezwałem się. Trochę się obawiałem, że mogą przybić do brzegu, aby wyrównać porachunki z gospody. Śpieszyło im się jednak, tym bardziej że chyba odczuwali zimno, bo choć mocno świeciło słońce, to przecież na tratwach ciągle zalewała ich woda. Obrzucili mnie więc tylko okrzykami w rodzaju:

— Nigdy się pan nie wtrącaj do naszych spraw! Pilnuj pan swego nosa!

Powoli narastał we mnie gniew. Przypomniałem sobie o kradzieży kajaków, o zabiciu owcy na wyspie, doszedłem do wniosku, że źle zrobiłem, pozostawiając tę sprawę Krogulcowi i jego chłopcom. Sam powinienem był zająć się rabusiami.

Banda Czarnego Franka mijala już moją zatoczkę, kiedy usłyszałem głośny warkot silnika. Przyłożyłem lornetkę do oczu i zobaczyłem, że zza ściany trzciny od strony wyspy Bukowiec — niby ogromny pocisk wyrzucony z wielkiej katapulty — wyskoczył wspaniały ślizgacz. Na hurcie miał napis: *Kapitan Nemo*. Sunął po wodzie, jakby zaledwie ją muskając.

Dognał tratwy, zatoczył wielki łuk i zwolnił biegu. Płynął teraz na najmniejszych obrotach, równolegle z tratwą Czarnego Franka. Z oszklonej kabiny nagle wychyliła się jakaś postać, ubrana w czarny nieprzemakalny strój, jaki podczas sztormów noszą rybacy i marynarze. Na głowie miała kaptur, a na oczach ciemne okulary, które nie pozwalały rozpoznać rysów twarzy. Nie ulegało wątpliwości, że był to sam Kapitan Nemo z Jezioraka.

Zrobił szybki ruch ręką i strzelił spinningową kotwiczką na mocnej i długiej żyłce.

Och, cóż to był za celny rzut! Kotwiczka poszybowała w powietrzu i zaczepiła o czarną flagę na tratwie Czarnego Franka. A wtedy Kapitan zrobił jeszcze jeden ruch, szarpnął kotwiczkę i zerwał czarną flagę.

Po toni jeziora, wzburzonej ruchem śruby ślizgacza, poniosły się okrzyki przestachu, zdumienia, podziwu.

Kapitan Nemo szybko związał swój spinning, kotwiczka ciągnęła ku niemu czarną flagę. Po chwili już miał ją w ręku. Wtedy zniknął w oszklonej kabinie. Silnik zawył i ślizgacz zatoczywszy niewielki łuk rozkołysał sobą fale, aż tratwy zachybotwały się mocno na wodzie. Jeszcze chwila i przepadł za najbliższym półwyspem.

A więc Kapitan Nemo był jednak istotą z krwi i kości! Przysięgł, że rozprawi się z bandą Czarnego Franka i po raz pierwszy dał się jej we znaki. Pokazał swoją moc i zręczność. Zrywając czarną flagę, jak gdyby powiedział: „Oto za moją sprawą kończą się tu wasze pirackie rządy”.

Tratwy z sitowia i trzciny wyglądały teraz żałośnie. Silne fale, jakie zrobił ślizgacz, rozluźniły wiązadła w kapkach trzciny, przez co bardziej zanurzały się one w wodzie. Banda płynęła w ponurym milczeniu, pośpiesznie odpychając się kijami od dna jeziora. Wyglądało na to, że chcą jak najszybciej dobić gdzieś i wysiąść na brzeg. Wyraźnie bali się powrotu Kapitana Nemo, choć już ucichł warkot jego silnika i jezioro znowu było ciche, spokojne.

Wkrótce tratwy zniknęły mi z oczu, bo zasłoniła je ściana trzciny. Wszystko wskazywało jednak, że popłynęli w stronę Czaplaka.

Zaimponował mi ten rzut spinningową kotwiczką. Cóż za celność i precyzja! Może jest nie tylko wędkarzem, ale i sportowcem uprawiającym tego rodzaju dyscyplinę?

Bo mało kto wie, że oprócz wędkowania za pomocą spinningu istnieje specjalna dyscyplina zwana sportem rzutowym. W Polsce dopiero zaczęła się ona rozwijać, ale za granicą, na przykład w Niemieckiej Republice Demokratycznej, jest bardzo popularna.

Ta dyscyplina ma bardzo dużo wspólnego z łucznictwem i strzelectwem sportowym, a w każdym razie przeszła tę samą ewolucję. Od polowania na zwierzynę do czysto sportowego wykazywania sprawności fizycznej i zręczności.

Istnieją już najróżniejsze konkurencje sportu rzutowego. Zawody dokonywane na łądzie i na wodzie kotwiczkami i ciężarkami plastikowymi. Rzuca się je do celu, do specjalnych tarcz, a także na odległość.

W sporcie rzutowym niektórzy doszli do niezwykłych osiągnięć, do niemal cyrkowej zręczności. W „Wiadomościach Wędkarskich” przeczytałem niedawno o amerykańskiej dziewczynie, Annie Strobel, która potrafi z odległości piętnastu metrów zgasić ciężarkiem papierosa, trzymanego w ustach przez jej partnera. Umie ona również rzucać jednocześnie dwoma spinningami. Jednym rzuca znad głowy, a drugim — z dołu. Obydwa ciężarki trafiają dokładnie w to samo miejsce znajdujące się w odległości dwudziestu metrów.

W rękach zręcznego człowieka spinning z kotwiczką lub ciężarkiem mógł stać się niebezpieczną bronią.

Długo tak siedziałem przed swoim namiotem rozmyślając o Kapitanie Nemo. I im więcej o nim myślałem, tym bardziej pragnąłem go spotkać, poznać i porozmawiać.

Na krótko przed wieczorem nadpłynęła łódź z rycerzami spinningu — panami Anatolem i Kaziem — oraz ich połowicami. Zobaczyli mnie biwakującego nad zaciszną zatoczką i oczywiście natychmiast zdecydowali rozbić swoje namioty w sąsiedztwie.

Nie okazałem im niechęci, choć lubię samotność. Przewidywałem jednak, że w najbliższej przyszłości będę musiał odbyć rekonesans po okolicy, a wówczas namiot mój mógłby zostać pod ich opieką.

Pan Anatol i pan Kazio wyjaśnili mi, że swoje samochody pozostawili na podwórzu jakiegoś rolnika we wsi Siemiany. Odtąd poświęcą czas tylko wędkowaniu. Rozbili obok mojego dwa małe namioty, zjedli kolację, a po ten pan Anatol wyciągnął duży, zagraniczny spinning.

— Muszę zdobyć rybę na jutrzejsze śniadanie — oświadczył takim tonem, jak gdyby od jego połowu zależało, czy żona i przyjaciele nie umrą z głodu.

— A pan nie spróbuje łowić? — zapytał.

Rozłożyłem ręce.

— Nie znam się na wędkarstwie. Zresztą, nie mam nawet żadnego sprzętu.

Znalazł wspaniałą okazję, aby mnie pouczyć.

— Wędkarstwo, proszę pana, to wspaniały relaks. I jednocześnie pożyteczny sport. Nie ma nic wspanialszego nad rybę, którą się samemu złapało i samemu przyrządziło. Jeśli pan chce, pożyczę panu wędkę — wskazał wędkę w łodzi. — Dziś, proszę pana, zapolujemy na szczupaka. Będę rzucał spinningiem wzdłuż trzcin, gdyż szczupak lubi przebywać w pasie nadbrzeżnym, polując tu na mniejsze rybki.

Nagadał, nagadał i wlaź do łódki. Odbił od brzegu, ustawił się na skraju trzcin i zaczął rzucać błyszczką.

Tymczasem słońce upodobiło się do czerwonej kuli i powoli zbliżało się do ciemnej smugi lasu na horyzoncie. Zapaliłem fajkę, gdyż od wody nadciągnęła horda komarów, z krwiożerczym bzykiem krążąc wokół mej głowy.

Na jeziorze znowu usłyszałem warkot motoru. Pokazała się duża rybacka krypa, a w niej ktoś znajomy. No tak, blondynka z warkoczem. Dostrzegła mnie przed namiotem, kiwnęła ręką i skierowała łódź w zatoczkę.

— Niechże pani zgasi ten przeklęty silnik! — wrzasnął na nią pan Anatol. — Czy pani nie widzi, że łowią ryby?

Posłusznie zgasiła motor i przybiła do brzegu za pomocą ciężkich wiosł.

— A jednak spotkaliśmy się — powiedziała, podając mi rękę.

Ubrana była w spodnie i gruby sweter, na głowie miała chusteczkę.

W łodzi leżały dwie wędk.

— Na ryby? — zapytałem.

— A tak. Nacieszyłam się już domem rodzinnym. Cały dzień pracowałam przy zwózce siana i wieczorem postanowiłam wyskoczyć na połów. A pan?

— Nie umiem łowić i nie mam wędk.

Pan Anatol chyba zobaczył te jej wędk, gdy płynęła obok niego, bo krzyknął w jej stronę:

— Panienska na ryby? A jaką metodą pani łowi?

— Żadną — roześmiała się.

— A na co panienska poluje?

— Jeszcze nie wiem. To zależy od miejsca — odrzekła.

Pan Anatol machnął lekceważąco ręką. A dziewczyna zwróciła się do mnie:

— No co, wędkujemy?

— Nie chce mi się stąd nigdzie ruszać — ziewnąłem dyskretnie.

— A ryby smażonej pan nie lubi?

— Owszem. Tylko nie wierzę, abym jakąkolwiek złapał. Pan Anatol już od pół godziny rzuca spinningiem i nic nie złowił.

— My spróbujemy na żywca. I wcale niedaleko. O tam — wskazała drugą zatoczkę, odległą od naszej o dwieście metrów. — Zresztą — dodała — muszę z panem porozmawiać na osobności.

To zabrzmiało znacznie bardziej zachęcająco. Zabraliśmy więc wędk z jej łodzi i poszliśmy nad drugą zatoczkę.

— Tu powinien grasować węgorz — stwierdziła dziewczyna. — Zatoczka jest płytka, o mulistym dnie. Pan Anatol nie złapie ryby dlatego, że tamten brzeg jest dość płytka, a my złapiemy ją dlatego, że mamy tu płyciznę. Założymy przynętę na haczyk i będziemy chwycić, jak to się mówi, „z gruntu”.

— O, z pani świetny fachowiec — zauważyłem.

— Przecież urodziłam się nad jeziorem i tutaj tyle lat mieszkam. Mój ojciec i bracia są zapalonymi wędkarzami. W domu ciągle rozmawia się o wędkarstwie.

Naciągnęła przynętę na haczyki. Zarzuciłem wędkę, jak najdalej od brzegu, w pobliże trzciny i wodorostów, bo tak mi kazała.

Usiedliśmy na starej, odartej z kory kłodzie, wyrzuconej z wody przez fale.

— Widziałam dziś Kapitana Nemo — rzekła.

— Ja też.

— Płynął swoim wspaniałym ślizgaczem — powiedziała z zachwytem.

— Ja też go widziałem.

I powiedziałem jej o tym, jak Kapitan Nemo zerwał flagę z tratwy Czarnego Franka.

— Cudowny człowiek — szepnęła. — Czuję, że się w nim zakocham, chociaż go zupełnie nie znam i nie wiem, jak wygląda. Nikt z tutejszych mieszkańców też o nim nie słyszał.

— To bardzo dziwne. Bo ślizgacz to nie igła. Gdzieś tutaj musi mieć przystań.

Opowiedziałem jej o porannej przygodzie z harcerzami, o zabitej owcy i podejrzaniach, jakie w związku z tą kradzieżą padły na bandę Czarnego Franka.

Zapał mrok. Już nie widziałem splotawika. Lecz nagle jakby poraził mnie prąd elektryczny, tak gwałtownie coś szarpnęło moim wędziskiem.

— Niech pan ciągnie! — krzyczała dziewczyna i niemal wyrwała mi z ręki wędzisko, które aż zgięło się pod naporem jakiejś potężnej ryby.

— Jest! Jest! To węgorz — mruzczała dziewczyna, powoli wyholowując zdobycz na płyciznę. — Nie wolno dopuścić, żeby się owinął koło jakiejś leżącej na dnie gałęzi.

Wyciągnęliśmy na piasek dużego węgorza, który skręcał się jak gruby czarny wąż. Brrr, cóż to za wstrętna ryba!

Był jak przegub mojej dłoni i miał chyba kilogram. Aż dziw, że nie złamał wędziska. Tylko przytomności umysłu dziewczyny zawdzięczam fakt, że się nie urwał.

— Starczy panu na dobry posiłek — odezwała się, przecinając żyłkę, bo węgorz połknął haczyk tak głęboko, że wyjąć mu go z pyska nawet nie usiłowała.

— Starczy dla nas dwojga — zauważyłem. — Przecież to niemal kilogramowa sztuka.

— Poczęstuje mnie pan? — ucieszyła się. — Strasznie lubię węgorza. To już nie będę dłużej łowił.

Podniosłem węgorza za koniec uciętej żyłki i rzuciłem go przed namiotem. Pan Anatol z żoną i przyjaciółmi już siedzieli na swym biwaku i coś jedli — zdaje się rybki w sosie pomidorowym z puszki.

Pan Anatol zobaczył naszego węgorza i aż go poderwało ze składanego krzeselka.

— Co takiego? — był niemal oburzony. — Skąd tu ten węgorz?

— Złapałem go przed chwilą — odrzekłem z dumą.

— Tutaj? To niemożliwe.

— W tamtej zatoczce. Na żywca — wyjaśniłem.

Widok złowionego węgorza natchnął go nowym, bojowym duchem.

— Kazik! — krzyknął wielkim głosem. — Szykuj wędki gruntowe. Idziemy natychmiast na węgorza. A może macie jeszcze żywca?

Dziewczyna stwierdziła z żalem, że właśnie przed minutą rybki wyrzuciła do wody. Pan Anatol burknął coś gniewnie i zaczął poganiać przyjaciela.

A my zabraliśmy się do oprawiania węgorza. Dziewczyna ogłuszyła do uderzeniem kija w głowę, potem żyłką nacięła mu skórę poniżej głowy i ściągnęła ją z niego jak rękawiczkę z dłoni. Usmażyliśmy naszą rybę na oleju. Smakowała mi jak żadna inna ryba. Zjadłem chyba z pięć kawałków, zagryzając je chlebem i popijając mocną herbatą.

W czasie posiłku dziewczyna nagle powiedziała:

— Pan mnie intryguje. Po co pan przybył nad Jeziorak?

Wzruszyłem ramionami.

— Już mnie pani o to pytała. Szukam wypoczynku.

Zbyła moją odpowiedź jak komara — machnięciem dłoni.

— A jak się pan dostał na wyspę, gdzie zabito owcę? Przecież pan ma tylko samochód? Łódki ani kajaka u pana nie widzę.

— Pożyczyłem. Przedwczoraj spotkałem na brzegu znajomych, zostawiłem swój samochód na ich biwaku, wziąłem od nich kajak i popłynąłem szukać nocnych wrażeń na samotnej wysepce.

— Aha... Dziękuję za szczere i prawdziwe wyjaśnienie — odpowiedziała z ironią.

Pan Anatol i jego przyjaciel nie złapali ani jednej rybki. Od strony ich biwaku dochodziło gniewne burczenie rycerza spinningu, który groził żonie i swym przyjaciółom, że jutro wieczorem już na pewno wybiorą się na węgorza. Rano znajdzie rosówki albo nałowi małych rybek na przynętę.

Zapała noc — jasna, księżycowa i bezwietrzna. Jezioro zalegała cisza, nawet fale nie pluskały, tylko szeroko rozchodziło się gaworzenie łysek i perkozów. Struga księżycowego światła płynęła aż do naszych stóp, przed mój namiot.

Spojrzałem na zegarek, a potem na dziewczynę. Dochodziła dziesiąta.

— Pora już na mnie, prawda? — stwierdziła, zauważywszy moje spojrzenie. — Wprawdzie rodzice nie niepokoją się o mnie, bo wiedzą, że gdy wyskakuję wieczorem na ryby, wracam niekiedy trochę później, lecz jestem już zmęczona. Napracowałam się przy zwózce siana, a jutro znów muszę pracować.

— Odwiedzi mnie pani jeszcze kiedyś?

— O tak — uśmiechnęła się przyjaźnie. Ale zaraz spochmurniała. Dodała: — Będę też musiała odszukać Czarnego Franka. Wówczas w gospodzie ludowej, gdy pan odjechał, Czarny Franek ściągnął mi z palca pierścionek. To był taki taniutki, zabawny pierścionek, z blachy i ze szklanym oczkiem. Kupił mi go dla żartu na wiejskim odpuszcisku mój chłopiec, który teraz jest w wojsku. Wczoraj otrzymałam list, że może przyjedzie na kilka dni urlopu. Chciałabym mieć ten pierścionek, żeby nie myślał, że skoro już jestem prawie studentką, to o nim zapomniałam. Franek ściągnął mi pierścionek z palca i powiedział, żebym się do niego zgłosiła, to mi odda. Jeśli pójdę do ich obozu, zechce mnie tam zatrzymać. Milicji przecież nie mogę zawiadomić, pierścionek nie ma żadnej wartości. Zresztą Czarny Franek mi go nie ukradł, zrobił tylko głupi żart. Jestem naprawdę bezradna.

— Do obozu Czarnego Franka możemy pójść razem — ofiarowałam się.

— Ba, ale kto wie, gdzie jest ten obóz? Rzecz w tym, że oni miejsce swego obozowiska trzymają w największej tajemnicy. Tak było w ubiegłym roku. Najpierw rozrabiali na kempingach, kilku turystom zginęły butle z gazem, a potem cała banda nagle zniknęła. Tylko od czasu do czasu tu i ówdzie pokazał się jeden albo dwóch chłopaków z bandy, których wysłali po żywność i na przespieszenie. Niekiedy robili też wypadki całą bandą, lecz dzięki temu, że nikt nie znał drogi do ich obozu, pozostawali nieuchwytni.

— Proponuje mi pani, żebym ten obóz odszukała? Czy tak?

— Jeśli pan potrafi — roześmiała się. — A potem pan mi powie, gdzie on jest, i ja tam pójdę po swój pierścionek. Nie z panem. Tylko ze swoim ojcem i braćmi. Jestem pewna, że Franek odda mi pierścionek, i to szybko!

Wsiadła do rybackiej krypy. Zawarczała głośno silnik. Przekrzykując go, zawołała:

— Jak panu na imię?

— Tomasz. A pani?

Może nie usłyszała mojego pytania? Łódka już odbiła od brzegu. Dopiero po chwili, wraz z łoskotem silnika, nadleciała do mnie odpowiedź.

— Marta...

ROZMOWA O RABUSIACH • CZY TRIUMF CZARNEGO FRANKA • OBSERWACJE DRUGIEGO BRZEGU • CZY TO PIES, CZY TO BIES • KTO SZUKA ZATOPIONEGO SKARBU • PODEJRZANE SPOTKANIE NA CZAPLIM OSTROWIU • PODSŁUCHANA ROZMOWA • ILE JEST WARTA MAPA ŁOWISK • ŚLEDZĘ CZARNEGO FRANKA

Następnego dnia wczesnym rankiem zbudził mnie warkot podpływającej motorówki z dwoma milicjantami. Jeden z nich wysiadł na brzeg i zobaczywszy, że wyglądam z namiotu, zapytał:

— Czy nie widział pan tu gdzieś w pobliżu jakichś podejrzanych osobników? Grupkę młodzieży bez rodziców albo tym podobnych?

Opowiedziałem o bandzie Czarnego Franka, która wczoraj po południu płynęła tędy na tratwach w stronę Czaplego Ostrowa.

— Czy wydarzyło się coś złego? — zainteresowałem się.

Kiwnął głową.

— Z pobliskiej wyspy skradziono owcę, harcerzom ktoś zabrał kajaki i podrzucił je na Gierczaku. A minionej nocy z obozu harcerskiego skradziono butle i lampę gazową.

Ze swego namiotu wyszedł pan Anatol. Słyszał słowa milicjanta i oczywiście zaraz zaczął go pouczać:

— Obywatelu władzo! Weźcie się za tych chuliganów i złodziei, bo turyści spokoju nie mają. Za słabo, panowie, działacie, za wolno. Cóż to, brakuje wam pałek na łobuzów? Trzeba się przede wszystkim rozprawić z bandą Czarnego Franka.

Milicjant popatrzył na pana Anatola i odpowiedział bardzo rzeczowo:

— Niestety, nikt nie widział złodziei, nikt nie ma konkretnych podejrzeń co do sprawców. Każdy tylko mówi: to najpewniej banda Czarnego Franka. Milicja robi, co może, żeby nad jeziorem utrzymać porządek i spokój. Ale ten rejon w tym roku jest modny. Setki namiotów stanęły na wysepkach, na brzegach i nad zatokami. Turyści po trosze sami są winni temu, co się tu zaczyna dziać. Czy ktoś z tej setki wczasowiczów, zasiedlających brzegi jeziora, raczył się zameldować? Nie. Pan także nie jest zameldowany, ani pan, prawda? — zwrócił się do pana Anatola i do mnie.

— Bo ja... tylko przejazdem. Jutro już może gdzie indziej zanocuję — tłumaczył się pan Anatol.

— Tak mówi każdy — odparł milicjant. — Nie wiemy, kto mieszka pod namiotami, z kim mamy do czynienia. Każdy twierdzi: jestem na wczasach wędrownych, nie zdażyłem się zameldować. I tak samo odpowiadają chłopcy i dziewczęta z grupy Czarnego Franka. Sądzę, że prawdziwi turyści powinni nam pomóc w pracy. Sami, bez waszego udziału nie zaprowadzimy tu porządku. Ot, choćby dzisiaj... Najpierw nam zameldowano o kradzieży butli gazowej, potem o utonięciu chłopca, który kąpał się w niedozwolonym miejscu. Szukamy sprawców kradzieży, ale musimy jednocześnie przeprowadzić dochodzenie w sprawie tego utonięcia. Jezioro jest wielkie i spraw na nim bardzo wiele. Ilu turystów pływa kajakami i łodziami bez kart pływackich? W osadach namiotowych wynikają swary, kłótnie, niekiedy nawet bójki. I we wszystkie te sprawy angażuje się milicję. O tym warto także pomyśleć, gdy się nas krytykuje.

Odплыnęli w stronę Czaplaka. Kończyłem śniadanie, gdy zobaczyłem ich powracających środkiem jeziora. Byłem pewien, że płyną z niczym. To znaczy albo w ogóle nie zdołali trafić do obozu bandy Czarnego Franka, albo też w obozie skradzionych rzeczy nie znaleźli. Czarny Franek nie był chyba tak głupi, aby kompromitujące dowody

trzymać przy sobie. Mógł je ukrywać w krzakach, zakopać w ziemi, kryjówek nie brakowało.

Ale przecież nie przybyłem tu po to, aby obserwować bandę Czarnego Franka. Moim zadaniem było odnaleźć Człowieka z Blizną.

Skryłem się za namiot, tak aby mnie nie widzieli sąsiedzi z biwaku, i zacząłem przez lornetkę obserwować brzeg po drugiej stronie jeziora.

Patrzyłem długo, ale nie zauważyłem nic godnego uwagi. Drugi brzeg zdawał się być bezludny, a jeśli nawet ktoś krył się za gęstwiną trzciny przy dwóch półwyspach, to przecież na wodzie nie widziało się nikogo. Dla mnie zaś miało znaczenie, czy w tym miejscu — gdzieś w rejonie półwyspów — Człowiek z Blizną nie rozpoczął nurkowania. Do tego celu musiałby jakoś przedostać się przez trzciny, zapewne wzięłyby ze sobą łódkę. Mocne szkła mojej lornetki wykryły na półwyspach nawet małe krzaki; nieprawdopodobne było, abym kogoś nie zauważył. Zresztą, na piaszczystym cyplu stały trzy czaple. Ich obecność najlepiej wskazywała, że okolica jest bezludna.

A jednak nie dawałem za wygraną. Co pewien czas przez szkła lornetki kontrolowałem półwyspy oraz czarną zatokę między nimi. Nareszcie cierpliwość moja została nagrodzona. W trzcinach zachodniego półwyspu dostrzegłem nagle słaby ruch, jak gdyby przesunął się tam jakiś cień. Potem zniknął, aż wreszcie po kilku minutach ten sam cień zauważyłem na czarnej toni zatoki.

Nie miałem pojęcia co „to” było. Wyglądało na jeziorze jak podłużny paseczek, który bardzo powoli przemierzał zatokę i kierował się ku trzcinom u nasady półwyspu wschodniego.

Zachodziłem w głowę, czy jest to jakaś maleńka łódeczka, czy pień drzewa lub zgoła jakiś pływający zwierz. Tajemnicze „coś” dotknęło ściany trzciny i zniknęło w niej bez śladu.

Zerwałem się ze swego miejsca i poszedłem do sąsiadów.

— Czy nie mogliby mi państwo pożyczyć łódki? Chciałem odwiedzić półwysep po drugiej stronie jeziora.

— Ach, na rybki? — pokiwał głową pan Anatol. — Niestety, za chwilę z Kaziem również wypływamy na połów. Tylko że udajemy się na Czaplak. Słyszeliśmy, że po drugiej stronie wyspy znajduje się królestwo krasnopiór. Nakopaliśmy glist i spróbujemy wędkarskiego szczęścia.

Nie pozostało mi nic innego jak uruchomić wehikuł. Namiot pozostawiłem pod opieką pań-sąsiadek, wjechałem w wodę i skierowałem się na północ. Chciałem ogromnym łukiem opłynąć wschodni półwysep, tak aby ów „ktoś”, kto tam grasował, nawet gdyby zauważył mnie na jeziorze, sądził, że płynę w innym kierunku.

Podczas podróży zbliżyłem się bardzo do Czaplaka i przez lornetkę przekonałem się, że jest to ogromna wyspa, na brzegach zadrzewiona, a wewnątrz goła, gdzieś tylko porośnięta małymi sosenkami. Nie odkryłem na niej ani jednego namiotu, nie widziałem też żadnego człowieka.

„Zwiedzę ją, kiedy będę wracał — zdecydowałem. — Przecież w stronę tej wyspy płynęła banda Czarnego Franka. Może odkryję jej obóz?”

Chciałem spotkać Czarnego Franka i porozmawiać z nim, nie tylko zresztą o pierścionku Marty.

Z daleka drugi brzeg jeziora, między wschodnim półwyspem i wsią Matyty, wydawał się równy, stanowił zwartą ciemną ścianę drzew. Kiedy podpłynąłem bliżej, prze-

konalem się, że znajdował się tam jeszcze jeden półwysp. Do tego półwyspu zdecydowałem przybić i w tym celu chciałem rozpędzić wehikuł, aby nim jak taranem wepchnąć się w trzciny. Ale zanim to zrobiłem, jeszcze raz spojrzałem w stronę miejsca, gdzie mi zniknęło z oczu owo pływające, tajemnicze „coś” pień drzewa lub zwierzę. I aż gwizdnąłem cichutko. Znowu bowiem zobaczyłem owo „coś”. Była to maleńka gumowa łódeczka. Niesiona leciutkim wiatrem wolno dryfowała wzdłuż zachodniego półwyspu.

„Muszę ją schwytać i poszukać właściciela” — postanowiłem. W gumowej łódeczce leżało czyjeś ubranie, termos podróżny i torba. Pewnie ktoś wysiadł na brzeg, żeby się opalać, a łódeczka odpłynęła.

Już byłem blisko niej, gdy coś mnie zastanowiło. „Do licha! — pomyślałem. — Ona płynie pod wiatr!”

Ale zagadka zaraz się wyjaśniła. Za ledwie dobiłem do łódeczki, na burcie wehikułu ukazały się czyjeś dłonie, a po chwili ujrzałem głowę ludzką w masce płetwonurka. Łódeczka nie płynęła sama. Ktoś pod nią siedział.

Jegomość w stroju płetwonurka, z aparatem tlenowym na piersiach z trudem wgramolił się do wehikułu. Zdjął z twarzy maskę i wtedy rozpoznałem... Kaznodzieję.

— Pan mi chciał zabrać moją łódeczkę? — zapytał.

— Myślałem, że komuś uciekła...

Kiwnął głową ze zrozumieniem. A mnie, choć byłem pełen niepokoju z powodu obecności tego jegomościa tutaj, ogarnęła wesołość. Śmieszna wydawała mi się myśl o człowieku, który wędrował przez jezioro nie na łódce, tylko pod łódką.

— To chyba o wiele ciekawsze maszerować po dnie niż płynąć po powierzchni jeziora? — zapytałem.

— Tak — zgodził się ze mną. — Lekarz zalecił mi długie, piesze spacerowanie.

— Pan, broń Boże, cierpi na niedotlenienie?

— Owszem — skinął głową. — Aby się dotlenić, noszę tę oto butlę z tlenem.

— Czy zobaczył pan coś interesującego podczas wędrówki po dnie?

— Kilka ogromnych sandaczy i wielkiego suma.

— Nie usłyszałyby pan głosu swojej piszczałki, gdybym wezwał pana na pomoc — stwierdziłem.

— Używał już jej pan?

— Nie byłem w niebezpieczeństwie.

Odetchnął z ulgą:

— To świetnie. Zapomniałem bowiem panu powiedzieć, że ten mój przyrząd jest skuteczny tylko wtedy, gdy człowiek znajdzie się w rzeczywistym niebezpieczeństwie. W innej sytuacji używać go nie należy.

Dobiliśmy do piaszczystego cypla. Czaple, które tu żerowały, wzbily się w powietrze i ciężko machając skrzydłami odleciały w stronę Czaplaka.

Dziwny jegomość przez chwilę śledził ich lot, a potem powiedział:

— Na Czaplaku jest rezerwat. Na drzewach od strony wschodniej półwyspu czaple mają swoje gniazda i wychowują młode. Powinny żyć w spokoju, a tymczasem wczoraj wieczorem przypląnęła tam banda łobuzów, rozpałała ognisko i hałasowała. To okropne. Bo ptak, proszę pana, to wspaniałe stworzenie. Nie lubię ani psów, ani kotów, natomiast uwielbiam ptaki. Są dla mnie symbolem wolności, swobody, nieskrępowanego niczym życia.

— Tam nocowała banda Czarnego Franka — przerwałem mu, lękając się, że znowu wpadnie w swój kaznodziejski ton i wygłosi długie przemówienie o ptakach.

— Banda Czarnego Franka? — zdziwił się. — A nie wie pan, jak ich wykurzyć z tych okolic?

„Jeszcze jeden, który by chciał rozprawić się z bandą Czarnego Franka” — pomyślałem.

To mi nasunęło myśl, że kapitan Nemo z książki Verne'a też lubił podwodne wędrówki. Może więc ten jegomość jest właśnie Kapitanem Nemo?

Na jeziorze pokazał się płynący bajdewindem biały jacht Wacka Krawacika. Płynął dość szybko, zmierzając najwyraźniej w stronę Czaplęgo Ostrowa. Przez jakiś czas w milczeniu obserwowaliśmy jego zgrabną sylwetkę.

— Ci państwo z jachtu — odezwał się nagle Kaznodzieja — szukali bandy Czarnego Franka. Pytali mnie, czy nie zauważyłem ich, płynąc wśród tych wysp i zatok. Wtedy nie wiedziałem, że to banda Czarnego Franka hałasowała w nocy na Czaplaku. Ale chyba ktoś ich o tym poinformował, bo właśnie płyną w tamtą stronę.

— Na Czaplaku nie ma teraz bandy. Płynąłem blisko brzegu. Nie widziałem tam nikogo — zauważyłem.

— Może wczesnym rankiem odpłynęli gdzie indziej? — odpowiedział dziwny jegomość.

Już miałem na końcu języka pytanie: „Czy pan nie jest Kapitanem Nemo?”, ale usłyszałem warkot — od strony Lipowego Ostrowa i wyspy Łąkowej pokazał się szary ślizgacz Kapitana Nemo. Mknął na największych obrotach, błyskawicznie wyprzedził jacht Wacka Krawacika i po kilku minutach zniknął nam z oczu za Czaplim Ostrowem. A więc ten dziwny gość nie był Kapitanem Nemo.

— Kim pan jest, u licha? — wyrwało mi się. — I co pan tu robi?

Zdumiało go moje pytanie.

— Przepraszam pana — odparł grzecznie — ale to jezioro jest tak rozległe, że chyba panu nie przeszkadzam?

— Oczywiście, że nie.

— Więc, dlaczego pan pyta, co ja tu robię i kim jestem? Ja z takim pytaniem do pana się nie zwróciłem. A przecież mógłbym zapytać choćby o ten dziwny pana pojazd, którym pan jeździ i pływa. Nie zrobiłem jednak tego przez grzeczność. Co do mnie zaś, jestem tym, kim chcę być, i robię to, co mi się podoba. Czy zadowala pana moja odpowiedź?

— W zupełności... — odrzekłem ze skruchą.

Po takiej wymianie zdań wydawało mi się, że uczynię najlepiej, jeśli wsiądę do wehikułu i odpłynę w swoją stronę. Zrobiłem to z żalem, bo dziwny jegomość intrygował mnie, a i miejsce, gdzie siedzieliśmy, było niezwykle piękne. Wyobraźcie sobie podłużny, zadrzewiony po brzegach półwysep wchodzący w szeroko rozlaną toń jeziora. Wydłuża go jeszcze piaszczysta ostroga, przez którą przelewają się zielonkawe fale. Na półwyspie rośnie soczysta trawa i o kilkanaście metrów od brzegu zaczyna się gęsty, młody las, sosny i brzozy. Wymarzone miejsce na biwak ze wspaniałym widokiem: z jednego brzegu — na Jeziorak aż do Siemian, a z drugiego — na Czaplę Ostrów.

Przez moment zastanawiałem się, czy nie przewieźć swych rzeczy w to urocze miejsce, ale uprzedził mnie Kaznodzieja.

— Tu będę nocował — stwierdził. I dodał: — A ponieważ pan mieszka, zdaje się, na drugim brzegu, głos piszczałki tutaj usłyszę.

— Nie sądzę, abym znalazł się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Do tej pory zresztą zawsze jakoś sam umiałem wychodzić z opresji — odparłem oschle.

Tajemniczość dziwnego jegomościa zaczynała mnie irytować. Nie chciałem być za nadto podejrzliwy i w każdym pletwonurku widzieć poszukiwacza zatopionej ciężarówki. Lecz przecież naiwnością byłoby sądzić, że tylko przypadek sprowadził tego pletwonurka na miejsce, gdzie należało się spodziewać skarbu. Ten człowiek nie tylko dla sportu wędrował po dnie jeziora. Może był pomocnikiem Człowieka z Blizną?

Powiedziałem mu „do widzenia” i odpłynąłem. Tym razem skierowałem się do Czaplaka, gdzie na płyciźnie okalającej wyspę stał biały jacht Wacka Krawacika. Płynąłem wolno, z lornetką przy oczach, dlatego widziałem dokładnie nie tylko jacht, ale i postacie na pokładzie. Najpierw rozpoznałem białą panią, a potem Wacka Krawacika i Brodacza. Obydwaj właśnie zeskakiwali z jachtu do wody i brnęli po płyciźnie w stronę lądu. „Czego oni tam szukają?” — pomyślałem.

I wtedy zobaczyłem, że ktoś nadchodzi z głębi wyspy. Maszerował przez pustynne wrzosowisko, widziałem go coraz wyraźniej. Był to... Czarny Franek. Szedł prosto w stronę jachtu.

Zrozumiałem, że teraz nadarza się sposobność, aby odkryć tajny obóz bandy. Czarny Franek będzie chyba wracał do obozu. Wystarczy wtedy pójść jego śladem.

Czym prędzej podpłynąłem do trzcin obrastających południową stronę wyspy, wjechałem w nie i zakotwiczyłem wehikuł. Przedarłem się przez trzciny do brzegu i wlałem w nadbrzeżne krzaki. Ostrożnie wychyliłem się z nich. Ujrzałem Wacka Krawacika i Brodacza. Siedzieli w płytkiej kotlinie przy zachodnim brzegu, o pięćdziesiąt metrów ode mnie. Czarny Franek szedł prosto na nich, suche wrzosa głośno szeleściły pod podezwami jego wysokich gumowych butów.

„A jednak to chyba spotkanie. I to umówione” — obudziła się we mnie ciekawość.

Co może łączyć Czarnego Franka z wymoczkowatym Wackiem Krawacikiem?

Przypomniałem sobie *Winnetou*. Old Shatterhand zazwyczaj najlepsze informacje zdobywał podsłuchując rozmowy różnych podejrzanych typów. Wprawdzie ani Brodacz, ani książę spinningu nie byli podejrzanymi osobnikami, ale Czarnego Franka mogłem uznać za opryszka. A jeśli porządni ludzie umawiają się na spotkanie z opryszkiem, jest w tym coś intrygującego.

Podsłuchiwanie? No tak, to coś brzydkiego i niegodnego dżentelmena. A jednak ja-koś żaden z czytelników *Old Surehanda* nie miał o to pretensji do bohatera tej powieści. Może więc i mnie to zostanie wybaczone?

Jak Indianin zacząłem skradać się wzdłuż brzegu. Kryłem się za młodymi leszczynami, za wysokimi krzakami dzikich malin. Biegłem na czworakach, to znów pełzałem jak wąż, byle tylko znaleźć się jak najbliżej kotlinki, gdzie siedzieli Wacek Krawacik i Brodacz.

Im bliżej byłem, tym trudniejsze stawało się ukradkowe podejście. Kotlinka znajdowała się bowiem w pewnym oddaleniu od brzegu i rosnących na nim drzew i krzaków. Wrzosowisko dochodziło aż do krawędzi kotlinki i od tej strony chyba tylko mysz mogła się podkraść niezauważenie. Natomiast od strony jeziora rozciągała się duża połać wysokich i gęstych dzikich malin. Tędy właśnie czołgałem się pełen obaw, czy któremuś z siedzących nie zechce się nagle skosztować słodkich, różowych owoców.

Uwielbiam maliny. Ich smak wydaje mi się niezrównany. Ale tego dnia znienawidziłem ich kolące gałązki. Wczepiały się w moją koszulę, drapały po twarzy i dłoniach, a jednocześnie — co było najgorsze — głośno szeleściły, gdy uwalniałem się od ich drażniącego uchwytu. Na szczęście od jeziora wiał wiatr, szumiały drzewa na brzegu, głuszając te szelesty.

Skradając się przez krzewy, straciłem z oczu kotlinkę i wrzosowisko. Kierowałem się tylko odgłosami rozmowy Wacka Krawacika i Brodacza. A potem, ponieważ głowę miałem blisko ziemi, doszło moich uszu głośne tąpnięcie. To nadchodził Czarny Franek.

Byłem już dostatecznie blisko. Dalej podkradać się nie było sensu. Nie zależało mi na tym, aby ich widzieć; wystarczyło, że słyszałem każde słowo.

Położyłem się na plecach. Ukryty w gąszczu malin nad sobą miałem tylko rozległy obszar nieba z białymi niewielkimi chmurami, które co chwila przysłaniały słońce. Dostrzegłem także czaplę wolno poruszającą skrzydłami w locie na zachód, zapewne w poszukiwaniu żeru.

— Cześć! Czołem! — usłyszałem głos Czarnego Franka. — Panowie mają do mnie jakiś interes? Taką wiadomość przekazał mi jeden z moich kumpli...

Wacek Krawacik pospieszył z zaproszeniem:

— Proszę bardzo, niech pan siada. Może papieroska? Mam carmeny.

— Nie lubię — burknął Czarny Franek. — Wolę sporty.

Usłyszałem trzask zapalanej zapalniczki, potem doleciał mnie wonny dym carmenów i podobny do palących się starych szmat smród sporta.

Teraz odezwał się Brodacz:

— Szkoda czasu na bawienie się w ceregiele. Od razu powiem panu, w czym rzecz. Tylko proszę nas źle nie zrozumieć. Poprosiliśmy pana na spotkanie, ponieważ wiemy, że pan rządzi chłopakami, którzy biwakują nad tym jeziorem. I jest pan ich niekoronowanym królem...

Brodacz zaczął od pochlebstw. Czarny Franek był jednak chyba spryciarzem dużej miary. Przerwał mu lekceważąco, a nawet z ironią:

— Ja tam, panie szanowny, w tytuły arystokratyczne się nie bawię. Starczy, że ten pan jest księciem spinningu i że z jego wysokością sporta sobie palę.

Brodacz udał, że nie wyczuł szyderstwa. Ciągnął dalej, tym samym łaskawym tonem:

— Przystąpmy do sprawy. Skradziono nam torbę. Nie chcemy wnikać, kto to zrobił, nie zamierzamy meldować o tym milicji...

— O, przepraszam bardzo. Kradzieże mnie nie interesują — burknął Czarny Franek.

I zapewne oburzony zerwał się ze swego miejsca, bo Brodacz szybko powiedział:

— Niechże pan siada i posłucha do końca. Nikt pana nie oskarża o kradzież. Chodzi o to, aby pan wiedział, że skradziono nam torbę, w której była bardzo cenna dla nas rzecz. Nie zależy nam na jej pozostałej zawartości, a były tam przedmioty wartościowe, jak na przykład wspaniały nóż fiński, kompas, sto metrów żyłki na szpuli, komplet francuskich błystek, zapasowy bęben do spinningu typu Rex, a także komplet kolorowych długopisów. Potrafimy przeboleć tę stratę, chodzi nam tylko o jedną rzecz: o mapę Jezioraka z zaznaczonymi na niej miejscami łowisk różnych ryb. Pan zdaje sobie sprawę, że dla kogoś, kto nie pasjonuje się wędkarstwem, taka mapa to jest nic, ot,

bezwartościowy papier! Ale dla nas, a szczególnie dla mojego przyjaciela, który w tym roku chce zdobyć złoty medal, utrata mapy stała się szkodą niepowetowaną.

— Rozumiem. Ale co ja mam z tym wspólnego?

— Ukradł tę torbę któryś z chłopaków kręcących się nad jeziorem. Pan nimi rządzi i panu łatwiej niż nam dowiedzieć się, kto to zrobił. Nie chcemy, aby ten osobnik poniósł karę. Pragniemy odzyskać mapę łowisk i gotowi jesteśmy ją od pana odkupić.

— Dam sto złotych wtrącił Wacek Krawacik.

Czarny Franek tylko parsknął śmiechem.

— Co pan, mości książę? Za sto złotych mogę panu buty wyczyścić, a nie odzyskać mapę łowisk. Jak pan zacznie rozmowę od tysiąca złotych, to być może się zastanowię, czy nie warto zbadać, gdzie aktualnie znajduje się ta mapa.

— Tysiąc?! Pan oszalał — warknął Krawacik.

— W takim razie, panowie, zostańcie w spokoju, a ja pójdę swoją drogą — powiedział Czarny Franek i chyba znowu podniósł się ze swego miejsca.

Brodacz zaczął łagodzić spór:

— Spokojnie, panowie. Tylko bez nerwów. Co do ceny możemy się dogadać. Lecz najpierw chcemy wiedzieć: potrafi pan dostarczyć nam mapę?

Zapadło milczenie. Czarny Franek zastanawiał się chwilę, aż wreszcie rzekł:

— Zobaczymy. Popytam tego i owego. Może ktoś coś wie o waszej mapie. Odpowiedzi udzielę jutro o tej samej porze i w tym samym miejscu. Tylko uprzedzam, jeśli z tą sprawą będzie miała coś wspólnego milicja, mapy na oczy nie zobaczycie. A teraz panowie pozwolą, że ich pożegnam.

Usłyszałem odgłos stąpania, co znaczyło, że ruszył w powrotną drogę przez wrzosowisko. Nadeszła okazja, aby idąc za nim ukradkiem, trafić do tajnego obozowiska. Lecz nie mogłem ruszyć się z miejsca, dopóki ci dwaj siedzieli w kotlinie.

— A to drań! Tysiąc złotych! Bezczelność! — złościł się Wacek.

Brodacz mruknął:

— No to co? Trzeba było pilnować torby. Ty, bratku, nawet nie wiesz, ile trudu i strachu kosztowało mnie zdobycie tej mapy.

— Mówiłeś mi, że ją kupiłeś od jakiegoś faceta.

— Kupiłem? — zdenerwował się Brodacz. — Ukradłem, a nie kupiłem, choć miałem jak najlepsze chęci. Ten facet pokazał mi mapę i zaproponował kupno. Ale był zamieszany w aferę z fałszywymi znaczkami pocztowymi i go przymknęli. Wiedziałem, że on tę mapę trzyma na szafie w swoim pokoju, poszedłem więc do jego domu, zagałęm jego matkę i gdy ona poszła do kuchni, żeby mi zrobić herbaty, ja tę mapę zwędziałem, rozumiesz? Bo po co mu ta mapa? W więzieniu mu się na nic nie przyda, no nie? — zachichotał drwiąco.

— Odzyskamy mapę — stwierdził Krawacik. — Odzyskamy ją, i choćbym miał wybulić pięć tysięcy. Ta mapa zwróci nam wszystko z nawiązką.

Podnieśli się i poszli w stronę jachtu. Brodacz coś tam jeszcze klarował Wackowi, ale słów już nie rozróżniałem.

Gdy odeszli dostatecznie daleko, ostrożnie wychyliłem głowę z malin i rozejrzałem się na wszystkie strony.

Wacek Krawacik i Brodacz właśnie wchodzili do wody, aby po płyciźnie dostać się do jachtu. Czarny Franek szedł na przelaj przez wrzosowisko i zbliżał się do kępy karłowatych sosenek. Nie mogłem maszerować jego śladem wprost, bo obejrząwszy się na-

tychmiast by mnie dostrzegł. Pobiegłem więc do zadrzewionego brzegu, i kryjąc się za liniami olszyn, ogromnym półkołem zmierzałem do tego miejsca, dokąd, jak mi się zdało, szedł Czarny Franek.

Nawet nie przypuszczałem, że śpieszę na spotkanie nowej przygody.

ROZDZIAŁ SIÓDMY [\[top\]](#)

NA PUSTKOWIU CZAPLAKA • BANDA ŻĄDA OKUPU • KAPITAN NEMO ATAKUJE • STRASZNA CHWILA BANDY CZARNEGO FRANKA • FORTEL KAPITANA NEMO • NARZEKANIA WYROSTKÓW • ODKRYWAM TAJNY OBÓZ • NIEWDZIĘCZNOŚĆ PANA ANATOLA • MARTA BIERZE MNIE NA SPYTKI • DĄB KAPITANA NEMO • PISZĘ LIST DO NEMO

Czapli Ostrów, czyli Czaplak, jest ogromną wyspą tworzącą niemal koło o średnicy co najmniej pół kilometra. Jak większość wysp na Jezioraku brzeg ma obrosnięty drzewami, a wewnątrz z rzadka pokryte karłowatymi sosenkami. W odróżnieniu jednak od pagórkowatych wysp Bukowca lub Łąkowej powierzchnia Czaplaka jest równa i przypomina ogromną patelnię.

To porównanie staje się jeszcze trafniejsze w okresie letnich upałów. Wiosną Czapli Ostrów porasta młoda trawa, rolnicy przyprowadzają krowy i konie na wypas, ale im bliżej lipca, tym bardziej ziemia wysycha, a zielona roślinność utrzymuje się jeszcze tylko na brzegach, w cieniu drzew i w pobliżu wody. Wnętrze Czaplaka staje się jałową pustynią, rozpaloną od słońca.

Wędrowiec, który trafi tu w takim właśnie czasie, znajdzie się w krainie ponurej, przygnębiającej. Oto ogromny szmat ziemi, gdzie na próżno szukać na piasku świeżego śladu stopy ludzkiej. Przed oczami roztacza się dywan mchów i porostów, suchych, łamiących się pod stopami. Mchy są rude i siwe, miejscami rdzawe lub czerwone, tu i ówdzie ścielą się wielkie niekształtne plamy żółtego piasku, obrzeżonego szarością spalonych od słońca traw. Gdzieniedzie na jałowej glebie zażółci się rozchodnik lub wystrzeli kwitnący dziurawiec; jakaś karłowata sosienka kurczowo trzyma się piasku. Niektóre części wyspy pokrywają rozległe dywany wrzosu, wczesnie tu zakwitającego i kruchego jak szkło.

Samotny wędrowiec na Czaplaku słyszy tylko ten szelest łamiących się pod nogami wrzosów i mchów, spotyka na swej drodze jakieś ledwo widoczne ścieżynki, które wiosną wydeptały zwierzęta, a może i ludzie. Nie słyszy się tu głosu ptaka; ptasi ród unika jałowego, pustynnego wnętrza wyspy. Najczęściej zagłada tu chyba lis, polując na szaraki, które nieopatrznie zapędziły się w tę stronę.

I oto przez tę wyspę maszerował samotnie Czarny Franek, a ja skradałem się wzdłuż mrocznych, cienistych brzegów. Szedł na wschód, przecinając wyspę na pół. Zmierzał do najniższej położonej części Czaplaka, gdzie brzeg wyspy zbliżał się do ładu, a wąską cieśninę porastały wysokie trzciny, w których znajdowało się legowisko czapli.

Czarny Franek szedł wolno, bo słońce mocno prażyło. Ja, w cieniu drzew, przyspieszyłem kroku i wyprzedziłem go. Na wschodnim brzegu znalazłem się na długo przed nim.

Do nisko położonej części wyspy przenikała wilgoć z jeziora i rosła tu bujna trawa. Przez, morze trzcin wycięta została wąziutka przesieka, otwierając płytki bród — jedyne połączenie wyspy z lądem. W długich gumowych butach można było wydostać się z wyspy, idąc między wysokimi ścianami zielonych trzcin. Tędy chyba wiosną przeganiało bydło na Czaplak.

Odkryłem maleńki pagórek, porośnięty młodymi sosnami. Schowałem się wśród drzew myśląc, że Czarny Franek kieruje się do brodu i za chwilę pojawi się w moim sąsiedztwie. Wychylając głowę spomiędzy sosenek widziałem skrawek pustyni Czaplaka, skąd powinien być nadejść. Za sobą miałem dziką krainę trzcin rozkołysanych lekkim wiatrem.

Po chwili przekonałem się, że Czaplak nie jest wcale tak bezludny, jak mi się to wydawało. Usłyszałem głosy ludzkie dochodzące z pobliskiej kępy olszyn nad brzegiem jeziora.

Zaciekawiony podkradłem się w tamtą stronę i oto oczom moim ukazała się obramowana trzcinami głęboka zatoka wrzynająca się w wyspę, a na brzegu zatoki pan Anatol i pan Kazio. O kilka metrów od nich leżało na trawie pięciu wyrostków z bandy Czarnego Franka. A więc ich szef wprowadził poszedł sam na spotkanie z Wackiem Krawackiem, lecz miał na wyspie „obstawę”.

Pan Anatol na przemian to gniewnym, to znów błagalnym tonem przemawiał do wyrostków:

— Panowie, jeszcze raz was proszę, oddajcie nam łódkę. Po drugiej stronie jeziora pozostały nasze żony i bardzo się niepokoją z powodu długiej nieobecności. Chciecie, aby niepokój przyprawił je o chorobę?

Zarechotali głośno. A jeden z wyrostków rzekł:

— Pan, panie szanowny, w kółko to samo. My nic nie wiemy o waszej łódce. Przyszliśmy tu i patrzymy: dwóch facetów łowi ryby. A panowie do nas z pretensją: gdzie jest łódka? Skąd my to możemy wiedzieć?

Drugi wyrostek dodał:

— Panowie ją źle przycumowali i łódka uciekła. My czekamy na kolegę i wasza łódka nic nas nie obchodzi. Owszem, możemy jej poszukać, ale nie bezinteresownie. Trzeba będzie połączyć po trzcinach, zmoczyć się do pasa, a to grozi zaziębieniem. Zresztą, w tych trzcinach są pijawki i inne robactwo. Za pięćdziesiąt złotych możemy się jednak poświęcić.

Pan Anatol spojrział na trzcinę i też chyba pomyślał o wstrętnych pijawkach. Pan Kazio milczał jak zaklęty, pewnie gotów by dać nawet sto złotych, byle tylko znaleźć się na biwaku, u boku swej małżonki.

Dla mnie sprawa była oczywista: obydwaj panowie łowili ryby z brzegu wyspy, łódkę mieli gdzieś obok. Chłopcy ją schowali, a teraz żądali okupu za „odnalezienie”.

„Dostaną pięćdziesiąt złotych i łódka się znajdzie” — pomyślałem z wściekłością. Ale gdybym wkroczył do akcji, być może zepsułbym zupełnie całą sprawę. Chłopcy odeszliby z wyspy, a łódkę bardzo trudno byłoby znaleźć w gęstwinie trzcin.

Już chciałem wrócić między sosenki, gdy nagle pojawiła się nowa postać.

Nie wiem, skąd się on nagle wziął na brzegu zatoki? Może podobnie jak ja śledził Czarnego Franka? A może ukryty w krzakach obserwował wędkarzy i wyrostków.

Kapitan Nemo!

Niewysoki, w czarnym przeciwsturmowym płaszczu z kapturem mimo upału narzuconym na głowę.

Pięciu wyrostków z otwartymi ze zdumienia gębami siedziało nieruchomo na brzegu i tępo wpatrywało się w drobną czarną sylwetkę. Kapitan Nemo zrobił ruch swoim spinningiem i obróciwszy się w stronę trzciny, wskazał panu Anatolowi jakieś miejsce.

— Tak, tak! Tam jest! Teraz widzę nasze łódkę! — wrzasnął radośnie pan Anatol.

I zapominając o pijawkach, rzucił się w trzciny, a za nim pośpieszył pan Kazio.

A Kapitan Nemo odwrócił się w stronę wyrostków. Jego wzrok jak gdyby ich paraliżował i przygwałdzał do ziemi. Nie drgnęli nawet wtedy, gdy obydwoj wędkarze wyciągnęli łódkę z trzciny i pomrukując słowa podziękowania pod adresem Kapitana Nemo odbili od brzegu.

Nagle nad zatokę wybiegł Czarny Franek. Jednym spojrzeniem objął gromadkę swych kolegów i Kapitana Nemo.

— Łapać go, chłopaki! — wrzasnął. — Złapać i zedrzeć mu ten czarny kaptur!

Chłopcy zerwali się z trawy. Coś błysnęło w ich rękach tak, mieli fińskie noże! Czarny Franek wyprzedził ich i ogromnymi susami sadził w stronę stojącego na brzegu Kapitana Nemo.

Tamten nie uciekał — choć pędzili na niego z dzikim wrzaskiem — i to powstrzymało mnie od rzucenia mu się na pomoc, przeczuwałem bowiem, że w ten sposób realizuje on jakiś swój nowy zamiar.

W jego rękę drgnął spinning, usłyszałem ostry świst żyłki. Duży ołowiany ciężarek poszybował w powietrzu i trafił Czarnego Franka prosto w żołądek. Chłopak zgiął się od tego uderzenia, jakby dostał cios pięścią. Może zresztą nie tyle go zabolalo, co zaskoczyło nagłe i celne uderzenie.

Zatrzymał się i złapał za brzuch. Wówczas Nemo odwrócił się i skoczył w ubraniu do wody, biegnąc przez pływającą w stronę łódki pana Anatola. Dalej już było głębiej i musiał płynąć w ciężkim nieprzemakalnym ubraniu, w kapturze na głowie. A pan Anatol, który siedział przy wiosłach, zamiast wstrzymać łódź i zaczekać na pływającego, jeszcze szybciej poruszył wiosłami. Przeraziły go widać noże w rękach nadbiegających opryszków.

Czarny Franek zapomniał o bólu. W biegu zdejmował z siebie spodnie i koszulę. To samo robiła jego banda.

Dopadli jeziora i skakali jeden za drugim. Już płynęli za wychylającą się z wody głową w kapturze.

Lecz Nemo dobrze znał tę zatokę. Dotarł do nowej mielizny i ruszył po niej zanurzony po pas. Zgraja dopiero płynęła ku mieliznie, krzykiem nakłaniając się wzajemnie do pośpiechu.

A on jakby przestał się spieszyć. Rozbryzgując wodę, zmierzał do ściany trzciny. Gdy chłopcy dopłynęli do mielizny, on zanurzony po pas wchodził w trzciny.

Pan Anatol i pan Kazio już byli daleko od brzegu. „Ach, co za łajdaki, nie zabrali go ze sobą!” — pomyślałem z gniewem.

Jakże żałowałem, że mój wehikuł jest po drugiej stronie wyspy i nie mogę pospieszyć Nemo z pomocą. Może w ten sposób poznałbym go i zostałbym jego przyjacielem?

Gdy Czarny Franek i jego banda dotarli do trzciny, rozległ się nagle ryk silnika i na jezioro wyskoczył jakby wyrzucony jakąś potworną siłą ślizgacz. Wspaniałe, trzydziesto-konny silnik grał na najwyższych obrotach.

„Uciek! Uciek!” — powtarzałem jak w upojeniu, taka mnie radość ogarnęła.

Ślizgacz raptownie skręcił. Rozbryzgując wodę, aż zbieła od piany, ominął bandę i błyskawicznie dobił do brzegu. Nie wyłączając silnika, a tylko włączając wolny bieg, Kapitan Nemo wyskoczył na ląd.

Bez pośpiechu pozbierał rozrzucone tam ubrania chłopców, poskładał noże i wrzucił wszystko do ślizgacza. Uruchomił śrubę i wolno odbił od lądu. Pogroził jeszcze wyrostkom swoim spinningiem, a później wszedł do kabinki i zwiększył obroty. Po chwili już go nie było w zatoczce. Słyszałem tylko zamierający w oddali warkot silnika, a fale wywołane śrubą ślizgacza były jeszcze przez jakiś czas mocno o brzeg wyspy.

Czy opisać wam dokładnie, co się teraz działo nad zatoką? Chłopcy wyszli na brzeg mokrzy, półnagzi, tylko w slipkach. Zamierającemu warkotowi ślizgacza towarzyszyły narastające przekleństwa. Wkrótce jednak wyczerpał się ich arsenał, usiedli na brzegu i zaczęli biadolić:

— Zabrał moją ostatnią paczkę papierosów... Miałem taki piękny nóż...

— W kieszeni miałem trzydzieści złotych i dokumenty. Zabrał taką fajną koszulkę polo... Moje portki były jak nowe...

Tylko Czarny Franek nie biadolił. Siedział na trawie z podciągniętymi pod brodę kolanami i milczał ponuro, patrząc w to miejsce, gdzie zniknął ślizgacz.

Jego milczenie przyjęli jako wyraz klęski. I natychmiast posypały się pretensje i oskarżenia:

— Ty jesteś wszystkiemu winien. Dlaczego kazałeś na niego napaść? Odszedłby swoją drogą, a my mielibyśmy spokój.

— Roman ma rację, jesteś kiepskim dowódcą. Jeść już nie ma co, mięso owcy się zaśmierdło, komary nas gryzą w obozie. Przed milicją trzeba się kryć. A ty co?

— Zostaliśmy bez ubrań i teraz dziewczyny nas wyśmieją. Zobaczysz, dziś wieczorem Roman zrobi naradę i zabierze ci dowództwo.

Przez jakiś czas Czarny Franek cierpliwie słuchał tych oskarżeń. Jakby się nie mógł otrząsnąć z myśli o Kapitanie Nemo. Aż nagle zerwał się na równe nogi.

— Milczeć, hołota! Przez kogo te wszystkie kłopoty? Czy nie zakazałem wam kraść kajaków i zabijać tej owcy na wyspie? Posłuchaliście nie mnie, tylko Romana. Mówiłem: nie robić szumu zaraz w pierwszych dniach po przybyciu nad jezioro. Czekać na wielki skok. Lecz wy, głupcy, słuchacie Romana. Butlę i lampę też niepotrzebnie podkradliście harcerzom. I teraz musicie kryć się w obozowisku, ani nosa nie wyściubić.

Przerwał mu któryś z golasów:

— Wielki skok? Gdzie masz ten wielki skok?

— A właśnie, że już się szykuje. Będzie można zarobić grubą forszę, jak ją zdobędziemy, całe jezioro przewrócimy do góry nogami, a potem znikniemy. Pojedziemy nad morze, rozumiecie? Ale przedtem muszę dostać w swoje ręce Kapitana Nemo. Dziś wieczór będzie narada i musicie wybrać: Czarny Franek czy Roman. A teraz wracamy do obozu, może dziewczyny dadzą nam jakieś łachy.

Po tej przemowie chłopcy poczuli się rażniej. Posłusznie wstali i ruszyli za Czarnym Frankiem.

Przeszli bród i znaleźli się na obrośniętej wierzbami polnej drodze. Zaraz jednak znowu skręcili z niej w stronę jeziora. Wtedy ja też przeszedłem bród. Ostrożnie wychyliłem głowę zza trzciny i zobaczyłem, że idą ścieżką na przelaj przez pola. Ścieżka omijała zarośla i zmierzała ku widocznej między drzewami zatoce Jezioraka.

Zauważyłem, że chłopcy coraz częściej rozglądają się na wszystkie strony, jakby chcąc się upewnić, czy nikt ich nie obserwuje, czy nie zagraża im jakieś niebezpieczeństwo.

Wszystko wskazywało więc na to, że obozowisko znajduje się gdzieś bardzo blisko.

Pole było duże, rosły na nim ziemniaki. Jak na dłoni leżał przede mną cały teren aż do jeziora. Nikt, kto się znajdował na polu, nie mógł mi zniknąć z oczu. Ale i mnie dostrzeżono by natychmiast, gdybym wyszedł zza ściany trzciny.

Uzbroiłem się więc w cierpliwość i czekałem. A oni szli coraz wolniej i coraz częściej rozglądali się na wszystkie strony. Aż wreszcie stanęli nad brzegiem jeziora. I po sekundzie już ich nie widziałem. Jakby się w jezioro zapadli.

„Może to pułapka? — zastanawiałem się. — Położyli się w krzakach nad wodą i obserwują pole”.

Czekałem jeszcze jakiś czas. w końcu postanowiłem zaryzykować. Poszedłem jednak nie ścieżką przez kartoflisko, lecz wzdłuż trzciny. Potem, skradając się ostrożnie od krzaka do krzaka, znalazłem się w miejscu, gdzie zniknęli mi z oczu.

Nie było po nich nawet śladu. Czyżby odpłynęli łódką albo na trzciniowych trawach?

Widziałem stąd drugi brzeg z ciemną ścianą lasu i oddaloną o sto metrów od lądu malutką, podobną do zielonej kępy wysepkę. Otaczała ją zwarta ściana trzciny, robiła wrażenie bagnistej, dostępnej tylko ptactwu wodnemu.

Lecz nagle w zieleni drzew na wysepce mignęło coś jasnego. Raz, drugi, trzeci... Tak, to sześciu gołych chłopaków ostrożnie wychodziło z wody i zniknęło w trzcinach.

A więc to właśnie ta malutka wysepka była ich tajnym obozowiskiem? Dostawali się do niej za pomocą wiązek trzciny. Wspaniale znaleźli miejsce. Nikomu, kto przepływał obok, nawet chyba na myśl by nie przyszło, że w zielonej gęstwinie drzew i krzaków kryje się banda młodych opryszków.

Szybkim krokiem wracałem na Czaplak, a potem przez jego pustynię brnąłem do miejsca, gdzie zostawiłem swój wehikuł. Od rana nie miałem nic w ustach. A przecież nie odczuwałem ani głodu, ani pragnienia. Dręczyła mnie myśl o mapie łowisk. Cóż to była za dziwna mapa, że Wacek Krawacik i Brodacz chcieli zapłacić za nią tyle pieniędzy? Co miały znaczyć słowa Krawacika: „Ta mapa zwróci nam wszystko z nawiązką”?

„Muszę obejrzeć mapę, zanim trafi ona do rąk Wacka Krawacika” — pomyślałem.

A jednocześnie zaczynały mnie dręczyć wyrzuty sumienia. Czy po to przybyłem nad Jeziorak, aby walczyć z Czarnym Frankiem, oglądać mapy łowisk? Czy jest sens interesować się tymi sprawami, gdy moim celem winno być odnalezienie Człowieka z Blizną i zatopionego skarbu?

Przebyłem pustynię Czaplaka i dotarłem do drugiego brzegu wyspy. Na płyciźnie nie zobaczyłem już jachtu Wacka Krawacika. Odpłynął, gdy ja śledziłem Czarnego Franka.

Wlazłem do wehikułu i po chwili zbliżyłem się do miejsca, gdzie stał mój namiot, a obok mieszkali rycerze spinningu z małżonkami.

Przed moim namiotem, na mojej kuchence gazowej, na mojej patelni smażyła wielkiego szczupaka panna Marta z jasnym warkoczem. U sąsiadów także smażono ryby — trzy małe krasnopióry i jedną płotkę.

Pan Anatol łytał okiem na ogromnego szczupaka na mojej patelni; i zdało się, że ma ochotę przemówić, ale milczał. Ten wielki szczupak odbierał mu chęć do pouczeń, a zadawanie pytań nie leżało zapewne w jego naturze.

Gdy przyplłynąłem do brzegu swoim wehikułem, Marta, która widziała na wodzie mój samochód, nie wyraziła zdumienia. Tylko powiedziała:

— Dlaczego ja się od razu nie domyśliłam, że pański samochód jest amfibią? Teraz wiem, w jaki sposób znalazł się pan na drugim brzegu, choć promem pan nie przeplynał. Wiem też, że z pana taki sam tajemniczy ptaszek jak i z Kapitana Nemo.

Po chwili dodała wskazując na patelnię:

— Tylko tego szczupaka złowiłam. Pan chyba się nie gniewa, że bez pozwolenia wzięłam z namiotu pana maszynkę i olej? Ale z jednym szczupakiem do domu wracać nie warto. Jestem głodna, a pan zapewne i również nic nie jadł.

W tym momencie poczułem straszliwy głód. Mówiła prawdę: było południe, a ja od rana nie miałem nic w ustach. Szczupaczysko pachniało tak mocno, że aż mi się żołądek skręcał.

— Czy pani chce postępować w myśl przysłowia, które powiada, że do serca mężczyzny trafia się przez żołądek? — zapytałem, siadając możliwie najbliżej patelni ze szczupakiem.

Z udaną powagą skinęła głową.

— To prawda, że we mnie warto się zakochać. Co dzień na obiad miałby pan wspaniałą rybkę.

— A ja sądziłem, że to pani zakochała się we mnie — powiedziałem ze zdumieniem. — Wszystkie oznaki o tym świadczą: żyć pani beze mnie nie może. Gdy wracam zdżony do swego wigwamu, zastaję uroczą osóbkę, która mi smaży wspaniałą rybę. Mój Boże, czy aby nie znalazłem się w rajku?

Pana Anatola i jego Myszkę zmogły jednak zapachy rozchodzące się z mojej patelni. Obydwoje podeszli do nas. Myszka rzekła do swego męża z odrobiną pretensji w głosie:

— O, właśnie takie ryby powinieneś łapać, Anatolu.

— I będę łowił — oświadczył dumnie pan Anatol. — Tylko chciałbym wiedzieć, gdzie pani złapała tego szczupaka?

Dziewczyna wskazała palcem pobliską, porośniętą gdzieniegdzie kępami grążeli zatoczkę, oddaloną od nas o sto metrów.

— O tam, w pobliżu starego dębu, proszę pana.

Pan Anatol wzruszył ramionami.

— Według wszelkich znanych mi teorii wędkarstwa tam nie ma prawa żerować szczupak. Brakuje trzciny, proszę pani. On lubi chodzić wzdłuż trzciny.

Panna Marta westchnęła ciężko:

— Nie wiem, proszę pana. Może to jakiś zabłąkany szczupak?

— Tak — zgodził się. — Mamy do czynienia ze zjawiskiem nietypowym...

Rozgniewała mnie gadanina pana Anatola. Miałem do niego szczególną pretensję za jego brzydki postępek wobec Kapitana Nemo.

— A może pana teorie są błędne? Pół dnia wędkował pan koło Czaplaka, ale jak widzę, złowił pan tylko cztery małe rybki.

Machnął ręką.

— Przydarzyła się nam straszna przygoda i dlatego połów nie mógł być udany. Jakieś łobuziaki skradły nam łódkę i schowały ją w trzcinach. A potem żądały za nią pięćdziesiąt złotych. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie wtrącił się do tej sprawy jeszcze jeden człowiek, jakiś wariat, proszę pana. Słyszałem, jak te łobuziaki wołały na niego Kapitan Nemo. O mało nie doszło do bitwy, tamci już wyciągnęli noże...

— A pan oczywiście uciekł — powiedziałem.

— Odplynąłem — z naciskiem odrzekł pan Anatol. — Ja się do bójek nie mieszam. Ten Nemo ma jakieś porachunki z łobuziakami, ale po co nas wciąga w tę sprawę? Wskazał nam wprawdzie, gdzie jest łódka, ale my i tak, bez niego, za pięćdziesiąt złotych mielibyśmy z powrotem naszą łódź. Ja nigdy nie uciekam, proszę pana.

Wyglądało na to, że się trochę na mnie obraził.

Siedziałem zły, poirytowany jego gadaniną.

— Dlaczego pan nie je? — usłyszałem pytanie panny Marty. I dopiero w tym momencie zorientowałem się, że mam na kolanach talerz z trzema kawałkami usmażonego szczupaka.

— Czy ukroić panu chleba?

Ta jej troskliwość tylko dołała oliwy do ognia. Jeszcze bardziej się zirytowałem.

— A może pani od razu włoży mi kawałek szczupaka do ust? — przedrzeźniałem jej uprzejmy ton. — Czy sądzi pani, że ja nie domyślam się, jaka jest przyczyna tej troskliwości? Pani chce wiedzieć, gdzie jest obozowisko bandy Czarnego Franka. Pani mi wczoraj specjalnie powiedziała o tym pierścionku, wiedząc, że to mnie zachęci do poszukiwań obozu. Ale ja panią rozczaruję: nie wiem, gdzie jest obóz. Nie wiem i już. A choćbym nawet wiedział, to i tak nie powiedziałbym o tym pani, bo nie chcę, żeby przez głupi pierścionek pakowała się pani w awanturę z nożownikami. A w ogóle uprzejmie zawiadamiam panią, że banda Czarnego Franka nic mnie nie obchodzi, mam inne sprawy do załatwienia.

Zdaje mi się, że w złości powiedziałem za wiele. Bo ona natychmiast podchwyciła moje słowa.

— Inne sprawy? Jakie?

— Ach tak — oburzyłem się. — Chce pani zostać moim spowiednikiem?

— Nie rozumiem, dlaczego się pan aż tak złości? Nie znalazł pan obozu, to nie, mówi się trudno. Przestało mi zależeć na pierścionku. I na chłopaku, który mi go darował, również mi nie zależy, odkąd pojawił się Kapitan Nemo. Ach, sto takich pierścionków oddałabym, żeby poznać tego Kapitana! Pan go dziś widział?

— Widziałem — mruknąłem. — Był na Czaplaku i zdaje mi się, że śledził Czarnego Franka, aby znaleźć tajne obozowisko bandy. Tylko, że jak zwykle zwyciężyła w nim szlachetność. Zauważył kłopoty pana Anatola i niepotrzebnie się wtrącił. Pani sama słyszała, co mówił pan Anatol.

I opowiedziałem jej dokładnie o całym zdarzeniu.

— Wspaniały! On jest niezwykle — zachwycała się panna Marta. Sam przeciw sześciu nożownikom? To prawdziwy bohater. Wydaje mi się, że kocham Kapitana Nemo.

Odstawiłem talerz na trawę.

— To może ja zostawię tego szczupaka, skoro pani zmieniła obiekt swych zainteresowań sercowych? Od dziś zapewne nie dla mnie, tylko dla Kapitana Nemo będzie pani smażyć rybki?

Roześmiała się.

— To z pana taki zazdrośnik? A w ogóle chciałabym wiedzieć, co pan robił na Czaplaku, gdy Kapitan Nemo samotnie walczył z nożownikami?

— Siedziałem w krzakach — odparłem bezczelnie.

— Tak? Nie posądzałam pana o taką małostkowość.

Bo to nie była małostkowość, tylko wielkoduszność. Może pani być pewna, że serce aż rwało mi się do walki u boku Kapitana Nemo. Ale wówczas musiałbym wyjść z kryjówki i nie odnalazłbym obozu Czarnego Franka. Gdy przekonałem się, że Kapitan Nemo da sobie radę beze mnie, pozostałem w kryjówce.

— Rozumiem — skinęła głową. — Innymi słowy, pan jednak wie, gdzie jest obozowisko bandy.

— Owszem, znam miejsce, gdzie obozuje banda. Lecz nie powiem pani, ponieważ nie chcę, aby z powodu tego pierścionka spowodowała pani nową awanturę. Pojedzie tam pani ze swoimi braćmi. Czarny Franek pierścionka oddać nie zechce, może dojdzie do bójki. I po co? Dla pierścionka? Zresztą, pani już teraz kocha Kapitana Nemo.

— A pewnie, że on mi się podoba sto tysięcy razy więcej niż ktokolwiek inny — odparła zaczepnie. — Stał się moim ideałem.

Coś mnie zakłuło.

— Przyznaję, że jest wspaniały — stwierdziłem po chwili namysłu. — Imponuje mi jego odwaga i zręczność. Nie wszystko jednak w jego postępowaniu mogę pochwalić.

— Ach tak? Cóż takiego budzi pana zastrzeżenia?

— Uważam, że niepotrzebnie uderzył ołowianą kulką Czarnego Franka. A gdyby tak trafił w oko?

— Kapitan Nemo ma nieomylny rzut. A poza tym, cóż to? Staje się pan obrońcą nożowników? A co by zrobił Czarny Franek, gdyby schwycił Kapitana Nemo? Czy także by uważał, aby mu nie zrobić krzywdy?

— Nie wiem, co by zrobił Czarny Franek. Ale jego sposobami walczyć nie należy. I druga sprawa. Dlaczego im zabrał ubrania? Wystarczyło wziąć noże. Czuję niechęć do tej bandy, ale przecież ci chłopcy siedzą teraz skurczeni z zimna i gryzą ich komary!

Nie wiem, czy zdołałem ją przekonać. Siedziała przez jakiś czas zamyślona, być może rozważając postęпки Kapitana Nemo. A ja umyłem patelnię w jeziorze, potem zapaliłem fajkę i usiadłem przed namiotem.

— Moją historię z pierścionkiem — znowu podjęła rozmowę — uznał pan za niegodną uwagi. Powiedział mi pan dzisiaj, że sprawa bandy Czarnego Franka nic pana nie obchodzi, bo coś ważniejszego ma pan na względzie. Więc dlaczego, proszę pana, śledził pan Czarnego Franka i tak bardzo zależało panu na odkryciu jego obozu?

Zaimponował mi jej spryt. Uśmiechnąłem się i pomyślałem, że przecież nic złego chyba się nie stanie, jeśli jej opowiem o spotkaniu Wacka Krawacika z Czarnym Frankiem.

— Fiuuuu! — gwizdnęła przeciągle, bardzo zaintrygowana. — Tak im zależy na tej mapie? Gotowi za nią zapłacić?!

A potem spojrzawszy na mnie uważnie, stwierdziła:

Zastanawiałem się też, dlaczego właśnie w tym spróchniałym dębie pozostawił mokre ubranie, a nie zabrał go do swego mieszkania, bo przecież chyba gdzieś mieszkał?

Dziupła była dość głęboka. Kapitan Nemo włożył kije między jej brzegi i jak na ramiączku w szafie suszył w dębie swoje mokre ubranie rybackie.

Włożyliśmy listy do kieszeni kurtki, a potem pożegnałem Martę i zawróciłem do swego obozu. Chciałem przespać się trochę, odpocząć przed wyprawą, którą zaplanowałem na dzisiejszą noc.

Na jeziorze, w czerwonym świetle gasnącego słońca, głośno krzyczały mewy, jakby kłócąc się ze sobą o kolację. Nad brzegiem nisko latały jaskółki, zbierało się bowiem na deszcz.

Idąc do swego namiotu wciąż spoglądałem na drugą stronę jeziora. Dlaczego nie ma Człowieka z Blizną? Czyżby zawieść miały wszystkie moje rachuby i przewidywania? Czyżby wyprawa na Jeziorak po zatopiony skarb gotowała mi klęskę?

Raptem od strony starego dębu usłyszałem warkot motoru ślizgacza.

„Nemo był w pobliżu dębu z dziuplą. I może nawet nas obserwował. A teraz odpłynął” — pomyślałem.

ROZDZIAŁ ÓSMY [\[top\]](#)

WYPRAWA W MROKACH NOCY • W TAJNYM OBOZIE BANDY • JENIEC •
ROZMOWA OPRYSZKOW • PRÓBA UWOLNIENIA JEŃCA • NIEWIDZIALNY WRÓG •
CZY JESTEM KAPITANEM NEMO • W NIEWOLI NA WYSPIE • RUDA BRONKA •
CIĘŻKI LOS JEŃCÓW

Zbudził mnie łomot kropel na brezentowej płachcie namiotu. Wyjrzałem na dwór i przekonałem się, że nad jeziorem już zapadł zmrok. U moich sąsiadów paliły się w namiotach lampy gazowe i słychać było pogwar rozmów.

Deszcz silniej załomotał na płótnie namiotu, a potem raptownie przestał padać. Zapewne chmura odeszła gdzieś dalej, zrosiwszy okolicę tylko odrobiną wody. Powietrze nie ochłodziło się, przeciwnie, zrobiło się jeszcze bardziej parno i duszno. Tej nocy zapowiadała się porządna ulewa.

Umyłem twarz w jeziorze, a ponieważ poczułem głód, ukroiłem sobie kawałek czerstwego, kupionego przed czterema dniami chleba, posmarowałem go masłem i dżemem truskawkowym. Noc zapadła szybko, więc szkoda mi było czasu na gotowanie wody na herbatę.

Nadmuchałem dętkę zapasowego koła, z kufra wehikułu wyjąłem nieprzemakalną torbę, w której zamierzałem potem schować ubranie. Zasznurowałem namiot, aby moi sąsiedzi myśleli, że nadal śpię. Zarzuciłem dętkę na ramię i ruszyłem cicho brzegiem jeziora, kierując się w stronę, skąd najbliższej było do wysepki zamieszkaanej przez bandę Czarnego Franka. Albowiem właśnie ta wyspa była celem mojej wyprawy.

Noc gęstniała z każdą chwilą; jezioro wyglądało jakby w nie ktoś nalał atramentu. Nie było wiatru. Po wodzie rozchodziło się kwakanie kaczorów buszujących w przybrzeżnych trzcinach.

Przyspieszyłem kroku. Zdawałem sobie sprawę, że tej nocy będzie bardzo ciemno, bo po niebie sunęły deszczowe chmury. W nieprzeniknionym mroku trudno byłoby odnaleźć małą wysepkę na ogromnej polaci jeziora.

Wreszcie — gdy po lewej ręce został w tyle Czaplak — ujrzałem małą, czarną plamę. To była wyspa z obozowiskiem bandy.

Nieraz w miłym towarzystwie zażywałem nocnych kąpiel w rzece lub jeziorze. Ale teraz czekała mnie samotna wyprawa w czarnej jak atrament toni. Dlatego — chociaż świetnie pływać zabrałem ze sobą nadmuchaną dętkę samochodową. Miałem na niej transportować ubranie schowane do nieprzemakalnej torby; chciałem również zapewnić sobie możliwość krótkiego odpoczynku.

Rozebrałem się i rzuciwszy na wodę dętkę po cichu zanurzyłem się w czarną toń.

Woda była nad podziw ciepła. O wiele cieplejsza od otaczającego mnie powietrza. Płynąłem powoli, aby nie robić plusku; musiałem zresztą popychać przed sobą dętkę z ubraniami.

Ubranie trzeba było zabrać — po powrocie, w nocnych ciemnościach mogłem go nie odnaleźć. A poza tym trudno było przewidzieć, jak długo pozostanę na wysepce. Może przez jakiś czas będę siedział ukryty w zaroślach, obserwując bandę Czarnego Franka? Po wyjściu z wody mogło mi być zimno, no i komary... Niestety, nie brakuje ich na mazurskich jeziorach.

Woda w jeziorze nie miała jednolitej temperatury, niekiedy obejmował mnie niemal lodowaty chłód; zapewne trafiłem na jakieś podwodne prądy albo źródła.

Taka samotna nocna wyprawa stwarza specjalny nastrój. Nie wierzę oczywiście w istnienie węży i potworów zamieszkujących wielkie jeziora, a przecież wciąż miałem uczucie, że ocieram się o jakieś zimne i śliskie cielska, że coś chwytła mnie za nogi i obezwładnia ręce.

Choć nie wiał najłżejszy wiaterek, jezioro pełne było jakiegoś dziwnego życia. Coś w nim pluskało, to z tej, to z tamtej strony. Wydawało mi się nawet, że zupełnie niedawno ktoś czy coś płynie parszcząc. Nadśluchiwałem długo, ale parszczenie nie powtórzyło się więcej, natomiast wyraźnie słyszałem cichy, jednostajny plusk, jakby ktoś bardzo ostrożnie płynął.

„Może to ktoś z bandy Czarnego Franka?” — pomyślałem...

I zdwoiłem ostrożność. Przede mną wyrastał z jeziora zwarty, nieprzenikniony masyw drzew na wysepce.

Pod nogami wyczułem zwirowate dno. Wysepkę otaczała płycizna. Dotarłem do szuwarów i zagłębiłem się w nie, uważając, aby nie spowodować hałasu, chociaż przypuszczałem, że banda Czarnego Franka raczej nie rozstawia na wysepce wart. Niegościnne wrażenie, jakie sprawiała ona na przepływających, dawało chyba bandzie poczucie spokoju i bezpieczeństwa.

Tymczasem noc stała się jeszcze ciemniejsza i znowu zaczęło pokapywać. Po omacku trafiłem na twardy grunt i wśliznąłem się w kępę młodych olszyn. Wtedy zobaczyłem światelko. Paliła się turystyczna lampa na gaz propan-butan, zapewne ukradzioną z obozu harcerskiego.

Na niewielkiej, kolistej polance chłopcy z bandy Czarnego Franka wycięli krzaki i nisko rosnące gałęzie drzew. Wyższe gałęzie pozostawili, tak że tworzyły one naturalny baldachim. Nienaruszone zostawili również krzaki dookoła polanki, a ponieważ były bardzo gęste, nawet ktoś przepływający o krok od wyspy nie dostrzegłby blasku.

Na polance stał duży szałas zbudowany z gałęzi. Konstrukcję z żerdzi pokrywały snopki trzciny, coś w rodzaju strzechy stanowiącej świetną ochronę przed deszczem. Banda nie paliła ogniska, nie mógł więc jej zdradzić dym. Nie dziwiłem się już, że w ubiegłym roku nikt nie odkrył tajnego obozowiska.

Wokół palącej się lampy gazowej siedziała kręgiem cała banda — trzynaście osób. Nie, czyżbym się pomylił? Naliczyłem ich aż czternaście...

No, tak! Czternasta osoba była przywiązana do pnia drzewa na skraju polanki. To z nią prowadził rozmowę Czarny Franek.

— Nie myśl sobie, maminsynku, harcerzyku zatracony — mówił — że cię tak od razu puścimy do twojego obozu. Najpierw z tobą poigramy. Będziesz tu siedział z przywiązanymi do drzewa rączkami, a komary urządują cię tak, że spuchniesz jak bania. Ale sam sobie jesteś winien. Po co przypląnąłeś na przeszpiegi? Krogulec cię tu przysłał? Ja mam z nim porachunki jeszcze z ubiegłego lata, a ty jesteś z jego zastępu, prawda?

— Nic wam nie powiem — burknął przywiązany chłopak.

I wtedy go poznałem. To był Baśka z zastępu Krogulca.

— Nie musisz mi nic mówić — roześmiał się Czarny Franek. — Krogulec rozesłał was na wszystkie strony, żeby odnaleźć nasz obóz. Bo on chce urządzić na nas najazd. I ty, spryciarzu, nasz obóz znalazłeś. Tylko że to ci się na nic nie przyda. Dwa lub trzy dni posiedzisz u nas jako jeniec, a potem powrócisz do Krogulca i pokłonisz mu się od nas. Za trzy dni nas już tutaj nie będzie. Załatwimy pewną sprawę, zrobimy wielką drakę i cześć, harcerze. Szukajcie wiatru w polu.

Harcerz nie prosił, żeby go puścili, nie błagał o litość i tym mi zaimponował.

Odezwał się ktoś inny z bandy. Z zaczepnego tonu domyśliłem się, że to chyba konkurent Franka do przewodzenia, Roman.

— A jeśli przez trzy dni nie załatwimy tej sprawy, to co wtedy? Jedzenia nie mamy, a jeszcze tego chłopaka trzeba będzie żywić. Gaz się nam wkrótce skończy, po obozach i biwakach strach się pokazać, głodno i chłodno, a ty sam w babskich portkach chodzisz, tak cię ten Nemo wykołował.

Rzeczywiście, dopiero teraz zauważyłem, że Czarny Franek nosił damskie spodnie. Zapewne któraś z dziewczyn miała oprócz sukienki jeszcze parę spodni, które mu pożyczyła. Inni z tych, co to ich odzieży pozbawił Kapitan Nemo, też byli poubierani cudacznie w portki z koca, w pożyczone damskie bluzki i koszule.

— Znowu szurasz? — rozżłościł się Czarny Franek i zaciśniętą pięść podsunął pod nos Romana. — A kto winien, że strach się wszędzie pokazać? Czy to nie twoje dzieło? Co do tych trzech dni, wszystko zależy od was. Powiedziałem wam już, że Wacek Krawacik gotów jest zapłacić kupę forsy za odzyskanie mapy łowisk. Choćby i pięć tysięcy możemy od niego wyciągnąć. Trzeba więc tę mapę odnaleźć. Dostaniemy kupę forsy i w świat. Nad morze, panowie i panie. Autostopem do Sopotu, na molo.

— A on da te pięć tysięcy? — powątpiewał Roman.

— Ty go nie znasz... To nadziany facet, mama jego handluje najmodniejszymi krawatami. Sam widziałeś, jak się puszy swoim jachtem. Księciem spinningu go nazywają, bo srebrny medal dostał za ryby. Ale dla takiego faceta to mało. On chce być królem. A jak zostanie królem, skoro nie wie, gdzie najlepsze ryby biorą?

— Nie wierzę w te pięć tysięcy. I nie wierzę, że odnajdziemy tę torbę z mapą — upierał się Roman.

Czarny Franek doskoczył do niego z pięściami. Byliby się pobili, ale reszta chłopaków ich rozdzieliła.

— Dopóki ja tu rządę, musisz się podporządkować i robić, co ci każę! — zawołał Czarny Franek.

A Roman odrzyknął, rwąc się do bitki:

— Miną te trzy dni i przekonają się wszyscy, jakie są twoje rządy. Jeść nie ma co, pić nie ma co, papierosów brakuje. Co będziemy palić? Olszynowe liście?!

Ta ich kłótnia była mi na rękę, bo pochłaniała uwagę całej bandy. Zacząłem podkraść się ku młodemu jeńcowi. Ale zadanie miałem przed sobą niełatwe. Niosłem ubranie i dętkę pokaznych rozmiarów, co utrudniało mi ruchy, a także powodowało dodatkowy szum, bo o dętkę ocierały się liście. Lecz nie chciałem jej zostawić, bojąc się, że jej nie odnajdę, gdy nadejdzie chwila ucieczki z Baską.

Czarny Franek i Roman wciąż się kłócili. Ale tym razem jeszcze Czarny Franek zwyciężył. Byłem już niemal za plecami Baški, gdy banda zgodnym „hura” rozstrzygnęła spór na jego korzyść. Przy nim zostało wodzostwo gangu.

— Psssst — szepnąłem do Baški. — Jestem twoim przyjacielem... Nie daj po sobie poznać, że wiesz o mojej obecności...

Baśka ani drgnął. Jakby nie słyszał mojego szeptu. „Będzie z niego kiedyś znakomity zwiadowca” — pomyślałem.

W kieszeni spodni namacałem scyzoryk, rozwarłem jego ostrze. Nagle odezwała się ruda dziewczyna, która jeszcze w gospodzie ludowej wzbudziła moje zainteresowanie.

— A ja nie krzyczę „hura” jak inni. I ciebie, Czarny, i Romana uważam za tchórzy. Obydwaj tylko myślicie o tym, jak umknąć przed Nemo. Zostawił was bez portek, zdarł wasz sztandar, kpi sobie z was w żywe oczy. Myślałam, że jesteście inni. Uciekłam z domu, bo mówiliście, że tutaj znajdę przygodę, życie piękne i surowe. A wy jesteście najzwyklejszą bandą złodziejasków. To piękne życie ma polegać na uciekaniu przed milicją? Przekonałam się, że jesteście tchórzami i nawet bić się nie umiecie. Nigdy nie biliście się z silniejszym od siebie, tylko ze słabszym. Zawsze w kilku napadacie na jednego. Myślałam, że będziemy łowić ryby, smażyć je na ogniu, piec ziemniaki, żyć prymitywnie — inaczej niż w mieście. A wy? Siedzicie przy kradzionej lampie, jecie kradzione mięso. I to ma być niezwykła przygoda? Nemo sam jeden potrafi się rozprawić z całą waszą bandą.

Chlastała ich tymi słowami jak batem. Nie kryła swej pogardy.

Roman tylko splunął głośno.

— To idź do tego Nemo, jak jesteś taka mądra — powiedział. My tu jaśnie panienek nie potrzebujemy. Wracaj do mamusi.

Ale Czarnemu Frankowi zrobiło się trochę wstyd. Boleśnie chyba odczuł słowa dziewczyny.

— Ty, Bronka — rzekł — wiesz, że ja tego wszystkiego nie chciałem. Ani tych kradzieży, ani innych awantur. Co najwyżej miały być draki z turystami. Ale wyszło inaczej, z winy Romana. Wszyscy byli głodni, więc ich Roman namówił na zabicie owcy i od tego się zaczęło. Ale jak tylko odnajdziemy tę mapę i Wacek Krawacik da forszę, wyjedziemy nad morze i będzie inaczej. Pieniądzy nam starczy na chleb i mięso. Tam będzie prawdziwa przygoda. Pójdziemy do rybaków, zaczniemy im pomagać łowić ryby, może nawet wypłyniemy z nimi na morze.

— Nie chcę. Już teraz nie chcę! — krzyknęła histerycznie Bronka. — Przekonałam się, że nie przygoda nas czeka, tylko dom poprawczy. Możecie stąd odejść jutro lub za tydzień, a ja zostanę, bo chcę poznać Kapitana Nemo.

„O Boże — pomyślałem — jeszcze jedna zadurzyła się w Kapitanie Nemo”.

— A ja kicham na Kapitana Nemo — wrzasnął rozszłoszczony Czarny Franek. — Umyka przed nami jak zając. Niechby tu się zjawił... I w tym momencie z krzaków po drugiej stronie polanki coś wyleciało i upadło pod nogi Czarnego Franka. Jakieś duże zawiniątko.

— Kto to? Co to? — posypały się głosy.

— To nasze ubrania! — zawołał któryś z chłopaków.

Ktoś inny wrzeszczał:

— Nemo jest na wyspie! Rzucił nam ubrania. On jest gdzieś tutaj. Chwytajcie go! Szukajcie!

Jakby ktoś petardę rzucił w sam środek polanki. I jak odłamki petardy chłopaki i dziewczęta prysnęli na wszystkie strony malutkiej wyspy.

Moja ciekawość została ukarana. Zamiast w chwili gdy powstało zamieszanie, przeciąć sznury opasujące Baškę i skoczyć z nim do jeziora, słuchałem ich kłótni. A teraz, kiedy dopadłem do Baški, było już za późno.

Na kark wskoczyło mi aż czterech dryblasów. Kilka dziewcząt trzymało Baškę.

— Jest! Jest! Mamy go!

Związali mnie jak barana i zawlekli przed lampę gazową. Na powrót też skrupowali Baškę i pozostawili go na skraju polanki.

— Więc to jest Kapitan Nemo! — triumfował Czarny Franek.

— Masz, Bronka, swojego bohatera. Leży u moich stóp. I będzie jeszcze cienko śpiewał.

— Że też od razu nie domyśliliśmy się, kim jest Nemo. Przecież on był z nami w gospodzie, gdy otrzymaliśmy list z pogroźkami — powiedział Roman.

Któraś z dziewcząt zajęła się zawiniątkiem rzuconym na polanę. Podała Czarnemu Frankowi jego spodnie i koszulę. A także kartkę.

— Tu jest jeszcze list od Nemo — powiedziała. — Był w waszych rzeczach.

— List? Po co mamy go czytać? On sam teraz nam powie, co napisał. Znowu pewnie jakieś pogroźki, co panie Kapitanie? — i Roman potracił mnie czubkiem buta.

Zamierzałem przez jakiś czas udawać Kapitana Nemo, aby on znalazł się w bezpiecznej odległości od wyspy, ale bezczelna mina Romana tak mnie zirytowała, że burknąłem:

— Głupi jesteście, chłopcze, Nemo wam umknął. Ja nim nie jestem.

— Słyszysz, Bronka, jaki to odważniak? — zachichotał Franek. Ze strachu gotów się wyrzec ojca, matki, a nawet samego siebie.

— Przeszukajcie jeszcze raz wyspę. Znajdziecie moją dętkę i ubranie — powiedziałem. — Kapitan Nemo nosi nieprzemakalny kaptur i kurtkę. I ciemne okulary.

Chłopcy znowu rozbiegli się po wyspie. Któryś z nich miał elektryczną latarkę. Oczywiście znaleźli dętkę i ubranie.

— On nie jest Nemo — oświadczyła Bronka. — Nemo nie wypierałby się swojej osoby. Byłby dumny z tego, że jest Nemo.

Czarny Franek nie chciał zrezygnować z triumfu.

— Kłamie. To tylko wybieg z jego strony, żeby się uratować przed naszą zemstą. Roman ma rację: ten facet był w gospodzie wtedy, gdy dostaliśmy pierwszą kartkę.

Spojrzał na list, który mu podała dziewczyna.

— To nie pan go pisał? — zapytał drwiąco.

— Nie.

— Zaraz sprawdzimy. Ale najpierw przeczytam ten liścik.

Po raz drugi was ostrzegam: umykajcie z Jezioraka. Ja tu jestem panem i nie chcę waszego towarzystwa. Dość kradzieży i awantur. Oddaję wasze łachy, bo się nimi brzydzę.

Kapitan Nemo

Było zbyt ciemno, abym mógł widzieć wyrazy twarzy Czarnego Franka. Ale jestem pewien, że aż poczerwieniał ze złości.

— No, zobaczymy, kto tu jest panem i kto się stąd wyniesie. Chłopaki! — wykrzyknął. — Dajcie mi notes i ołówek. Ten pan napisze moją odpowiedź. Rozwiążcie mu prawą rękę.

Po chwili miałem na kolanach notes, a w palcach trzymałem ołówek. Sześciu chłopaków otaczało mnie ciasno, bym nie zdołał umknąć.

Czarny Franek dyktował mi:

— Panem Jezioraka jest Czarny Franek. Od dziś Kapitan Nemo przestaje istnieć.

Bronka zajrzała do kartki trzymanej przez Czarnego Franka, a potem pochyliła się ku mnie i zerknęła na moje bazgroły.

— Trzeba być ślepym, żeby nie zauważyć: to nie ten pan pisał list od Kapitana Nemo — rzekła. — Od razu domyśliłam się, że on nie jest Nemo.

Po kolei wszyscy członkowie bandy zaczęli porównywać mój list z listem od Nemo. Jedni twierdzili, że oba charaktery pisma są do siebie podobne. Inni zaś byli zdania, że kartki pisały dwie różne osoby.

— Nie muszę nikogo udawać — powiedziałem z dumą. Mam własną sławę i przeżyłem też sporo niezwykłych przygód. Nazywają mnie Pan Samochodzik.

O, jakże złudną sprawą jest sława. Czarny Franek tylko się roześmiał:

— Pan Samochodzik? Skonać można ze śmiechu na takie przezwisko. Nigdy o kimś takim nie słyszałem.

Tylko Baśka pisał radośnie.

— O rany, Pan Samochodzik! Wilhelm Tell tyle nam o panu opowiadał. O wszystkich waszych przygodach nam mówił.

— Tell? — krzyknąłem w jego stronę. — A gdzie jest teraz Tell?

— On dowodzi naszą drużyną, Panie Samochodzik! — odkrzyknął Baśka.

Czarny Franek podniósł głos:

— Nie rozmawiać ze sobą. Jeńcy nie mają prawa prowadzić rozmów.

Ale czułem, że zabiłem mu poprzedniego ćwieka. Nie był już tak pewien, czy rzeczywiście schwycił Kapitana Nemo.

— Pan Samochodzik? — pytająco rzekł do mnie. — Nigdy o panu nie słyszałem. Czym się pan zajmuje i co robi pan na naszej wyspie?

Wzruszyłem ramionami.

— Mnie to wcale nie boli, że nikt o mnie nie słyszał, A zakradłem się na wyspę, żeby uwolnić tego chłopca. Nie znoszę, kiedy kilku wyrostków pastwi się nad młodym chłopcem. Nie chciałbym, abyście wzięli to za objaw tchórzostwa, ale nie zamierzałem z

wami walczyć. Uważam, że powinno się pomóc wam zrozumieć to, co już pojęła Bronka. W taki sposób prawdziwej przygody nie przeżyjecie.

— O Boże święty! — jęknął Czarny Franek. — Pan nie jest Samochodzik, tylko Samogłędzik. Chłopaki, zaciągnijcie go pod drzewo do tego harcerzyka. Niech sobie pogadają o harcerskich przygodach.

Zaciągnęli mnie do Baśki pod drzewo. Zaczęli się naradzać, co tu począć w nowej sytuacji. Bo przecież już nie tylko Baśka, ale i ja, i tajemniczy Kapitan Nemo poznaliśmy ich tajne obozowisko. Jak zwykle doszło znowu do kłótni między Czarnym Frankiem a Romanem — tym razem o wybór miejsca na nowy obóz.

Nie przysłuchiwałem się ich swarom, wołałem porozmawiać z Baśką.

— Nie miałem pojęcia, że Tell jest drużynowym — odezwałem się szeptem. — A tym bardziej, że przybył nad Jeziorak.

— W tym roku zrobił maturę — wyjaśnił Baśka. — I został dowódcą naszej drużyny. Inni jego przyjaciele, Wiewiórka i Sokole Oko, szkolą się na specjalnym obozie dla przyszłych instruktorów harcerskich. A on z naszym hufcem przyjechał nad Jeziorak. Mamy obóz koło Siemian.

— Krogulec jest w jego drużynie?

— Tak.

— I to on cię tu przysłał na przeszpiegi?

— Na zwiad, proszę pana — obraził się Baśka.

— Nie podoba mi się postępowanie Krogulca. Po co wam informacje o obozie Czarnego Franka?

— Chłopcom i dziewczętom z naszego obozu dużo rzeczy zginęło... Ta lampa gazowa jest również nasza. Czas wreszcie ukrócić panowanie Czarnego Franka.

— Zgadzam się, że skradzione rzeczy należy odzyskać. Tylko nie w ten sposób. Harcerze kontra banda łobuzów? Sam przecież słyszałeś, co mówiła ta dziewczyna. Oni nie są jednacy, wszystkich do jednego worka wrzucać nie należy. Trzeba ich podzielić, odrzucić plewy od ziarna. Chciałabym o tym porozmawiać z Tellem.

— Niech pan przyjdzie jutro na ognisko harcerskie. Ale czy jest nadzieja, że oni do jutra nas wypuszczą?

— A co mają z nami zrobić? Do swego nowego obozu nas nie zabiorą. Co najwyżej wymyślą jakąś idiotyczną karę: ot, na przykład, zostawią nas na wyspie bez ubrań.

Od gromadki siedzących wokół lampy odłączyła się Bronka i podeszła do nas.

— Szkoda, że pan nie jest Kapitan Nemo — westchnęła i usiadła obok nas.

Baśka zaczął szeptać:

— Niech nas pani uwolni z więzów. Pani też nie podoba się ich postępowanie. Uciekniemy wszyscy razem, w trójkę.

Bronka wzruszyła ramionami.

— Co ty gadasz? Nie mogę ich zdradzać, choć uważam, że zostałam oszukana. Czarny Franek tak barwnie opowiadał mi o swoich zeszłorocznych przygodach nad Jeziorakiem, że zamiast jechać z rodzicami na wakacje, dałam się wciągnąć do gangu.

— A może on też szuka prawdziwej przygody? Tylko że nie potrafi jej znaleźć? — zapytałam.

Uśmiechnęła się.

— A pan przeżywa te prawdziwe przygody?

— Tak. Jestem właśnie na szlaku prawdziwej przygody. Proponuję pani: niech pani ich porzuci. Nie, nie musi pani nas uwalniać. Proszę jutro odłączyć się od bandy i poszukać mojego biwaku, który znajduje się na drugim brzegu. Przejdzie pani obok kilku starych dębów, jeden z nich będzie wypróchniały. Około pół kilometra dalej stoi mój namiot. Przeżyje pani wspaniałą przygodę, być może uda się pani poznać Kapitana Nemo.

— Pan zna Kapitana Nemo? — zainteresowała się.

— Nie. Ale pewnie niedługo go poznam. Więc niech pani odszuka mój biwak. Wyśle pani telegram do rodziców, aby byli o panią spokojni...

— Napisałam do nich list, że jestem nad Jeziorakiem, że dzieje mi się dobrze. I żeby się o mnie nie martwili.

— A może uda się pani namówić również Czarnego Franka, aby porzucił swoją bandę?

— Pan żartuje pokręciła głową. To przecież on zorganizował tę bandę. I miałby ją porzucić?

— Będę na panią czekał — powtórzyłem.

Wahała się.

— Nie wiem. Nie obiecuję...

Odeszła do gromady wiecującej przy lampie, która raptem zaczęła przygasać. Kończył się gaz w butli.

— Sprawdź więzy na rękach tych ptaszków — powiedział Roman. — Zaraz zrobi się ciemno i gotowi z tego skorzystać.

Podszedł do nas, obejrzał sznury na moich rękach i nogach. To samo zrobił u Baški.

— Idziemy spać — zarządził Czarny Franek. — Ale ze względu na jeńców i Kapitana Nemo należy trzymać warty. Pierwsze dwie godziny pilnować obozu będzie Lisia Skórka. Potem ja, a później Roman.

— A może uwolnimy jeńców? — zaproponowała Bronka.

— No, proszę, odezwała się jaśnie panienka — rozłościł się Roman. — Damy im po klapsie i do domu, co? Nie... Tak nie będzie. Jutro rano naradzimy się nad karą dla nich. Musimy ich oduczyć wtykania nosa w cudze sprawy.

Zgasła lampa gazowa. Ciemność okryła wysepkę. Banda skryła się w swoim szałasie, na dworze został tylko Lisia Skórka. Słyszałem, jak zabijał komary bzyzące mu koło twarzy, ziewał głośno, potem zapalił papierosa. „Taki smarkacz i już pali” — oburzyło mnie. I nawet zamierzałem mu coś na ten temat powiedzieć, lecz zrezygnowałem. Chciałem, aby banda jak najszybciej zapadła w sen. Wciąż miałem nadzieję, że może zdołam się oswobodzić z więzów.

Znowu deszcz zaczął szeleścić na liściach drzew. Tym razem padał coraz mocniej. Nikt z bandy jednak nawet nie pomyślał, że jeńcy mokną. Kilkakrotnie usiłowałem rozluźnić więzy na rękach, ale dłonie miałem związane na plecach. Nadzieja na odzyskanie wolności gasła we mnie w miarę, jak stawałem się coraz bardziej mokry. Ze współczuciem myślałem o Bašce, który leżał obok mnie i w milczeniu, bez skargi znosił ciężki los jeńca.

JAK SMAKUJE SZNUREK • CZY NEMO JEST NIEMOWĄ • NAJAZD NA WYSPĘ • CZY CZEKA MNIE NAJWSPANIALSZA PRZYGODA • CZEGO CHCIAŁ KAZNODZIEJA • NA PRZYŁĄDKU SANDACZA • CZY MOŻNA ŁOWIĆ NA ZAKŁĘCIE • „PATERNOSTER”

Deszcz monotonnie szemrał na liściach drzew. Kapało mi na nos, a potem zaczęło siąpić na kark. Byłem tylko w spodenkach, bo łobuziaki z bandy Czarnego Franka nie pozwoliły mi się ubrać. Z początku wolałem nawet deszcz niż roje komarów, które wabiła moja golizna, ale wkrótce ogarnął mnie chłód i zacząłem podzwaniać zębami. A co dopiero Baśka! Wyglądał na bardzo delikatnego chłopca. „Dostanie zapalenia płuc” — pomyślałem i szarpnąłem się w więzach.

Później ogarnęła mnie złość na Kapitana Nemo. Gdyby nie jego pojawienie się na wysepce, udałoby mi się uwolnić Baškę, a i sam nie popadłbym w niewolę bandy. Ale Kapitan Nemo, zdaje się uwielbiał takie sztuczki. „Efekciarz” — doszedłem do wniosku, może niezbyt sprawiedliwego. Lecz czy można być sprawiedliwym, kiedy na gołe ciało padają krople deszczu i z zimna podzwania się zębami?

— Baśka... — szepnąłem do chłopca.

— Słucham — usłyszałem jego szept.

— Przysuń się do mnie...

Zrobił kilka ruchów całym ciałem i znalazł się obok mnie. Ja również poruszyłem się w ten sposób, że plecami oparłem się o jego plecy.

Ręce miałem związane do tyłu w przegubach, podobnie jak i Baśka. Palcami namacałem więzy na jego dłoniach, lecz okazało się, że supeł miał na piersiach. Przewróciłem się na bok i tak się ułożyłem, że zębami sięgnąłem do sznurka na dłoniach Baški.

Och, mój Boże, jak się to przyjemnie czyta w książce, że bohater znajdujący się w niewoli — przegryza sznury lub zgoła skórzane paski. Ale czy kiedykolwiek ktoś z Was, Drodzy Czytelnicy, spróbował zębami przegryźć gruby sznur?

Gryzłem i gryzłem, a przecież dopiero po długim czasie udało mi się przerwać zaledwie jedno czy dwa włókienka. A nie było to żadne lasso jak w powieści, lecz zwykły sznur do wieszania bielizny.

— Może ja spróbuję przegryźć? — zaproponował mi szeptem Baśka.

— Nie dasz rady — mruknąłem. — Ręce mam związane starym krawatem. Musiałbyś mieć zęby morsa.

Deszcz szeleścił wciąż w drzewach, a ciemność była tak nieprzenikniona, że nie widzieliśmy nic nawet o krok. Co robił wartujący Lisia Skórka? Zapewne wlaź do szałas, gdzie spała banda. Gdybym tylko zdołał przegryźć sznurek, uciekliśmy bez żadnego trudu.

Czy wiecie, jak smakuje sznurek? Jest to coś obrzydliwego. Nie ma nic wstrętniejszego od smaku sznurka. Człowiek odnosi wrażenie, że gryzie stary zmywak do garnków.

I znowu pękły dwa włókienka...

A potem coś ciepłego dotknęło mojego ramienia.

— Cichoooo... — usłyszałem zduszony głos.

Czyjaś dłoń przesunęła się po moim ciele, namacała sznurek. Na nogach poczułem chłodne ostrze noża i sznurek został przecięty. Jeszcze chwila i to samo stało się z krawatem.

Po dwóch minutach Baśka również był wolny, w ciemnościach jego ręce dotknęły moich dłoni. Ktoś chwycił mnie mocno za ramię i pociągnął za sobą. Prześliznęliśmy się przez krzaki olszyn aż do brzegu jeziora.

Ów ktoś — zapewne Nemo — wciąż nie puszczał mojego ramienia. Przez trzciny doprowadził nas do swojego ślizgacza. Poczułem, że to ślizgacz, gdy potknąłem się o jego burtę.

— Muszę wrócić po swoje ubranie — powiedziałem do Kapitana Nemo. — Niech pan zabierze chłopca i odplywa. Ja sobie już dam radę. Wpław dostanę się do brzegu.

Nic nie odpowiedział. Ale mojego ramienia nie puścił. Drugą dłonią chwycił mnie za rękę i przesunął moimi palcami po dnie ślizgacza. Tak, leżały tam moje rzeczy.

Wleźliśmy do ślizgacza z trudem się w nim mieszcząc. Wiosła stuknęły o burty. Płynęliśmy wolno. Nemo wciąż nie zapalał silnika, zapewne nie chcąc budzić śpiącej na wyspie bandy.

Jakże żałowałem, że mrok nocy nie pozwala mi dojrzeć jego twarzy! Miał na sobie swój czarny strój, śliski i mokry. Głowę również krył w kapturze. Twarz jaśniała w mroku, ale rysów nie sposób było rozróżnić.

— Czy dostał pan mój list? — zapytałem.

Nie odezwał się. Jakby nie słyszał pytania.

— Pan nie chce rozmawiać na ten temat? — zagadnąłem go znowu.

Milczał.

Odezwał się Baśka.

— Pan jest wspaniały. To był niezwykle wyczyn — z tym podrzuceniem ubrań na polanę.

„Młodzież kocha efekty” — pomyślałem z goryczą. Lecz Baśka dodał:

— I dziękuję panu za uwolnienie. Pan Samochodzik wprawdzie już przegryzał moje więzy, więc za pół godziny bylibyśmy i tak wolni. Ale teraz prędzej będę w obozie. Dziękuję panu.

I tym razem nie usłyszeliśmy głosu Kapitana Nemo. Jakby był głuchy albo nie chciał w ogóle z nami rozmawiać. „To niegrzeczne — doszedłem do wniosku. — I trochę obraźliwe”. Nie podjąłem dalszych prób nawiązania rozmowy. Baśka, przekonawszy się, że Nemo nie chce z nami gadać, także milczał.

Płynęliśmy w zupełnych ciemnościach, nie mam pojęcia, jak on orientował się co do kierunku. W pewnej chwili, gdy zapewne doszedł do wniosku, że znajdujemy się dostatecznie daleko od wyspy, włączył silnik. Na małych obrotach zbliżył się do brzegu i dotknął mojego ramienia, tym ruchem nakazując mi, abym wyskoczył. A więc jednak wiedział, kim jestem i gdzie mieszkam; chyba przeczytał mój list.

— Czy podpłynie pan aż do harcerskiego obozu? — zapytał go Baśka.

Potakująco mruknął coś w odpowiedzi.

— Powiedz Tellowi, że jutro będę na waszym ognisku! — zawołałem do Baśki i wyskoczyłem ze ślizgacza w płytką, przybrzeżną wodę.

— Dziękuję panu! — krzyknąłem jeszcze do Kapitana Nemo.

Silnik zawarczał głośniejsz. Odplynęli, zalewając mnie wysoką, silną falą.

Poczłapałem na brzeg. Hałas motoru zamierał w ciemnościach nocy. Z namiotu moich sąsiadów usłyszałem zaspany głos pana Anatola:

— Kto tam? Kto tam?

— To ja. Sąsiad... — odrzekłem. — Wracam z nocnego połowu ryb.

— Złapał pan coś? — zainteresował się rycerz spinningu. Może nawet gotów był wyjść z namiotu, aby obejrzeć mój połów.

— Nie. Nic nie złapałem. Natomiast bardzo zmokłem.

Zachichotał radośnie. Odczuwał satysfakcję, że nie udał mi się połów, a do tego zmokłem, on zaś leży w zacisznym i suchym wnętrzu namiotu. Znowu poczuł się mądrzejszy, co zawsze, zdaje się, sprawiało mu ogromną przyjemność.

W namiocie zapaliłem turystyczną maszynkę gazową i zagotowałem szklanekę wody. Połknąłem pastylkę asprocolu i wśliznąłem się do śpiwora.

Wydawało mi się, że spałem tylko krótką chwilę. Zbudził mnie narastający hałas na jeziorze. Spojrzałem na zegarek: była trzecia nad ranem.

Wystawiłem głowę z namiotu i zobaczyłem jezioro okryte lekką, zwiewną mgłą. Środkiem toni, to zjawiając się, to znów znikając we mgle, płynęło dwanaście kajaków. Cztery z nich miały silniki tummlery i holowały po dwa inne kajaki. W każdym siedziała dwuosobowa załoga złożona z harcerzy w pełnym umundurowaniu. Razem dwudziestu czterech chłopca.

Przyłożyłem lornetkę do oczu. Dostrzegłem między nimi Baškę, krogulca i Wilhelma Tella. Nie ulegało wątpliwości, że kawalkada zmierza do wyspy Czarnego Franka.

„Banda śpi w szałasie i ani spodziewa się najazdu o tak wczesnej porze” — pomyślałem.

Kajaki wkrótce zniknęły we mgle, która tłumiała warkot silników.

A jednak odczułem pewną przykrość. Zapewne Baška powtórzył Tellowi, co myślę o konflikcie harcerzy z bandą Czarnego Franka. Najazd na wyspę świadczył, że Tell zlekceważył moje słowa.

„No cóż — westchnąłem w duchu. — To już nie jest ten sam harcerzyk, którego poznałem na Wyspie Złoczyńców. Ani ten, z którym poszukiwałem skarbu templariuszy i pamiętnika hitlerowskiego zbrodniarza. Chłopak podrośł, został drużynowym, uważa, że ma już dosyć doświadczenia, aby kierować się własnym przekonaniem.”

Po raz drugi zbudziło mnie skrobanie w płótno namiotu. Na trawie przed namiotem siedzieli z podwiniętymi nogami Wilhelm Tell, a obok niego Baška. Na brzegu leżał wyciągnięty kajak.

— Czy pan trochę nie za długo śpi po nocnych przeżyciach? — zapytał mnie wesoło Tell.

Uściskałem go serdecznie i zaprosiłem na śniadanie. Miałem chleb i pasztet w puszcze.

— Owszem, zjadłoby się coś, panie Tomaszu — zatarł radośnie ręce. Był w świetnym humorze. — Bo my już od trzeciej rano buszowaliśmy po jeziorze.

— Wiem. Popłynęliście na wyspę Czarnego Franka.

— W samą porę, panie Tomaszu. Banda już zamierzała dać drapak. Uciekli zresztą, gdy zobaczyli nasze kajaki i gromadę chłopców. Umykali wpław na ląd, pozo-

stawiając dziewczęta i skradzione rzeczy. W ich szałasie znaleźliśmy naszą butlę do gazu, lampę i wiele innych przedmiotów, zapewne ukradzionych z biwaków. Teraz ogłosimy to nad jeziorem i zwrócimy właścicielom.

— Nie doszło do bójki?

— Uciekali przed nami jak kaczki. Oni są odważni tylko wtedy, gdy mają do czynienia ze słabszymi — wzruszył pogardliwie ramionami.

— Mam nadzieję, że Baśka powiedział ci, Tellu, co o tym wszystkim myślę?

— Owszem, powiedział. Ale tym razem pan nie ma racji, panie Tomaszu. Mieliśmy pozostawić im skradzione rzeczy? Mamy tolerować ich chuligańskie wyczyny nad jeziorem? Wiem, co pan powie, należało o obozie Czarnego Franka zawiadomić milicję i ona powinna odebrać bandzie skradzione rzeczy. Lecz po pierwsze: na to już czasu nie było, banda szykowała się do wyprowadzki z wyspy. A po drugie: uważamy, że nasza młodzieżowa organizacja powinna pomóc w utrzymaniu porządku. Takie jest zadanie naszego harcerskiego kolektywu. To trochę głupie: ogromne zgrupowanie harcerzy, któremu banda łobuziaków podkrada różne rzeczy. Jeśli nie nauczymy się radzić sobie z chuliganami tutaj, na obozie, jakże poradzimy sobie z nimi w życiu?

Na czajniku zaczęła wesoło podskakiwać pokrywka. Baśka pokrajał chleb i posmarówował go pasztetem. Ten widok tak mnie radośnie usposobił, że przestałem się dąsać na Tella. Przecież nic złego się w końcu nie stało. Nie pojechali na wyspę, aby bić się z łobuziakami, lecz aby odebrać rzeczy, które im skradziono.

Nasyciliśmy pierwszy głód. Tell co chwila spoglądał na mnie wyczekująco. Wiedziałem, o co chodzi. Trawiła go ciekawość, skąd się tu znalazłem. Wietrzył w tym jakąś przygodę.

— Nic ci nie powiem, Tellu — oświadczyłem mu wreszcie. — Masz swoje własne harcerskie sprawy. Gdy cię wtajemniczę w cel mego przybycia nad Jeziorak, pociągnie cię moja przygoda i zaniedbasz obowiązki. Jeśli jednak chcesz mi pomóc... — zawahałem się — szukaj nad Jeziorakiem człowieka z blizną na prawym policzku. Wyświadczysz mi tym niezwykłą przysługę. Ja tu jestem właśnie po to, aby tego człowieka odnaleźć.

Zrozumiał, że nic więcej nie wyjawię. Zresztą musieliśmy przerwać rozmowę, bo właśnie obudził się pan Anatol i głośno poziewując wypełznął z namiotu.

Trochę zaskoczył go widok dwóch harcerzy jedzących śniadanie wraz ze mną.

— Pan ma ciągle nowych gości, proszę pana sąsiada — odezwał się. — Najpierw ta młoda dziewczyna łowiła dla pana ryby, a teraz ci młodzi karmią pana śniadaniem.

— O, przepraszam, to ja ich zaprosiłem.

— A wczoraj w nocy, gdy wymknął się pan na ryby, ktoś tu był i pytał nas o pana.

— Kobieta, mężczyzna?

— Mężczyzna. Bardzo dziwny człowiek. Przyplłynął gumową łódeczką i nawet przez jakiś czas czekał na pana, bo myślał, że pan nie odszedł daleko, skoro pozostał pana dziwny samochód. Nie potrafię opisać jego wyglądu, tyle tylko panu powiem, że opowiadał o ptakach, o powrocie do natury. Spać nam nie dał swoim gadaniem.

— To był Kaznodzieja — odgadłem.

— Kaznodzieja?

— Płetwonurek-Kaznodzieja, tak go przezwałem, bo widziałem, jak nurkował, a jego kazania na różne tematy nasunęły mi myśl, że może jest kaznodzieją.

— Ale chyba nie religijnym. Bo nam tu gadał o mewie śmieszce — stwierdził pan Anatol.

Tell i Baśka parsknęli śmiechem.

— Czy to taka mewa, proszę pana, co opowiada dowcipy?

Była już ósma. Po rannej mgle nie pozostało ani śladu, niebo było bez jednej chmurki i słońce mocno prażyło.

Ale barwa nieba, trochę jakby matowa, kazała przypuszczać, że utworzą się chmury i dzień nie będzie jednak słoneczny.

— A pan, panie Tomaszu, gdzie się nie ruszy, od razu wkracza w fajne historie — z podziwem stwierdził Wilhelm Tell, zabierając się z Baśką do odpłynięcia. — Jakieś dziwne typy pana odwiedzają. A cóż to za dziewczyna, o której ten pan wspominał? Naprawdę łowiła dla pana ryby?

— Złowiła wspaniałego szczupaka.

— Ech, że też ja nie mogę być tu wciąż z panem — westchnął Tell. — Zdaje mi się, że szykuje się nad Jeziorakiem przygoda najwspanialsza ze wszystkich, jakie dotąd przeżyłem.

Rad nierad musiał odpłynąć do swego obozu. Zepchnęli z Baśką kajak na wodę i uzyskawszy ode mnie zapewnienie, że przybędę wieczorem na ognisko harcerskie, odpłynęli, dziarsko machając wiosłami. A ja położyłem się za swoim namiotem i szkła lornetki skierowałem na przeciwległy brzeg.

„Czego chciał ode mnie Kaznodzieja?” — zastanawiałem się. Lecz nie znajdowałem żadnego sensownego uzasadnienia dla jego niespodziewanej wizyty.

Przeciwległy brzeg był bezludny. Dopiero po pół godzinie nadpłynął biały jacht Wacka Krawacika. Zakotwiczony został w pobliżu piaszczystego cypla, gdzie wczoraj rozmawiałem z Kaznodzieją — Płetwonurkiem.

Przez szkła lornetki widziałem, jak Wacek Krawacik i Brodacz spinningowali stojąc na pokładzie jachtu.

— Książę spinningu już łowi ryby — poinformowałem Anatola. — O tam, przy półwyspie, naprzeciw nas.

— Och, Boże, łowi ryby, a my gnuśniejemy — zafrasował się rycerz spinningu.

Zaczął poganiać żonę i swych przyjaciół, aby szybciej szykowali śniadanie. Trapiła go myśl, że książę spinningu złowi za chwilę ogromną rybę, a on, skromny rycerz, jeszcze nawet nie poszedł w bój ze swym wędkarskim orężem.

O dziewiątej rano zaterkotał motor rybackiej łodzi i przyplłynęła Marta. I tym razem miała ze sobą składane wędziska, a nawet spinning.

— Rodzice nie chcą, żebym pracowała z nimi w polu — wyjaśniła. — Uważają, że należą mi się wakacje i że przed rozpoczęciem studiów powinnam jak najwięcej korzystać ze świeżego powietrza i słońca. Kazali mi ruszyć na ryby. Popłynie pan ze mną?

— A dokąd?

— O tam, gdzie ten jacht. Na Przylądek Sandacza.

Pan Anatol, gdy usłyszał tę nazwę, podskoczył do góry, aż mleko, które właśnie pił, wylało mu się na spodnie.

— To tam jest Przylądek Sandacza? Niestychane. Ja nic o tym nie wiedziałem. Książę spinningu kiedyś wspominał, że będzie łowił na Przylądku Sandacza. Kaziu, kończ śniadanie! W te pędy popłyniemy tam łowić sandacze. Myszko — krzyknął na żonę — szykuj patelnię i olej! Na obiad zjemy sandacza.

Panna Marta zapytała mnie szeptem:

— Czy ma pan już odpowiedź od Kapitana Nemo?

— Nie.

— Ja też nie. Poprosiłam w liście, żeby mi zostawił odpowiedź w dziupli tego samego dębu. Przed chwilą tam byłam, ale listu nie znalazłam. Dziupla jest pusta. Nemo zabrał swoje ubranie.

— W nocy bardzo rozrabiał. A w ogóle to chyba straszny gbur...

Opowiedziałem jej o nocnych przeżyciach na wyspie Czarnego Franka.

— Wspaniały! Wspaniały!... — szeptała w zachwycie. — A pan nie miał racji posądzając go o mściwość. Oddał chłopakom ubranie. I was uwolnił z niewoli...

— Ale najpierw mnie w tę niewolę wpakował — mruknąłem.

Była na mnie szczerze oburzona.

— Pan jest zawistny. Tak, pan jest po prostu zawistny o jego bohaterskie czyny.

— A jego dziwne milczenie?

— Może ma jakieś ważne powody, które każą mu milczeć. Natomiast cieszy mnie, że dla odzyskania mojego pierścionka popłynął pan w nocy do obozu Czarnego Franka.

— O rany, pani znowu o tym odpustowym pierścionku? Wyznaję, że nawet o nim nie pomyślałem. Popłynąłem na wyspę, ponieważ Czarny Franek zapowiedział naradę bandy. Chciałem się zorientować co do ich dalszych zamiarów.

— I dowiedział się pan, jakie mają plany?

— Będą szukać tego, który ukradł torbę z mapą.

— A nie boją się Kapitana Nemo? Przecież Nemo będzie ich nadal gnębił, jeśli nie posłuchają jego wezwania i nie wyniosą się z Jezioraka. W starciu z harcerzami ponieśli klęskę. Czy zamierzają czekać, aż weźmie się za nich także milicja?

— Mówi pani o tej młodzieży z dużą niechęcią. Dlaczego?

— Nienawidzę takich typów. Uważam, że za bardzo im się pobłaża. Ja od dziecka musiałam pracować. W domu moich rodziców nigdy się nie przelewało. Ojciec i moi bracia ciężko pracują. A ci? Dla nich wszystko jest proste: jak się chce jeść, to ukraść. Ciężkiej pracy się boją, w ogóle chyba nie lubią pracować. Czy któryś z tej bandy zastanowił się, ile pracy wymaga wyhodowanie owcy? Może właściciel zamierzał za owcę kupić synowi palto na zimę? A oni podpłynęli do wyspy i zabili owcę jak swoją własność. Bo byli głodni... — prychnęła pogardliwie.

— Do licha — mruknąłem. — Czy nie znajdzie się nikt, kto potrafi tych młodych ludzi zawrócić z tej drogi?

Wzruszyła ramionami.

— Pan jest bardzo naiwny. Jeśli w polu rośnie perz, to się go wrywa i pali. U gospodarza, który nie będzie niszczył chwastów, dobrych zbiorów nie będzie.

Nie zgadzałem się z jej porównaniem. Ale dyskutować nie miałem ochoty. A może bałem się, że zabraknie mi argumentów?

Pan Anatol skończył przygotowania do połowów i pokrzykując na swego przyjaciela ładował się do łódki.

— Popłyniemy? — zaproponowała mi Marta.

Nic lepszego do roboty nie miałem. Stamtąd też mogłem wypatrywać „swojego” Człowieka z Blizną. Wsiadłem do jej łodzi i w ślad za panem Anatolem skierowaliśmy się w stronę jachtu Wacka Krawacika.

Tymczasem niebo jeszcze bardziej zmętniało. Słońce przez mgiełkę prażyło, powietrze wypełniała duchota. Nad jeziorem w powietrzu unosiły się rozwścieczone gzy i atakowały nas. Były natrętne, zdecydowane nawet na śmierć, byle tylko usiąść na jakiejś żywej istocie i napić się jej krwi.

Pan Anatol pierwszy dopłynął do jachtu. Nisko skłonił się księciu spinningu.

— Ma pan rzeczywiście wspaniały rzut — stwierdził, przyglądając się dłuższą chwilę, jak Wacek Krawacik rzuca błyszczką.

Wacek Krawacik lekceważąco machnął ręką.

— Nie pomoże najlepszy rzut. Nie biorą na blachę, proszę pana.

— Bo może trzeba bliżej trzciny? — zauważył pan Anatol.

Ukloniłem się białowłosej Edycie, która siedziała na pokładzie jachtu i robiła sobie manicure.

— Zdaje mi się, że dziś będzie deszcz — zagadnąłem ją.

— Ach, to pan? — uśmiechnęła się.

Brodacz, który również rzucał spinningiem, zapytał mnie niegrzecznie:

— A pan już nie ma całego jeziora? Musi pan nam tu straszyć ryby?

Marta zachichotała.

— Pan się nie o ryby boi, tylko o tę panią na pokładzie. Nie zabierzemy jej, niech pan będzie spokojny.

Białowłosa Edyta odłożyła nożyczki i pilniczek.

— Ach, zabierzcie mnie, bo umieram z nudów! Dokąd płyniecie?

— Na ryby — odrzekła Marta.

— Nienawidzę wędkarzy — wybuchnęła Edyta. — Nie ma nic gorszego na świecie niż mężczyzna, który lubi łowić ryby. Pan też chce łowić? — zapytała mnie.

— Nie umiem — stwierdziłem.

— Ale wędkę pan wiezie — zauważył Brodacz.

— To są moje wędkę — odrzekła Marta.

— A na co pani łapie? — z ironią zapytał Brodacz.

— Na zakłęcie... — zaśmiała się dziewczyna.

Nawet księżę spinningu raczył się zainteresować.

— I dużo złapała pani na zakłęcie? — zapytał.

— Pan jest dziś od rana trzeci — odparła.

Brodacz skrzywił usta.

— Stary dowcip, proszę pani.

— A jakie to zakłęcie? — interesował się Wacek Krawacik.

— Na różne rodzaje ryb używa się różnych zakłęć — oświadczyła Marta. — Ale można łowić i bez zakłęć, pod warunkiem, że się trochę zna obyczaje ryb.

— Ja znam, a ryby nie biorą — burknął Wacek. — Już od godziny rzucał tę blachę i nic. Pani też rzuca blachę?

— Czasami. Zależy od miejsca, czasu i pogody.

— A co by pani łowiła w naszej sytuacji?

— Okonie — stwierdziła.

— Tutaj? Okoń? — Brodacz stuknął się palcem w czoło.

— Nie tutaj. Tylko tam dalej. Z drugiej strony półwyspu.

Brodacz jeszcze raz stuknął się palcem w czoło.

— Niech pani użyje dziś wielu zakłęć powiedział. To sandaczowe miejsce.

— Tak jest. Tutaj należy łowić sandacza — z powagą kiwnął głową Wacek Krawacik. — Niech mi pani wierzy, ja się na tym znam. W ubiegłym roku otrzymałem srebrny medal. Niektórzy nazywają mnie księciem spinningu.

— Wiem o tym, mości księżę — dygnęła w łódce panna Marta. Ala ja będę łowić okonie.

Chwyciła za wiosła i popchnęła łódkę na drugą stronę półwyspu.

— Oni są głupi — rzekła do mnie. — Niech się pan dobrze rozejrzy, gdzie kręcą się mewy? Po tej czy po tamtej stronie półwyspu?

— Po tej stronie.

— A dlaczego?

— Nie wiem...

— Dlatego, że na powierzchnię wody wyskakuje drobnica. A dlaczego wyskakuje drobnica?

— Skąd mogę wiedzieć?

— Wyskakuje dlatego, że tu żerują okonie. I my na nie zapolujemy. Na „paternoster”.

— Co to takiego? To pani zakłęcie? Już wiem: pani rzuci przynętę, a ja będę musiał po łacinie odmawiać *Ojcze nasz*...

— „Paternoster” to takie coś z drutu — roześmiała się. — O, mam tu w łódce. Przez górne uszko przewleczona została żyłka, a do dolnego uszka przywiązany mały ciężarek na mocnej nitce. Moi bracia w ten sposób łowią okonie.

Przybiliśmy z drugiej strony półwyspu. Marta zarzuciła w wodę ten swój „paternoster” dość daleko od brzegu. Krótkie wędzisko wbiła w piasek nadbrzeżny.

— Okoń sam się zacina — wyjaśniła — więc nie musimy ciągle wypatrywać. Przywiozłam w blaszance parę żywych kiełbi, które dziś rano złapał mój ojciec. I poprobujemy szczęścia.

— Dlaczego pani łowi na „paternoster”, a nie zwyczajnie, na długie wędzisko?

Wskazała palcem niebo.

— Chmurzy się, zaraz będzie wiatr. Zepchnąłby splot na brzeg — wytłumaczyła mi.

I rzeczywiście. Za chwilę uczułem na twarzy lekki, a potem silniejszy podmuch wiatru.

„Ona jest czarownicą” — pomyślałem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY [\[top\]](#)

CZY MARTA JEST INDIANINEM • TAJEMNICZY ŚLAD • BIWAK W GŁĘBI LASU •
DZIWNY PTAK KIWIK • OSZUST CZY ORNITOLOG? • GDZIE JEST WĘDKA •
ROZPACZ • POTWORNY OKOŃ • PRZYSIĘGA • JAK POBITO REKORD POLSKI •
BILANS STRAT

Najpierw przynętę chwycił maleńki okonik. Marta mruknęła coś niechętnie pod jego adresem. Z podziwem patrzyłem na jej sprawne ruchy, gdy skręcała kołowrotek, zdejmowała rybę z haczyka, a potem zaczepiła nową przynętę. Koniec warkocza przytrzy-

mywała zębami, żeby jej nie przeszkadzał, i czyniła swoje wędkarskie zabiegi, co stanowiło widok sympatyczny i zabawny.

Dopiero teraz zauważyłem, że ma w sobie coś z kota.

Gibkie ciało i ostrożny koci chód. Była w obcisłych dżinsach, stopy miała bose. Idąc nie patrzyła pod nogi, a jednak omijała starannie wszystko, co by mogło ją ukłuć. Jej sposób chodzenia przypominał mi chód Indian ze znanych opisów w książkach przygodowych z Dzikiego Zachodu.

Cokolwiek robiła, wydawało się, że jest tym całkowicie pochłonięta, ale jednocześnie zauważała wszystko, co działo się obok niej, za jej plecami czy na jeziorze.

— Widzi pan tego ptaka? Niech pan spojrzy, bo zaraz da nurka. To biało-czarna dzika kaczka. Nazywa się gągoł. Ma gniazdo w dziupli drzewa, pod którym pan teraz stoi.

— Kaczka na drzewie? Zawsze myślałem, że gnieźdzą się w trzcinach lub krzakach.

— Owszem, ale to jest specjalny rodzaj kaczki. O, słyszy pan? Odleciała. To samczyk. W czasie lotu wydaje odgłos podobny do dzwonienia.

Znowu wziął mały okoń. Nastąpiło kolejne niechętne mruknięcie Marty.

— Dam większy grunt — powiedziała. — Przynęta powinna krążyć nie płycej niż pięć, dziesięć centymetrów nad dnem.

Wbiła mocniej wędzisko w brzeg.

— Chodźmy na maliny — zaproponowała. — Nie mam cierpliwości siedzieć na brzegu. A tu, dalej na półwyspie, prawie nad samą wodą, rośnie pełno malin.

— O, właśnie.

Ona wiedziała, gdzie są maliny, a gdzie pod koniec lata posmakować można słodkich jeżyn. Jesienią zapewne potrafiłaby zaprowadzić na grzybne miejsce w okolicznych lasach.

Poszliśmy wzdłuż brzegu po wąskim skrawku wymytego przez wodę piasku. Inna dziewczyna nie omieszkałaby, idąc brzegiem jeziora, stąpać głośno po wodzie i chlupać. A ona tak szła, że nic nie plusnęło, a na piasku nie pozostał ślad jej stopy: „Indianin w spódnicy” — pomyślałem o niej żartobliwie.

Nad wodą nie gwizdała, mówiła zawsze półgłosem, a łowiąc ryby tak siadała na brzegu, żeby ją z jeziora jak najmniej było widać. Starła się odgradzać od wody choćby krzakiem czy wysoką trawą.

Jakby dla potwierdzenia, że moje porównanie jest trafne, dziewczyna raptem zatrzymała się.

— Niech no pan tu popatrzy — rzekła swoim zwyczajem. I wskazała palcem nadbrzeżny skrawek piasku.

Byliśmy już oddaleni o jakieś pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie Marta wbiła w brzeg swoje wędzisko.

Popatrzyłem na piasek. Nie wyróżniał się niczym specjalnym, nic na nim nie leżało. Aha, widniały w nim dość płytkie wgłębienia.

— Przed chwilą ktoś wyszedł z jeziora z płetwami na nogach — stwierdziła.

— Skąd pani wie, że przed chwilą?

Spojrzała na mnie zdumiona, że jestem tak mało domyślny.

— Jeszcze ten ślad jest wilgotny. Za dziesięć minut stanie się zupełnie suchy. Albo przyjdzie silniejsza fala i go rozmyje.

— Ma pani rację — zgodziłem się potulnie.

— Tutaj dalej ten ktoś wyszedł na brzeg. Nie zdjął z nóg płetw, bo rosna pokrzywy. Przeszedł przez nie w płetwach, kilka pokrzyw złamał, a kilka przygnoił do ziemi.

Za pokrzywami rósł niewysoki lasek sosnowo-brzozowy. Ślad kierował się w jego stronę.

— On jest w lesie — oświadczyła Marta i spojrzała na mnie pytająco.

— To chyba mój tajemniczy Kaznodzieja-Płetwonurek — powiedziałem. — Bardzo chętnie zerknę z ukrycia, co porabia w lesie.

Wokół brzózek leżała zeschnięta podściółka z liści, które głośno szeleściły pod nogami. Wyznaję, że w porównaniu z Martą kroczyłem przez las jak słoń. A przecież starałem się podkradać jak najciszej.

Im dalej zapuszczaliśmy się w głąb lasu, tym stawał się gęstszy. Od czasu do czasu zagradzały nam drogę ściany z młodych sosenek i jodełek. Wtedy Marta przyklękała i na czworakach przesuwiała się pod gałęziami, a ja — rad nierad — musiałem robić to samo.

W pewnej chwili dziewczyna chwyciła mnie za ramię. Między gałęziami widać było jakąś plamę. Podczołgaliśmy się jeszcze kilka kroków i oto naszym oczom ukazał się zielony namiocik, stojący pod wielką brzozą, która jak matka królowała nad małym lasem. W jej cieniu i zasięgu korzeni nie mogło wyrosnąć żadne drzewko, powstała więc mała polanka. Tutaj rozbił biwak mój znajomy Kaznodzieja-Płetwonurek.

Gdy wychylił głowę spod gałęzi, właśnie nakładał na głowę słomkowy kapelusz. Przed naszym przyjściem zdążył zdjąć z nóg płetwy, nawet przebrał się. Na sęczku brzozy wisiał mokry kostium kąpielowy, a obok leżał aparat tlenowy.

Jego obozowisko wyglądało bardzo dziwacznie. Namiocik był maleńki, trójkątny, złożony z dwóch peleryn wojskowych, tak zwanych pałatek. Obok, oparty o gruby pień starej brzozy, stał chochoł z trzciny; ściślej było to coś w rodzaju zbroi rycerskiej, tyle że wykonanej nie z blachy, ale z trzciny i sitowia.

Na pnium brzozy wisiał przybity gwoździem ogromny płat kory sosnowej, zwrócony wewnętrzną stroną do światła. Ta wewnętrzna strona jest zazwyczaj lekko biaława, pokryta nalotem próchna. Kaznodzieja wyrysował na niej brzydką maskę roześmianego diabła. W nocy ten nalot próchna świeci jak nafosforyzowany. Nieproszony gość mógłby się najeść sporo strachu, gdyby napotkał takie świecące straszdyło.

Dlaczego postawił ten namiocik w głębi lasu, a nie jak inni nad brzegiem jeziora? Lubił przecież pływać, ba, miał aparat do nurkowania i gumową łódeczkę. Czyż nie o wiele poręczniej byłoby mu zamieszkać tuż nad wodą?

Kaznodzieja-Płetwonurek poprawił na głowie słomkowy kapelusz. Potem wyjął z paska spodni ogromny nóż...

Przytailiśmy oddech w piersiach. Ogromny nóż w ręku tego człowieka wyglądał bardzo groźnie. Przyklęknął i ze swojego namiotu wyjął duży bochen chleba. Nożem odkroił grubą pajdę, usiadł i zaczął ją zajadać ze smakiem.

Nie bardzo wiedziałem, co robić dalej. Wracać nad brzeg jeziora czy wyjść z ukrycia i przywitać jak starego znajomego? Problem ten został jednak szybko rozstrzygnięty, bo nagle między jednym a drugim kęsem chleba — dziwaczny jegomość rzekł:

— W tych gałęziach chyba jest niewygodnie...

Podniosłem się z ziemi.

To samo uczyniła Marta. Zrobiliśmy kilka kroków w stronę jęgomocia, a on dopiero teraz raczył się obejrzeć. Poznał mnie, uśmiechnął się lekko i skinął głową.

Było mi trochę wstyd, że go tak podpatrywałem, nie bardzo wiedziałem, jak się przed nim wytłumaczyć.

— Sąsiedzi na biwaku mówili mi, że pan mnie wczoraj odwiedził — wybąkałem. — Pomyślałem więc, że warto złożyć panu rewizytę. Pan zapewne miał do mnie jakiś interes?

Przełknął kęs chleba.

— Tak jest — powiedział — miałem poważną sprawę. Chciałem od pana pożyczyć trochę chleba na kolację. Diabelnie mi się chciało jeść, a tak się fatalnie złożyło, że zabrakło mi chleba. Nikogo tu nad jeziorem poza panem nie znam, więc do pana wybrałem się po pożyczkę. Niestety, nie zastałem pana i głodny poszedłem spać. Lecz dziś rano popłynąłem do Siemian i kupiłem bochen chleba. Może panu pożyczyć?

— Dziękuję. Mam jeszcze trochę. Wprowadź już czerstwy...

— Pożyczę panu.

Przekrajał wielki bochen na połowę.

Byłem zaskoczony tą życzliwością. I w ogóle śmiać mi się chciało z siebie samego. Wiązałem jego wizytę z jakąś intrygującą sprawą, spodziewałem się, że Bóg wie czego ode mnie chciał, a tu masz jemu chodziło o kawałek chleba.

— Skąd pan wiedział, gdzie biwakuję? — zdobyłem się jeszcze na trochę nieufności.

Końcem noża wskazał gumową łódeczkę leżącą w cieniu młodych sosenek.

Łypnęło z niej lśniące oko wielkiego teleobiektywu.

— Przez tę lunetę widać nawet, jak na drugim brzegu jeziora zapala pan fajkę — wyjaśnił.

Nieoczekiwanie odezwała się Marta:

— Ja już wiem. Pan jest ornitologiem.

— Czy to coś złego? — zdumiał się.

— Nie...

— Bo, bo pani to stwierdziła takim tonem, jakby dokonała pani niebezpiecznego odkrycia.

— To moja wina — odezwałem się. — Ja mówiłem tej panience, że pan jest... kaznodzieją.

— Co takiego?

— Prawił mi pan o takich zadziwiających sprawach... A gdy mi pan darował tę swoją trąbkę...

— Nie przydała się jeszcze? — zrobił zmartwioną minę.

— Minionej nocy banda Czarnego Franka uwięziła mnie na wyspie, gdzie obozowała. Niestety, nie miałem przy sobie pańskiej zaczarowanej świstawki i nie mogłem sprawdzić jej skuteczności.

— A czy ta wyspa leży daleko stąd?

— Dość daleko.

— To nie wiem, czy usłyszałbym wezwanie. Zresztą w nocy mocno śpiam.

— Ach tak! — zawołałem z oburzeniem. — Więc pańska świstawka, gwizdek czy też trąbka nie jest zaczarowana?

— Nie, proszę pana. Lecz jeśli pan znajdzie się w niebezpieczeństwie, a ja będę w pobliżu, na jej głos przybędę z pomocą.

Lekceważąco machnąłem ręką.

— Zapewne sam sobie poradzę. Albo znowu uratuje mnie Kapitan Nemo. A propos tego osobnika. Pan obserwuje okolicę lunetą. Czy wpadł panu w oko lunety również i Kapitan Nemo?

— A jakże. Parokrotnie widziałem jego ślizgacz mknący przez jezioro. Niestety, nic więcej o nim nie potrafię powiedzieć. Proszę bardzo, państwo usiądą. Będzie mi miło gościć panią i pana w mym obozie.

Marta skorzystała z zaproszenia i ukucnęła obok Ornitologa.

Zapewne poczuła się trochę głodna, bo bez słowa wyjęła mu nóż z ręki, odkrajała kawałek chleba i zaczęła jeść.

— Jakie ptaki pana interesują? — zapytała z pełnymi ustami.

— Wszystkie — zatoczył wokół siebie ręką.

— Dziś widziałam czaplę.

— To bardzo piękny ptak. Gnieździ się gromadnie w tak zwanych czaplińcach, nieraz nawet daleko od wody. Gniazda zakłada na drzewach, podobnie jak kormoran. Niekiedy czapliniec liczy sobie do stu gniazd.

— Koło mojego domu mieszka zimorodek — rzekła Marta. — To dziwny ptak. Na zimę wcale nie odlatuje. I ludzi się nie boi. Gdy łowiłam ryby na brzegu w pobliżu naszego domu, on kilkakrotnie siadał mi na wędzisku. Jak pan myśli, czy on jest szkodnikiem, żywi się przecież rybami?

— Nie. Chwyta rybki najwyżej do siedmiu centymetrów długości i bardzo niesłusznie niektórzy uważają go za „konkurencję” rybaka. A jest zawsze tak zaabsorbowany chwytaniem rybek, że czasami siada nawet na wędzisku łowiącego. Mieszka w norce, w wysokim brzegu.

— Pan się zna na ptakach — z zazdrością stwierdziła Marta. — Ja też lubię ptaki. I trochę się nimi interesuję. Ciekawi mnie, na przykład, co ornitolodzy sądzą o kiwiku. Prawda, że to bardzo tajemniczy ptak?

Ornitolog zastanowił się chwilę.

— Jeśli chodzi o kiwika i jego obyczaje, trwa wśród ornitologów dyskusja na ten temat. Jedni twierdzą, że lubi zamieszkiwać nad dużymi zbiornikami wody, inni widywali go ponoć nawet w głębi lasów, daleko od jakiegokolwiek rzeczki. Gniazda buduje w szuwarach, ale i na starych dębach widywano kiwiki. Charakterystyczny jego lot i krzyk: „Ki-wi-kiwi-kiwi”. Lot ma ślizgowy, podobny do jaskółki, żywi się owadami. Ale nie gardzi i małą rybką. Nazwa jego wzięta się właśnie od krzyku, który wydaje.

Marta nagle zerwała się z miejsca.

— O Boże, tam została moja wędka i „paternoster”! Idziemy, proszę pana — chwyciła mnie za rękę.

Ukłoniłem się Ornitologowi.

— Przepraszamy za niespodziewane najście. Musimy już odejść. A na przyszłość, gdyby panu znowu zabrakło chleba, proszę przyjść do mnie.

Jeszcze raz mu się ukłoniłem, on również odpowiedział ukłonem. Po tej wymianie pożegnalnych grzeczności ruszyliśmy z Martą w powrotną drogę przez młody las.

— Kamień spadł mi z serca — odezwałem się do dziewczyny, gdy znaleźliśmy się w dość dużej odległości od Ornitologa. — Zachowanie tego pana wydawało mi się

dziwne i tajemnicze zarazem, podejrzewałem go Bóg wie o co, a teraz wszystko jest dla mnie jasne. On się maskuje, żeby z ukrycia podglądać i fotografować ptaki. Unika ludzi, bo ludzie odstraszą ptactwo.

Marta parsknęła głośnym śmiechem.

— Pan jest niezwykle zabawny. I ogromnie naiwny. Ten pan nie jest ornitologiem. On udaje ornitologa.

— Co pani mówi? Tak pięknie mówił o siwej czapli, o zimorodku, dał pani odpowiedź na pytanie dotyczące kiwika...

Ba zachichotała jak mały diabełek.

— Kiwik jest rzeczywiście bardzo tajemniczym ptakiem. Ja go sama wymyśliłam.

— Kiwik nie istnieje?

— A pewnie. Prawdziwy ornitolog roześmiałby się z mego pytania. A ten wyuczył się trochę o ptakach i mówi o nich jak z lichego podręcznika. Zapytałam o kiwika i zaraz się zdradził. Pomyślał: „A nuż ten kiwik istnieje, a ja o nim nie przeczytałem”? I zaczął wymyślać obyczaje kiwika.

Westchnąłem ciężko.

— Wyszło na to, że ten pan od ptaków sam jest lepszym ptaszkiem. Do licha, dlaczego on udaje ornitologa? I czego on tu szuka nad Jeziorakiem?

— A pan? — zagadnęła chytrze.

Wyszliśmy na brzeg w miejscu, gdzie Marta pozostawiła swój „paternoster”. Za-uważyłem, że Wacek Krawacik szykuje się do odpłynięcia jachtem. Z pokładu dawał jakieś ostatnie instrukcje wędkarskie panu Anatolowi, który łowił przy ścianie trzcin. Przypomniałem sobie, że zbliża się pora spotkania Wacka Krawacika z Czarnym Frankiem.

— O rany, gdzie moja wędka?! — wrzasnęła Marta. Rzeczywiście wędziska na brzegu nie było.

— Czy któryś z panów nie widział mojej wędki? — zawołała Marta w stronę jachtu.

— Zapewne złapał się jakiś wieloryb i porwał ją na jezioro! — odkrzyknął Brodac.

Usłyszeliśmy szum motoru i biały jacht wolno, majestatycznie odpłynął.

Pomyślałem o spotkaniu Czarnego Franka z Wackiem Krawacikiem i Brodaczem. Co im powie Czarny Franek? Może dziś rano odnalazł mapę i teraz wręczy ją Krawacikowi? Ta mapa bardzo mnie intrygowała. To może śmieszne, ale wszystko, co działo się nad Jeziorakiem, wydawało mi się podejrzane.

— Musimy bardzo szybko wyruszyć na Czaplak — powiedziałem do Marty.

— Co pan? — oburzyła się. — A moja wędka? Mój wspaniały „paternoster”? Mam go stracić?

— Czy pani wie, po co popłynął Wacek Krawacik? Spotka się z Czarnym Frankiem i za grubą forszę dostanie od niego mapę łowisk — niecierpliwiłem się.

— Pan sądzi, że Czarny Franek już odnalazł skradzioną mapę?

— Wszystko jedno, ja muszę usłyszeć ich rozmowę — upierałem się, patrząc na oddalający się jacht.

— Po co pan u ta mapa? Ja pana nauczę tak łowić ryby i pokażę takie miejsca na jeziorze, że pan wkrótce zostanie królem wędkarzy. A teraz do łodzi! Przecież to wędzisko nie mogło zaginać.

Wskoczyła do łódki, a ja, rad nierad, musiałem zrobić to samo.

— Bardzo chcę obejrzeć tę mapę — powtarzałem dziewczynie. — Muszę obejrzeć tę mapę, pani rozumie?

Ale dla niej ważniejsze było wędzisko i jej „paternoster”. Zapуściła silnik i odbiła od brzegu. Zatoczyła najpierw duży łuk, poszukując wędziska, na jeziorze, a potem zaczęła płynąć wzdłuż trzcin.

A ja widziałem, jak biały jacht zacumował na płyciźnie obok wyspy. Brodacz i Wacek Krawacik zapewne zaraz zeskokczyli na mieliznę i poszli na spotkanie z Czarnym Frankiem...

Znowu zatoczyła łuk na jeziorze. Pan Anatol wygrażał jej pięścią i krzyczał:

— Pani tym silnikiem wystraszy wszystkie ryby!

Jeszcze raz przepląnęła wzdłuż trzcin.

— Jest! Jest! — krzyknęła i aż podskoczyła z radości. Zgasiła silnik i chwyciła wiosła.

Wędką płynęła po wodzie. To oddalała się od trzcin, to zbliżała się do nich. Wyraźnie coś ją ciągnęło.

— To duża ryba. Żeby się tylko nie urwała — martwiła się dziewczyna.

Nic mnie nie obchodziła ta ryba. Patrzyłem smętnie na biały jacht u brzegów Czaplaka...

Marta dotarła wreszcie do pływającego po wodzie wędziska. Wciągnęła je do łódki i zaczęła kręcić kołowrotkiem. Gdy ryba zbyt szarpała wędkę, popuszczała żyłkę, a potem znowu powoli ją ściągała.

— Niech pan przygotuje podbierak — rozkazała. — Rybę już mam przy burcie.

Och, gdybym teraz miał pod ręką swój wehikuł! Lecz samochód pozostał na brzegu, a ja siedziałem w łódce dziewczyny, która walczyła z jakąś dużą rybą. Dla mnie po stokroć ważniejsza była mapa łowisk. Ta mapa kryła na pewno jakąś tajemnicę...

— Czerpak! Do licha, dlaczego pan nie trzyma podbieraka?! — krzyczała Marta.

Wreszcie wyłowiliśmy z wody okonia. Potężną sztukę. Jak żyję, takiej nie widziałem. Jego ciemnozielony grzbiet połyskiwał w słońcu, a boki mieniły się żółto i zielono. Potężną, ostrą płetwę grzbietową nastroszył jak noże.

— Jest! Jest! Jest! — dziewczyna skakała w łódce. Ma chyba ze dwa kilogramy. Może pobiłam absolutny rekord Polski?

— Panowie! — krzyknęła do rycerzy spinningu. — Proszę tu do mnie. Muszę mieć świadków. Zgłoszę do związku swój połów. Może medal dostanę?

Przypłynęli łódczą pan Anatol i pan Kazio. Dobili do naszej łodzi, zerknęli na rzucającego się po dnie okonia i twarze im poszarzały z zazdrości.

— Piękna ryba — burknął pan Anatol. — Ale rekordu chyba pani nie pobiła. Rekord absolutny Polski wynosi dla okonia jeden kilogram i osiemdziesiąt osiem deagramów.

— A ja panu mówię, że on ma dwa kilogramy. Co najmniej dwa kilogramy! — entuzjastkowała się dziewczyna. — Niech żyje mój „paternoster”! Teraz popłynę po wagę i potem na waszym biwaku zważymy rybę. Panowie podpiszą protokół.

Biały jacht już płynął w naszą stronę. A więc spotkanie zostało zakończone. Nigdy nie dowiem się, co Czarny Franek mówił Wackowi Krawacikowi...

— Tak jest, pędzę do domu po wagę — zdecydowała Marta. — A pana — zwróciła się do mnie — podrzucę do pańskiego obozu. Usłyszała tylko moje gniewne burknięcie.

Przez całą drogę milczałem ponuro. Kiedy już byliśmy w pobliżu brzegu, gdzie stał mój namiot, złożyłem głośne oświadczenie:

— Przysięgam, że od dziś nigdy nie będę zadawał się z dziewczętami. Przez panią, być może, najwspanialsza przygoda przeszła mi koło nosa.

Roześmiała się i pokazała mi język.

— Grunt, że złapałam najwspanialszego okonia. A pańskich przysięg nie biorę sobie do serca.

W ponurym nastroju wysiadłem na ląd i zabrałem się do przygotowania obiadu. Wiedziałem, jak biały jacht przepłynął mimo Przyładka Sandacza i nie zatrzymując się oddalił w stronę Siemian. Potem straciłem go z oczu.

Powrócili z połowów dwaj rycerze spinningu. Nie złapali ani jednej rybki. Tym większa była ich wściekłość, kiedy nadpłynęła Marta z domową wagą.

Okoń ważył kilogram i dziewięćdziesiąt trzy dekagramy. Dziewczyna pobiła absolutny rekord Polski.

— Może ta waga jest zła? — powątpiewał pan Anatol.

Obydwaj z panem Kaziem podpisali jednak protokół. Marta powiedziała, że wagę okonia potwierdzi jeszcze na posterunku milicji wodnej.

Cały czas, gdy ważyli rybę, siedziałem przed swoim namiotem i udawałem, że nie dostrzegam Marty.

Byłem wściekły. Bo jak się przedstawiał bilans mojego pobytu nad Jeziorakiem? Nie spotkałem Człowieka z Blizną i w dalszym ciągu nie miałem pojęcia, gdzie znajduje się zatopiony samochód. To była pierwsza i najważniejsza sprawa, dla której tu przyjechałem. Ale już nad Jeziorakiem wyłoniło się parę problemów, które mnie dręczyły. Bo przecież wszystko, co się tu działo, każdy najdrobniejszy szczegół mógł mieć wielkie znaczenie przy rozszyfrowaniu sprawy skarbów. A ja nie wiedziałem, kim jest Kapitan Nemo i kim Kaznodzieja-Płetwonurek, czyli Fałszywy Ornitolog. Dlaczego tak ogromną sumę pieniędzy Wacek Krawacik chce dać za odzyskanie mapy łowisk? I gdzie jest w tej chwili ta mapa?

— Czy pan jest w dalszym ciągu przeciw towarzystwu jakiegokolwiek dziewczyny? — usłyszałem głos Marty. — Ma pan taką minę, jakby zamierzał pan kogoś zabić.

— Wrrrrr — zawarczałem i kłapałem zębami. Machnąłem ręką, co miało znaczyć, że w takim nastroju nie nadaję się na towarzysza.

Załadowała na łódkę swoją wagę i rybę; do kieszeni spodni wsadziła oświadczenie rycerzy spinningu i odpłynęła w stronę Siemian, a więc chyba do swego domu. Nie bardzo orientowałem się, gdzie ona mieszka.

Po jej odpłynięciu zbliżył się do mnie pan Anatol.

— To jakaś dziwna osóbka, ta pana znajoma — zagaił rozmowę. — Tam gdzie teoretycznie powinien żerować szczupak, ona łowi węgorza. Dziś na „paternoster” schwyciła ogromnego okonia. Panie, co to wszystko ma znaczyć? — wyrwał mu się z piersi okrzyk pełen zdziwienia i rozpaczy.

— Nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi? Ona chyba po prostu umie łowić ryby — odrzekłem.

— A ja? Pan myśli, że ja nie umiem? Ona chyba nie przeczytała w swym życiu jednej setnej tej lektury o rybach, co ja, panie szanowny. A gdzie nie usiądzie ze swoją wędką, tam chwytą. Co to ma znaczyć?

— Może umie czarować — wzruszyłem ramionami. — Ale pan wygląda mi na człowieka, który w czary nie wierzy.

— Nie wierzę — pokręcił głową bez przekonania. — Trudno mi jednak w sposób racjonalistyczny wyjaśnić tak dziwne zjawisko. Jeśli ona tu znowu przyplynie i zacznie łowić, i znowu schwyta jakąś ogromną rybę...

— To co pan zrobi? Ogłosi pan ją czarownicą? — zapytałem uprzejmie. I dorzuciłem poufny szeptem:

— Ja też uważam, że ona jest czarownicą...

Zjadłem obiad z konserw, wsiadłem w wehikuł i popłynąłem na Czaplak. Pospacerowałem po wyspie, lecz nie trafiłem na Czarnego Franka ani nikogo z jego bandy. A byłem już zdecydowany odbyć z Czarnym Frankiem rozmowę o mapie łowisk.

Potem skierowałem się na wysepkę, gdzie minionej nocy zostałem uwięziony. Lecz po bandzie Czarnego Franka został rozwalony szałas, pognieciona trawa, trochę papierzysk z opakowań, puste puszki po konserwach. Wszystko wskazywało, że banda już nigdy tu nie powróci.

ROZDZIAŁ JEDENASTY [\[top\]](#)

POKÓJ CZY WOJNA • „O OJCZYSTA NASZA MOWO...” • SODOMA I GOMORA • ODWET BANDY • CO ZROBIĆ Z BRONKĄ • JAKA DZIEWCZYNA BUDZI SZACUNEK • JAK ZDOBYĆ AUTORYTET • KTO KOMU IMPONUJE • UGODA Z BRONKĄ • CZY SPOTKAM CZŁOWIEKA Z BLIZNĄ

Na rozległej łące nad jeziorem stały długie rzędy namiotów. Po jednej stronie obozu mieszkały harcerki, po drugiej harcerze; w środku znajdował się wielki plac apelowy z wysokim masztem, na który wciągano sztandar.

Z dwóch stron otaczał obóz las sosnowy, z trzeciej rozciągała się łąka i pola wioski, z czwartej zaś były wody Jezioraka. Na brzegu leżało kilkanaście kolorowych kajaków, a molo zrobione ze świerkowych drążków umożliwiało łatwe przybicie do brzegu i cumowanie.

Ognisko przygotowano nad samym jeziorem. Zobaczyłem kilka wielkich stert chrustu i coś w rodzaju szałasu z grubszych gałęzi, które w odpowiedniej chwili miały wysoko w niebo strzelić wspaniałym płomieniem.

Kiedy, zgodnie z zapowiedzią, przybyłem do obozu, na spotkanie wyszedł mi Wilhelm Tell i przez bramę z brzoźowych drążków, gdzie stało na warcie dwóch harcerzy, poprowadził mnie do komendanta długą „Aleją Totemów”.

Totemami były dziwacznie poskręcane korzenie drzew, twarze wyrzeźbione w kory, pomalowane deseczki. Każdy totem tkwił na długim kiju. Tworzyły prawdziwą aleję biegnącą od bramy do placu apelowego. W najbliższym zaś sąsiedztwie tego placu mieścił się namiot komendanta obozu, harcmistrza Gaşiorowskiego.

Komendant okazał się młodym, szczupłym blondynem, lat około trzydziestu.

Uroczyste rozpalenie ogniska miało się niedługo rozpocząć, od wsi ciągnęli już zaproszeni na nie rolnicy z Siemian i wczasowicze, niewiele było czasu na rozmowy i dyskusje.

— Tell mówił mi o pana uwagach związanych z postępowaniem naszych harcerzy — rozpoczął rozmowę druh Gąsiorowski.

— Och, nie jestem pedagogiem. Być może nie mam racji — zastrzegłem się szybko.

Druh uśmiechnął się.

— Panu chodziło o to, że nasi chłopcy najechali obozowisko Czarnego Franka. Jak jednak mamy się zachować wobec brutalnej agresywności bandy? W końcu czy harcerze to safandule, którym chuligani mogą kraść kajaki, sprzęt sportowy, butle z gazem? Wydaje mi się, że najazd na obozowisko bandy Czarnego Franka dał dobre rezultaty. Nie tylko dlatego, że odzyskaliśmy skradzione rzeczy. Nasi chłopcy uwierzyli, że występując gromadnie, w sposób zorganizowany, tworzą potężną siłę, której łobuzy się boją. Oczywiście to wszystko nie jest proste i sam też nie jestem pewny swoich racji.

Usłyszeliśmy sygnał trąbki, wzywający na ognisko. Podnieśliśmy się z pieńków brzoźowych i wyszliśmy przed namiot.

Tell odezwał się z przechwałką w głosie:

— Dostali od nas potężnego łupnia. I długo się nie pokażą nad Jeziorakiem. Z dezaprobatą pokręciłem głową.

— Obyś miał słuszność, Tell. Obawiam się jednak, że stanie się inaczej.

— Jutro zwołamy naradę harcerską — zakończył tę krótką wymianę zdań druh Gąsiorowski. Może wyślemy parlamentariuszy do nowego obozowiska Czarnego Franka. Postaram się zaprosić ich na rozmowę. Ja też jestem zdania, że lepszy najgorszy pokój niż wojna — roześmiał się.

Nad brzegiem jeziora było już rojno i gwarno. Na malutkim pagórku zrobiono honorową trybunę dla zaproszonych gości, harcerze zasiedli po turecku, ogromnym półksiężycem obejmując plac.

Rozległ się głos trąbki. Druh Gąsiorowski wygłosił krótkie przemówienie do zebranych, potem sołtysa z Siemian i mnie zaproszono do uroczystego podpalenia ogniska. Jak wiadomo, wolno do tego celu użyć tylko jednej zapalniczki. Bałem się trochę, czy zdołam wzniecić ogień. Tell jednak przyszedł mi z pomocą, dyskretnie wskazując miejsce, gdzie znajdował się najsuchszy chrust. Płomień natychmiast buchnął mocno, co brać harcerska powitała radosnym okrzykiem:

— Brawo, brawo, brawissimo!

Sołtysowi też się udało użyć tylko jednej zapalniczki, ognisko zapłonęło więc zgodnie z harcerskim rytuałem.

A potem! Ktoś mówił o historii regionu, w którym się znajdowaliśmy. Wspomniano Grunwald, który leży niedaleko stąd. Przypomniano, że od kilku wieków ziemie te stanowiły teren nieustannych zmagania z niemiecką zaborczością. Najpierw deptał te ziemie okuty w żelazo but krzyżackiego rycerza. Potem rozbiór Polski pozwolił Niemcom umocnić swoje panowanie i rugować stąd polskich mieszkańców. W ogromnych majątkach ziemskich wokół Jezioraka rządili pruscy junkrzy i ich to terror spowodował, że w związku z wynikiem plebiscytu po pierwszej wojnie światowej tereny te przypadły Niemcom. Dopiero druga wojna światowa, znowu wzniecona przez teutońskich zaborców, przyniosła im ostateczną klęskę. Prusy Wschodnie przestały istnieć. I, jak na wylewionej z chwastów ziemi, bujnie rozwinęła się polskość, która była tutaj zawsze, nawet w czasach największego niemieckiego terroru.

— Oto jest ziemia Gizewiusza. Ziemia Mrongowiusza. Ziemia Kętrzyńskiego i Kajki. Od nich uczymy się, jak ją szanować i kochać.

Później recytowano wiersze: tych dawnych poetów i tych nam współczesnych. Zapamiętałem piękny wiersz poety-cieśli, zmarłego w 1940 roku, Michała Kajki.

O,
Coś
Zakwitnijże
Jako

o
kwitnęła
kwitną

o
nam
nam
w

o
nasza
nam
w

o
przed
na
lecie

o
mowo,
laty,
nowo
kwiaty.

o
Zalśnij
Przywróćże
Aby
Istniał język nasz ojczysty.

o
nam
nam
domu

o
jako
skarb
i

o
nasz
we

o
zorce,
isty,
zborze

Ognisko wciąż płonęło wysokim płomieniem, rzucając czerwony blask na jezioro. Zapadała coraz głębsza noc.

Teraz przyszła kolej na pieśni harcercy, na wesole skecze. Co lepszych wykonawców brać harcercy nagradzała okrzykami w rodzaju:

— Do-do-do-do teatru z nim!...

Ale po jakimś czasie harcercy zabawy zaczął towarzyszyć pomruk zbliżającej się burzy. Ciągnęła gdzieś od strony Ostródy. Dalekie błyskawice przeorywały horyzont nad jeziorem. Trzeba było kończyć zabawę, aby goście i harcercy zdążyli znaleźć zaciszne schronienie, zanim lunie deszcz.

Utworzyliśmy wokół dogasającego ogniska dwa wielkie kręgi, jeden złożony z gości, a drugi — większy — z harcercy, kiedy od jeziora powiał silny wiatr. A gdy trzymając się za ręce zaczęliśmy wspólnie śpiewać harcercy piosenkę o braterstwie i przyjaźni, wiatr zmienił się w huragan. Rozszumiało się jezioro, wysokie fale z łoskotem wyskakiwały na brzeg. Kubłami wody zagaszono ognisko, aby wiatr nie poniósł w las iskier. Harcercy Gąsiorowski zaprosił gości do namiotów, bo lada chwila mogły otworzyć się „niebieskie upusty”, jak mawiali dawni Polacy.

Bezładną gromadą, smagani przez wichurę, biegnęliśmy do harcercy obozu. W nieprzeniknionej ciemności jak robaczki świętojańskie błyszcząły latarki elektryczne, którymi harcercy i harcercy oświetlali nam drogę.

— Wracam do siebie. Mojemu wehikułowi nie zaszkodzi ani ta wichura, ani fale na jeziorze — powiedziałem do Tella.

— Nie, niech pan jeszcze zostanie z nami — prosił chłopiec. — Ostatnio tak mało się widywaliśmy. I przecież chyba w końcu pan jednak zdradzi tajemnicę swego przybycia nad Jeziorak?

Potężna błyskawica rozcięła niebo na połowę. Potem uderzył grom, łoskot przetończył się nad naszymi głowami.

I wówczas stało się coś dziwnego, a zarazem przerażającego. Stożące po lewej stronie namioty harcercy zaczęły się walić na ziemię jak pnie drzew podcięte przez drwali.

Och, co się wtedy działo! Nad naszymi głowami błyskawice raz po raz rozdierały niebo na strzępy, łomotały gromy. Dziewczęta, które straciły schronienie, piszczły,

chłopcy krzyczeli. Słychać było komendy tych, którzy w rozgardiaszu nie stracili głowy i próbowali jakoś opanować sytuację.

Tell gdzieś zniknął. Stałem na środku obozu bezradny, nie bardzo wiedząc, co ze sobą począć. Obok mnie przemykały dziesiątki postaci, biegnących nie wiadomo skąd i dokąd. Wyglądało to jak mrowisko, w które ktoś rzucił kamień. „Sodoma i Gomora” — pomyślałem.

Ruszyłem do swego wehikułu. Otworzyłem drzwiczki i wlałem do zacisznego wnętrza samochodu. Zdecydowany byłem wrócić na swój biwak, lękałem się tylko piorunów, które waliły w wody jeziora.

Wiatr ucichł, spadły pierwsze krople deszczu. Załomotały na dachu wehikułu i ucichły. Ta burza nie była jednak dla nas przeznaczona; już przetoczyła się dalej, w stronę Susza i Malborka.

Za szybą wehikułu zobaczyłem czyjaś twarz. To Tell.

— Czy pan wie?... Czy pan wie, że dziesięć dużych namiotów ma przecięte sznury? Dlatego wiatr je przewrócił. Miał pan rację. Spróbowali odwetu. To zrobiła banda Czarnego Franka. Skorzystali z okazji, że w obozie pozostali tylko wartownicy, a my byliśmy zajęci ogniskiem. Podkradli się i narobili szkody. Ale my się z nimi rozliczymy za tę sprawę.

— Daj spokój, Tellu. Sam chyba widzisz teraz, że nie tędy droga...

Nie wiem, czy mnie usłyszał. Już go nie było przy wehikule. Burza odeszła, jeszcze tylko z daleka groziła nam pomrukiem grzmotów. Zapaliłem światła reflektorów, uruchomiłem silnik i skierowałem się na drogę do Siemian. Widziałem gromadki zaproszonych na ognisko gości, powracających teraz do wioski. Wyprzedziłem ich, a potem zjechałem nad wodę. Jezioro było bardzo wzburzone. Mój wehikuł nie obawiał się jednak nawet dużych fal.

Kołysało mnie mocno, aż żołądek podchodził do gardła. Silnik co chwila wył jak potępieniec, ponieważ od czasu do czasu śruba wyskakiwała nad wodę i obracała się w powietrzu. Fale spychały mnie w kierunku Siemian i długo trwało, zanim w smugach reflektorów dojrzałem ścianę, trzcin na drugim brzegu.

Teraz, kierując się linią trzcin, dostałem się do zatoczki, gdzie stał mój namiot. Przestraszeni sąsiedzi, rycerze spinningu, zasznurowali się w swych namiotach i nawet głowy nie wyściubili.

Wyjechałem na ląd, zaparkowałem wehikuł. I dopiero gdy wysiadłem z samochodu, dostrzegłem koło swego namiotu jakąś skuloną postać.

To była Bronka. Nawet w ciemnościach jaśniały jej rude włosy.

— Odłączyłam się od Czarnego Franka — powiedziała, szczękając zębami. — Tu leżał jakiś list do pana — wręczyła mi zalepioną kopertę. — Znalazłam go przed pana namiotem, gdy tu przyszłam. Schowałam list do kieszeni spodni, żeby nie zmókł.

Zapaliłem latarkę elektryczną. Na kopercie było napisane: *Pan Tomasz nad Jeziorakiem*. Po drugiej stronie brakowało nadawcy.

Rozerwałem kopertę i spojrzałem na podpis: *Kapitan Nemo*. A więc jednak odezwał się?

Szanowny Panie — pisał Kapitan Nemo. — *Zgodnie z Pańską propozycją zdecydowałem się na spotkanie z Panem. Proponuję Przyładek Sandacza, jutro, o godzinie dziesiętej wieczorem.*

— Czy to jakaś sympatia napisała do pana? — zapytała Bronka.

Dotknąłem palcem koperty w tym miejscu, gdzie się ją skleja. Była jeszcze wilgotna.

— Zdaje mi się, że pani zna treść tego listu — stwierdziłem.

— Ależ skąd! Przysięgam, że nie czytałam! — zawołała dziewczyna.

Byłem przekonany, że kłamie, ale nie chciałem okazywać jej braku zaufania już na samym początku naszej znajomości.

— Zrobimy coś gorącego do picia i zjemy kolację — oświadczyłem. — Potem położysz się spać w namiocie, a ja w samochodzie. — Zdecydowałem się mówić jej „ty” ze względu na różnicę wieku.

Podczas kolacji przyjrzałem się bliżej Bronce. Potwierdziły się moje spostrzeżenia: miała ładne, delikatne rysy. Tylko że była wynędzniała, niedożywiona i, co tu ukrywać, po prostu brudna.

— Gdybym miał córkę — powiedziałem — nie pozwoliłbym jej brać udziału w podobnych eskapadach.

— W takim razie niewiele się pan różni pod tym względem od mojego ojca. Czy pan również zamierza mi prawić morały?

— Nie. Ale spójrz na siebie. Bluzkę masz brudną, spodnie wyszmelcowane, a włosy tłuste i pozlepiane.

Nie odezwała się. A ja ciągnąłem dalej, nie przejmując się, że jestem nieuprzejmy.

— Czy może budzić szacunek dziewczyna, która ma brudną bluzkę, brudne spodnie, brudne włosy? A przecież pragniesz chyba kiedyś spotkać kogoś, w kim obudzilibyś podziw i szacunek.

— Uważam, że chłopiec, który zwraca uwagę tylko na zewnętrzny wygląd dziewczyny, jest mało wartościowy — rzekła.

— Owszem zgodziłem się. — Ale co można sądzić o charakterze dziewczyny, która dobrze się czuje w brudnej bluzce?

— Niech pan przestanie — rzekła błagalnie. — Jutro doprowadzę się do porządku.

„Edukacja rozpoczęta” pomyślałem z humorem. Zapytałem ją o Czarnego Franka i dalsze losy jego bandy.

— Przecież pan domyśla się wszystkiego. Franek chce znaleźć tę mapę i za forszę od Krawacika wyruszyć nad morze. A Roman dyszy nienawiścią do harcerzy i chce zająć miejsce Franka w bandzie.

— A co zdecydowało, że ostatecznie zerwałaś z nimi?

— Mówiłam już panu. To miała być wspaniała, romantyczna przygoda. Myślałam, że będziemy prowadzili surowe, trudne życie: łowili ryby, zbierali jagody, kąpali się w jeziorze. A oni kradli. Już dawno bym uciekła, ale żał mi było Franka. Lubię go. Ma tylko jedną wielką wadę — chce imponować. Teraz nie może przeżyć, że władza w bandzie wymyka mu się z rąk. Jest w tym i trochę mojej winy, bo wciąż przekonywałam go, że powinniśmy żyć inaczej. Ale żeby żyć, jak ja marzyłam, trzeba mieć pieniądze na sprzęt kempingowy, na trochę żywności i tak dalej. A oni tego nie mają. Więc pozostaje tylko: albo być głodnym i spać na gołej ziemi, albo kraść. Oni wybrali w końcu to drugie. Ale ja nie zamierzam iść do więzienia.

— Gdy Roman przekonał bandę, że trzeba się znowu zakraść do obozu harcerzy, uciekłaś — domyśliłem się.

Skinęła twierdząco głową.

— A Franek?

— Nakłaniał mnie, żebym z nim została. Ale ja byłam twarda. On nie chce zerwać z bandą, bo wciąż ma nadzieję, że odzyska swój dawny autorytet.

— Autorytet u bandy łobuzów? Zdobyć coś takiego chyba jest łatwo. Po prostu trzeba więcej od innych kraść, więcej nosów rozbijać i dłużej niż inni siedzieć w poprawczaku. Trudniej zdobyć autorytet u ludzie uczciwych.

Zabolała ją moja ironia.

— Franek zdobędzie autorytet i to wcale nie takimi sposobami — stwierdziła z obrażoną miną.

„Nie zerwała jednak z Czarnym Frankiem” — pomyślałem. I postanowiłem to wykorzystać.

— Posłuchaj mnie — zacząłem. — Przybyłem nad Jeziorak w bardzo ważnej sprawie. W odpowiedniej chwili wszystko ci wyjaśnię. Jeśli uda mi się osiągnąć swój cel, przeżyjemy tu niezwykłą przygodę. Coś takiego, o czym czyta się w sensacyjnych powieściach.

— Tak? — ucieszyła się.

— Właśnie tak. Podejrzewam, że jakąś rolę w tej sprawie odgrywa mapa łowisk, której szuka Czarny Franek na rozkaz Wacka Krawacika. Jeśli zdobędzie tę mapę, zadaniem twoim będzie dostarczyć mi ją na kilka chwil, abym ją mógł obejrzeć. Potem oddasz ją Frankowi.

— Świetnie — ucieszyła się. — Świetnie, że pozwala mi pan kontaktować się z Frankiem.

— A może potrafisz go skłonić, aby zerwał z bandą i przystał do mnie? — zaproponowałem.

— On? Nie, nigdy tego nie zrobi — pokręciła głową. — To by go upokorzyło. Jemu trzeba zaimponować. Dla niego kimś imponującym jest Kapitan Nemo, który tu samotnie sprawuje rządy na jeziorze. Franek walczy z nim, lecz jednocześnie podziwia go. Niestety, pan... — zawahała się. — Niech pan się nie obraża, ale wygląda pan na ślamazarę i w ogóle... bardzo nieciekawie...

Poczułem się dotknięty.

— Pozory niekiedy mylą — burknąłem. — Gdybym ci opowiedział o swoich przeżyciach, byłabyś bardzo zdumiona.

— Coś mi się o uszy obilo. Nazywają pana Panem Samochodzikiem. Dlaczego? — zapytała.

— To nie ma znaczenia. Nie zamierzam się chwalić ani imponować Czarnemu Frankowi. Jedno ci tylko powiem: nie ulegaj pozorom. Ja też jestem inny, niż sądzisz. Zwróciłaś na przykład uwagę na mój samochód?

— Tak. Stary rupieć. Czarny Franek powiedział, że pana samochód jest ze składu złomu.

— Ano, zobaczymy — wzbierała we mnie złość. — Lecz skoro wydaję ci się taki nieciekawym, niczym ci nie imponuję, dlaczego wierzysz, że spotka cię tu prawdziwa przygoda?

— Mam być szczerą? Nie wierzę w tę przygodę. Ale nie chcę być z bandą i wpaść do więzienia. Nie chcę też wracać do domu. Co mi pozostało? Zostanę tutaj i z bezpiecznej odległości obserwować będę dalsze losy gangu. Może przydam się na coś Frankowi?

— Ach tak? Jestem więc bezpieczną „meta”, jak to się mówi. Dziękuję za szczerść. Ja też sprawę postawię jasno: daję ci bezpieczną przystań w swoim obozowisku, ale żądam jednego: muszę obejrzeć mapę łowisk. Zgoda?

— Zgoda — wyciągnęła do mnie rękę.

I rozeszliśmy się na spoczynek. Zасыpiając rozmyślałem: „Być może nie spotkam Człowieka z Blizną i nie odnajdę zatopionych zbiorów. Lecz może potrafię zawrócić ze złej drogi tę młodą dziewczynę i Czarnego Franka. Jeśli to się uda, moje przybycie nad Jeziorak nie będzie bezowocne”.

ROZDZIAŁ DWUNASTY [\[top\]](#)

CZY BRONKA JEST SZPIEGIEM BANDY • CO SIĘ DZIAŁO NA JEZIORZE • O ROMANTYCZNEJ PRZYGODZIE • KTO JEST NA BAKIER Z REGULAMINEM WĘDKARSKIM • EGZAMIN • I ZNOWU TAJEMNICZA MAPA • ZDEMASKOWANY • KOMU MOGĘ ZAUFAC

— Czy ona także będzie łowić ryby? — z niepokojem zapytał mnie pan Anatol, gdy następnego dnia zobaczył w moim obozie rudą Bronkę.

— Wydaje mi się, że ryb dla pana nie zabraknie. Jezioro jest ogromne — odrzekłem.

A potem pochylilem się do jego ucha i jakbym go wtajemniczał w jakąś wielką sprawę, szepnąłem:

— Ta dziewczyna w ogóle nie łapie ryb. Ona jest z bandy Czarnego Franka.

Aż odskoczył na dwa kroki.

— No tak, rzeczywiście. Widziałem ją wśród tej strasznej hordy. I co ona tu robi?

— Zerwała z bandą i chce wstąpić na dobrą drogę — wyjaśniłem.

— A pan w to wierzy? Może chcą nas obrabować i przysłali ją tutaj na przeszpiegi?

— Może — kiwnąłem głową.

Jakieś licho podkusiło mnie, żeby nastraszyć pana Anatola. Zresztą szczerze wyznaję, że nie miałem do dziewczyny pełnego zaufania. Nie zerwała przecież zupełnie z bandą. „Kto wie — myślałem — w jakich mogę znaleźć się sytuacjach? Być może, będę musiał dziewczynę pozostawić samą w obozowisku. Nie stanie się źle, jeśli spocznie na niej w tym czasie czujne oko pana Anatola”.

A dziewczyna, nieświadoma faktu, że budzi podejrzenia, najpierw pięknie wysprzątała namiot, a potem nagrzała wody i zabrała się do prania bluzki oraz mycia włosów.

Tak minął ranek. Pan Anatol i jego przyjaciel popłynęli na przylądek, aby łowić okonie. Myszka i małżonka pana Kazia czuwały przed namiotem, bacznie obserwując każdy ruch Bronki.

Dzień był pogodny, słoneczny, ale dał silny wiatr i łagodził upał. Bluzka i uprane spodnie szybko obsychały na sznurku namiotowym, dziewczyna ubrana tylko w kostium kąpielowy leżała na kocu i suszyła swoje rude włosy. Ja zaś siedziałem nad brzegiem jeziora i obserwowałem zielonkawą toń.

Na jeziorze już od samego rana trwał duży ruch. W tę i z powrotem pływały kajaki harcerzy. Domyślałem się, że po wczorajszej historii z namiotami poszukują oni nowego obozowiska bandy Czarnego Franka. Majestatycznie przepłynął jacht Wacka

Krawacika, kierując się w stronę Czaplaka. Ale nie dobił do wyspy, tylko nagle zawrócił. Zakotwiczony został w pobliżu Przylądka Sandacza, gdzie grasowali dwaj rycerze spinningu. W stronę Siemian dryfowała mała gumowa łódeczka, w której przez szkła lornetki widziałem Fałszywego Ornitologa.

Wyobrażałem sobie, że może w tej samej chwili Czarny Franek wędruje brzegiem jeziora, poszukując złodzieja mapy łowisk. A Kapitan Nemo, kryjąc swój ślizgacz w jakiejś tajemniczej przystani, planuje kolejny wypad przeciw bandzie wyrostków.

I tylko ja trwałem w bezczynności, choć sprowadziła mnie tu sprawa bardziej ważna niż wojna harcerzy z chuliganami, zaginięcie mapy łowisk, tajemnica Fałszywego Ornitologa czy rozgrywka Kapitana Nemo z bandą Czarnego Franka.

Przypląnęła Marta na swojej wielkiej rybackiej krypie. Wyłączyła motor dopiero w ostatniej chwili, tak ją zdumiał widok Bronki. Rozpędzona łódź wjechała dziobem na brzeg i głęboko zaryła się w piasku.

— No, wie pan — stwierdziła z oburzeniem, patrząc na Bronkę. — „Przysięgam, że od dziś nie będę zadawał się z dziewczętami” — przedrzeźniała moje wczorajsze słowa. — A może zapisał się pan do gangu Czarnego Franka?

— Zerwała z bandą. Sam zresztą jej to zaproponowałem — tłumaczyłem Marcie.

— I pan jej uwierzył? Więc dlaczego nie wraca do domu, tylko dalej siedzi nad jeziorem? Pan myśli, że Czarny Franek pozwoliłby jej tak odejść? Miałby pan już na karku całą bandę. Ona jest ich szpiegiem.

Mówiła to wszystko przy Bronce, która z początku z lekceważeniem odnosiła się do jej oskarżeń. Lecz w końcu dotknęły ją one do żywego. Podniosła się z koca, zerwała ze sznurka mokrą jeszcze bluzkę.

— Jeśli pan tak samo myśli jak ona, mogę odejść — powiedziała.

— A tak. To byłoby najlepsze — twardo rzekła Marta.

Ale ja byłem innego zdania. Podszedłem do Bronki i położyłem jej rękę na ramieniu.

— Wtedy, na wyspie, zaproponowałem ci ucieczkę. Przyjęłaś moją propozycję i wszystko jest w najlepszym porządku. Wczoraj wieczorem zawarliśmy umowę.

— No tak. Ale ona... — spojrzała wymownie na Martę.

Odeszliśmy nieco na bok.

— Czy wiesz, gdzie znaleźć Czarnego Franka?

— Nie, ale przypuszczam, że poszedł na Bukowiec, gdzie skradziono mapę Krawacika. Ma nadzieję odnaleźć złodzieja i odebrać mu mapę. Jeśli pan chce, mogę też tam zaraz pójść. To dość daleko, chyba z pięć kilometrów brzegiem jeziora.

— Zgoda — kiwnąłem głową. — Idź na Bukowiec. Postaraj się także umożliwić mi rozmowę z Czarnym Frankiem. Taką rozmowę bez świadków, rozumiesz?

Wróciłem do Marty, która obserwowała nas z ironicznym uśmiechem na ustach.

— No, jasne — stwierdziła. — Zapomniałam o pewnym drobnym szczególe. Nie wzięłam pod uwagę, że i pana sprowadziły nad Jeziorak jakieś ciemne sprawy. Nie zdziwię się, jeśli się okaże, że to nie oni pana, ale pan ich wywiódł w pole.

— Kto kogo?

— Pan bandę Czarnego Franka — wyjaśniła.

Wskazałem wędki leżące na dnie krypy.

— Może popłyniemy na ryby? — zaproponowałem. — Na Przylądek Sandacza?

Zepchnęła łódź na wodę, uruchomiła silnik. Kiwnąłem Bronce ręką na pożegnanie i odbiliśmy od brzegu. Fala była duża, łodzią kotłowało mocno, raz po raz bryzgi fal opryskiwały nas od stóp do głów.

Dwaj rycerze spinningu łowili ryby w miejscu, gdzie wczoraj Marta schwytała ogromnego okonia. Nieco dalej od brzegu stał biały jacht Wacka Krawacika. Rozlegała się z niego rytmiczna melodia z tranzystora.

Przybiliśmy do Przylądka od strony zachodniej, żeby panu Anatolowi i Kaziowi nie płoszyć ryb. Marta zgasiła silnik, wyciągnęła łódź na piasek.

— Może odwiedzimy Fałszywego Ornitologa? — zaproponowała.

— Odpłynął do Siemian gumową łódeczką.

— Więc można spenetrować jego obóz. Może się wyjaśni, kim jest naprawdę?

— No, wie pani — oburzyłem się. — Chce pani żebyśmy postępowali jak złodzieje zakradający się do domu pod nieobecność właściciela? Lubię grać fair. Z tego powodu mam zastrzeżenia do Kapitana Nemo.

— Ma pan do niego pretensję, że nie występuje z otwartą przyłbicą? — oburzyła się. — A pan? Czy pan nie robi tego samego?

— Przecież widzi pani moją twarz.

— Ale nie znam pana myśli. Nie wiem, czego pan szuka nad Jeziorakiem. Sam pan powiedział przed chwilą: „lubię grać fair”. A więc jednak odbywa się tu jakaś gra. Co jest stawką?

Zastanawiałem się dłuższą chwilę. Miałem nawet ochotę wyznać jej całą prawdę, ale powstrzymałem się.

— Przyjdzie czas, gdy wszystko pani wyjaśnię. Przybyłem nad Jeziorak, aby odnaleźć pewnego człowieka. Moje gadulstwo mogłoby zepsuć całą sprawę.

— Pan sądzi, że ja mam długi język?

— W gruncie rzeczy znamy się bardzo mało. A sprawa jest poważna.

Przez jakiś czas minę miała nadąsaną. Siedziała na brzegu, wsparta plecami o pień grubej olszyny i nie chciała ani łowić ryb, ani spacerować po lesie.

— A może pan wyjaśni mi chociaż, jakim cudem Bronka znalazła się w pana obozie? — zapytała.

— To nie tajemnica. Gdy zostałem uwięziony na wyspie Czarnego Franka, zaczęła ze mną rozmowę. Z jej słów wynikało, że do bandy sprowadziła ją chęć przeżycia czegoś niezwykłego, romantycznego. Oczywiście, rozczarowała się. Pomyślałem, że nadarza się okazja, aby ją wyrwać z bandy. Zaproponowałem jej ucieczkę i przeniesienie się do mojego obozu. Obiecałem, że przeżyje naprawdę piękne przygody.

— Czyż to była tylko obietnica?

— Wydaje mi się, że potrafię ją spełnić.

— A więc wracamy do tego samego. Pan jednak prowadzi tu jakąś grę. Jestem trochę dotknięta. Nie zrobiłam nic takiego, co mogłoby pana zrazić. A przecież to jej, a nie mnie, zaproponował pan przeżycie czegoś niezwykłego.

— Chyba pani nie trzeba wyrwać spod złego wpływu? Nie chcę pani schlebiać, ale jest pani uosobieniem przygody. Gdy patrzę na panią łowiącą ryby, pływającą po jeziorze, nie wyobrażam sobie, aby istniała bardziej romantyczna dziewczyna.

— Tak pan sądzi? — zarumieniła się pod wpływem moich komplementów.

— A wracając do Bronki — dodałem — może dzięki niej zdołam zbliżyć się do Czarnego Franka? W bandzie zaczęły się konflikty, to dobra okazja, aby i jego nakłonić do przejścia na moją stronę.

Z powątpiewaniem pokręciła głową.

— Przyjaźń z Bronką skończy się dla pana rozczarowaniem. Pan sądzi, że ona naprawdę zerwała z bandą?

— Ma tylko sentyment do Czarnego Franka. Pragnę to wykorzystać, aby przyciągnąć do siebie tego chłopaka. Może również uda mi się nakłonić wtedy Kapitana Nemo, aby zmienił swój stosunek do Franka.

— Przecież Czarny Franek go nienawidzi.

— Wiem, że w gruncie rzeczy Kapitan Nemo imponuje chłopakowi. Tym ślizgaczem, sztuką rzucania spinningiem, odwagą i tajemniczością. Gdyby się udało im za przyjaźnić, może miałoby to dobry wpływ na chłopaka? Spróbuję przekonać do tej myśli Kapitana Nemo. Mam dziś z nim spotkanie...

— Aż podskoczyła na trawie.

— Kiedy? Gdzie?!

— Jestem zobowiązany do zachowania tajemnicy.

Przerwaliśmy rozmowę. Z drugiej strony Przyładka przywędrował ku nam pan Anatol. W siatce niósł tylko kilka małych okoni, ale twarz mu promieniała szczęściem.

— Łapią się! — powiedział do nas z triumfem. — Pani miała wczoraj jedynie dużo szczęścia. My natomiast łapiemy według wszelkich wskazań wędkarskich. Nam ryba nie zawlecze wędziska na jezioro. Gdyby się pani znała na wędkarstwie...

— Skąd pan wie, że się nie znam? — przerwała mu Marta.

— Pani jest za młoda. Pani jeszcze chodzi do szkoły. Ja nawet nie wiem, czy posiada pani kartę wędkarską?

Marta sięgnęła do tylnej kieszeni swoich spodni i wyjęła legitymację Polskiego Związku Wędkarskiego.

— Ja mam. A pan?

Pan Anatol zaniemówił ze zgrozy, że ktoś się ośmielił posądzić go o brak karty wędkarskiej. Wręczył swoją legitymację Marcie, jednocześnie oglądając jej kartę wędkarską.

— Pani posiada już znaczek spinningowy? — zdumiał się. — Przecież ma pani najwyżej siedemnaście lat. Dopiero od siedemnastu lat dostaje się pozwolenie na łapanie spinningiem.

— Mam upoważnienie Zarządu Głównego PZW, jako młody sportowiec wyczynowy — powiedziała z dumą Marta. I przybrawszy niewinną minkę, zapytała: — Czy mógłby mi pan powiedzieć, iloma wędkami ma prawo łowić wędkarz?

— Hm... — zaniepokoił się.

— Wędkarz ma prawo łowić dwiema wędkami zwykłymi i jedną lekką do połowu żywca — wyrecytowała Marta. — Pan zaś, jeśli się nie mylę, łowi aż trzema wędkami. A iloma wędkami wolno łowić w krainie ryb łososiowatych?

— Tu nie ma pstrąga ani łososia — bronił się pan Anatol.

— A czy pamięta pan wymiary ochronne poszczególnych gatunków ryb i ich czas ochronny?

— Pani chce mnie egzaminować? — oburzył się.

— Pan miał wątpliwości, jeśli chodzi o moją wiedzę z dziedziny wędkarstwa. Chyba pan się nie obrazi, jeśli się wzajemnie przeegzaminujemy? A może pan nie czuje się na siłach?

— Ja? Proszę pytać. Odpowiem na każde pytanie — wyprostował się dumnie pan Anatol.

Marta zaczęła pytania zadawać szybko, bez namysłu:

— Rozmiar ochronny sandacza?

— Do czterdziestu centymetrów — odparł pan Anatol.

— A na wodach państwowych gospodarstw rybackich?

— Hm... — zastanowił się pan Anatol.

Marta odpowiedziała bez wahania:

— Nie wolno łapać sandacza poniżej kilograma i pięćdziesięciu centymetrów długości. A rozmiar ochronny wzdręgi?

— Do piętnastu centymetrów.

— Płoci?

— Do piętnastu centymetrów.

— Lina?

— Hm... — zafrasował się rycerz spinningu. Po dłuższym namyśle rzekł niepewnie: — Trzydzieści centymetrów.

— Nie. Do dwudziestu pięciu. Szczupak?

— Czterdzieści centymetrów.

— Węgorz?

I znowu niepewność zagościła na twarzy pana Anatola. Dziewczyna machnęła ręką.

— Dajmy spokój egzaminowi. Zdaje mi się, że jest pan na bakier z regulaminem PZW.

— Pani mnie obraża — rozsierdził się rycerz spinningu.

— W takim razie niech pan poda czasy ochronne: sandacza, szczupaka, siei, pstrąga źródlanego, lipienia, sielawy...

Pan Anatol przestąpił z nogi na nogę.

— Ja zawsze łowię w lecie. Ale wiem, że sandacza nie wolno łapać do początku czerwca.

— Do trzydziestego pierwszego maja. A szczupaka?

— Tak samo.

— Nieprawda. Do piętnastego kwietnia.

Pan Anatol tupnął nogą.

— Wypraszam sobie taki ton. Jestem doświadczonym wędkarzem, a pani wydaje mi się za młoda, aby mnie egzaminować.

Rozsierdzony odszedł, pomrukując gniewnie. Zauważyliśmy jednak, że ściągnął z wody jedną wędkę i odtąd łowił tylko na dwie, zgodnie z regulaminem.

— Nauka nie poszła w las — roześmiała się dziewczyna. Nagle nabrała ochoty na wędkowanie. Wyjęła z łodzi dziurkowaną blaszankę z żywcem. Miała w niej kilka kielbi.

— Na szczupaka — wyjaśniła.

Zaproponowała, żebyśmy przeszli nieco dalej, nad małą zatoczkę. Lecz ja nie miałem ochoty na połów. Zauważyłem ruch na białym jachcie. Odbierała mi spokój świadomość, że nie znam dalszych losów mapy łowisk. W mojej głowie kotłowało się od

najróżniejszych podejrzeń, zdawało mi się, że lada chwila doznam olśnienia, które wyjaśni mi wszystkie zagadki nad Jeziorakiem.

— A co pan zamierza robić?

— Będę się opalał — odrzekłem zniecierpliwiony, że przeszkadza mi w rozmyślaniach.

Zabrała wędkę, żywiec i odeszła brzegiem. Przyłożyłem do oczu lornetkę. Wacek Krawacik i Brodacz leżeli na dziobie jachtu, a biała dama opalała się na dachu kabiny. Wacek i Brodacz rozmawiali o czymś, żywo gestykulując. Może kłócili się?

„Dużo dałbym, aby wiedzieć, co jest przedmiotem ich kłótni” — pomyślałem.

Włożyłem dłoń do wody. Dał silny wiatr, było zimno, ale woda okazała się ciepła. Zdjąłem ubranie, pozostając tylko w kąpielówkach. Dałem nurka i kierując się w stronę jachtu płynąłem pod wodą, dopóki starczyło mi tchu. Potem ostrożnie wynurzyłem głowę, aby złapać w płuca powietrza i zorientować się, czy nie zostałem z jachtu zauważony.

Lecz obawy były niepotrzebne. Płynąłem przecież do rufy, a Wacek Krawacik i Brodacz siedzieli na dziobie. Niebezpieczeństwo dostrzeżenia grozić mi mogło co najwyżej ze strony białej damy leżącej na dachu kabiny, ale i ona nie spoglądała w moją stronę. Zdawała się być zajęta kłótnią między Wackiem a Brodaczem.

Znow zanurzyłem się pod wodę i wypłynąłem już w pobliżu jachtu. Fale były dość silne i wysokie, chwilami nad moją głową załamywały się i ogarniały mnie białą grzywą piany. Aby odpocząć nieco, dałem się im trochę ponieść, a one podrzuciły mnie aż pod samą burtę. Chwyciłem się ręką krawędzi okrągłego okienka kajuty i przygnałem do śliskich desek kadłuba.

Brodacz mówił gniewnie do Krawacika:

— Straciliśmy kupę forsy, a teraz znowu tracimy czas. Trzeba coś przedsięwziąć, rozumiesz?

Wacek odpowiedział:

— Chłopak obiecał dostarczyć nam dziś mapę. Od jutra będziemy mogli zacząć nasz połów.

— A jeśli nie przyniesie?

— Nie zależy mu na forsie czy co? Damy mu nawet pięć tysięcy. Na głowie stanie i choćby spod ziemi wynajdzie mapę.

— Może jednak dać znać milicji? — zastanawiał się Brodacz. — Milicja prędzej od Franka zdoła odnaleźć złodzieja.

— Milicja? — zaniepokoił się Krawacik.

— A co w tym złego? Mapa jest mapą, skradzione rzeczy nam zwróca.

— Nie o to chodzi. Wydaje mi się jednak, że Czarny Franek ma większe szansę zdobyć tę mapę. Przecież on chyba zna się z wszystkimi łobuzami nad jeziorem. I łatwo się z nimi dogada, szczególnie jeśli obieca im trochę pieniędzy. Uważam, że należy się uzbroić w cierpliwość. Działać zaczniemy od jutra.

W tym momencie Wacek Krawacik wstał z leżaka.

— Popatrz! — zawołał do Brodacza. — Jakaś duża sztuka płynie pod wodą.

Wychylił się ponad burtę, śledząc cień ryby w jeziorze. I zauważył mnie, przyklejonego do kadłuba.

— Co pan tu robi?! — wrzasnął. — Pan nas podsłuchuje? A może pan chce nas okraść?!

Przez krótką chwilę zapomniałem języka w gębie.

— Odpoczywam — wyjąkałem.

— Jak to pan odpoczywa? Tutaj?!

— Pływałem. Ale fala jest duża i sił mi zabrakło. Złapałem się więc jachtu, żeby odpocząć. Zaraz odpływam do brzegu.

Z pokładu wychyliła się także Edyta.

— Dzień dobry panu — powitała mnie. — Proszę, może pan wejdzie do nas na pokład. Zmarzył pan chyba? Napije się pan czegoś gorącego?

Była bardzo miła. Ale to obudziło podejrzliwość Brodacza.

— Skąd ty znasz tego pana? — zapytał ją ostro. Nie zdążyła wyjaśnić, gdy wtrącił się Wacek:

— Czy to nie o tym facecie opowiadał nam Czarny Franek? Zaraz, jak go to przezywają? Pan Samochodzik, czy jakoś tak...

Biała dama była wciąż przemiała. Skinęła ku mnie dłonią i znowu zaproponowała:

— Może jednak wstąpi pan do nas na gorącą herbatę albo na papieroska?

Puściłem się okna kabiny, nogami odbiłem od kadłuba.

— Może innym razem! — odkrzyknąłem.

Silnymi ruchami rąk płynąłem w stronę brzegu, a oni stali na pokładzie i patrzyli za mną pełni podejrzeń.

Na Przylądku Sandacza siedziała Marta i trzymała w ręku moją lornetkę.

— Wpadł pan — stwierdziła ze złośliwą satysfakcją. — Bardzo brzydko jest podsłuchiwać.

Owiał mnie wiatr i aż zatrząsełem się z chłodu. Dzwoniąc zębami chwyciłem ubranie i zaszyłem się w krzaki. Wróciłem na brzeg, ale wciąż mną trzęsło, co dziewczyna obserwowała niemal z zadowoleniem.

— Będzie pan miał katar — powiedziała. A potem ze złością tupnęła nogą. — Wystał mnie pan na ryby, a sam...

— Co sam? — zrobiłem zdumioną minę. — Czy to już nie wolno mi się wykapać w jeziorze? I czy to ja posłałem panią na ryby?

Pokiwiała głową.

— Kapał się pan? Przy takim zimnym wietrze? Od razu wydało mi się podejrzane, że nie poszedł pan ze mną. Zawróciłam z połowy drogi i patrzę, a pan już jest przy jachcie. Przyłożyłam do oczu lornetkę i zobaczyłam, jak pan się przyczał pod burta. Trzeba było widzieć twarze Krawacika i Brodacza, gdy pana odkryli. No, o czym oni rozmawiali? — zapytała rzeczowo.

Nie miało sensu bawić się z nią w „ciuciubabkę”.

— Czarny Franek jeszcze im nie dostarczył mapy. Oni zaczynają się niecierpliwić.

Zastanowiła się chwilę.

— Czy ta mapa ma dla pana rzeczywiście aż takie znaczenie?

— Może i ja chcę zostać księciem spinningu?...

— Mogę panu wskazać miejsca, gdzie najlepiej chwyta szczupak, karp, płoć, krasnopióra, węgorz. Czy i wówczas w dalszym ciągu interesować będzie pana mapa łowisk Wacka Krawacika?

— Niestety, tak.

Nie powie mi pan dlaczego?

— Nie.

— Straciłam ochotę na połów. Wracamy — powiedziała tonem obrażonej panienci.

Posłusznie wsiadłem do łódki. Dziewczyna nie odezwała się do mnie ani słowem podczas całej drogi na drugi brzeg. Nawet gdy wyskoczyłem w pobliżu swego namiotu, nie powiedziała, czy mnie jeszcze kiedyś odwiedzi. Tyle tylko, że kiwnęła mi ręką na pożegnanie.

Ale przecież miałem przecucie, że spotkamy się jeszcze niejednokrotnie, i to chyba w ciekawych okolicznościach.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY [\[top\]](#)

CZY POWINNI ISTNIEĆ BŁĘDNI RYCERZE • WYZNANIA BRONKI • SPOTKANIE NA PRZYŁĄDKU SANDACZA • ŻDRADA • JESTEŚMY W PUŁAPCE • UCIECZKA • GŁOS ZACZAROWANEJ PISZCZAŁKI • RATUNEK • FAŁSZYWY CZY PRAWDZIWY ORNITOLOG

Bronka powróciła dopiero wieczorem. Była bardzo głodna, wyglądała na zmarłą, choć starała się to ukryć przede mną. Nie narzucałem się jej z pytaniami, wolałem cierpliwie czekać, aż sama zechce mi o wszystkim opowiedzieć.

Wiatr ustał, jezioro powoli uspokajało się. Ale wieczorne powietrze było chłodne. Aby nie zmarznąć, musiałem włożyć gruby sweter. Domyśliłem się, że i dziewczynie musi być zimno, dlatego dałem jej swoje skórzaną kurtkę.

Nie okazała mi wdzięczności. Powiedziała z drwiną:

— I gdzie jest ta pańska wspaniała przygoda?

Przez chwilę zamierzałem milczeniem zbyć tę wyraźną zaczepkę. Odrzekłem jednak:

— Zdaje mi się, że na brak przygód nie mogłaś dzisiaj narzekać.

Położyłem się na kocu w pobliżu namiotu i obserwowałem jezioro.

Tego wieczoru u moich sąsiadów panował radosny nastrój. Po raz pierwszy pan Anatol i pan Kazio przywieźli trochę ryb. Nie były to duże sztuki, lecz nałowili ich sporo. Przyrządzili ryby na kolację i teraz całą czwórką siedzieli przed swymi namiotami, prowadząc rozmowę. A ściślej — pan Anatol wygłaszał przemowę na temat wędkarstwa.

Nie rozumiem tej pasji. Nie ma dla mnie poza tym sportowego charakteru sytuacja, w której z jednej strony wygodnie, w ciepłym ubraniu i długich gumowych butach stoi sobie na brzegu starszy pan, a jego „przeciwnikiem” jest płoteczka, mała wesoła rybka, buszująca w jeziorze. Znam bardziej pasjonujące zajęcia. Tylko że za nie nikomu nie daje się medali, nie zestawia rekordów, nie ogłasza nikogo ani księciem, ani królem, ani nawet rycerzem. A może warto by przywrócić instytucję błędnych rycerzy, którzy podczas dorocznych urlopów wędrowaliby po kraju pomagając słabszym i walcząc ze złem?

Te rozmyślenia przerwało mi przybycie Tella i Krogulca. Dobili kajakiem do brzegu w chwili, gdy Bronka kończyła jedzenie obiadu, który dla niej pozostawiłem w menażce.

Krogulec pierwszy wyskoczył na ląd i kołysząc się na swych pałkowatych nogach natychmiast podszedł do dziewczyny.

— Nie oszukasz mnie! — zawołał piskliwie. — Jesteś z bandy Czarnego Franka. Co tutaj robisz? Po co tu przysłaś? Znowu jakąś hecę chcecie zmalować? Twój Czarny Franek dostał dziś niezłe cięgi od innych chuliganów. Ale my was i tak przepędzimy stąd na cztery wiatry.

Dziewczyna nie odezwała się, tylko niżej pochyliła głowę nad menażką. A Krogulec, jakby mnie nie widząc, powiedział do Tella, wyciągającego kajak na brzeg:

— Może zabierzemy ją do naszego obozu? Skoro oni chwytają jeńców, to i my możemy zrobić tak samo.

Tell puścił tę propozycję mimo uszu. Podeszedł do mnie, przywitał się, ale i jego intrygowała osoba Bronki.

— Czy pan wie, że ona należy do bandy Czarnego Franka? — zapytał.

— Należała. Zerwała z nimi — wyjaśniłem.

Krogulec, którego aż rozsadzała złość, zapiszczał jak kogucik:

— Jak to: zerwała? Całe popołudnie spędziła w towarzystwie Czarnego Franka na wyspie Bukowiec wśród tamtejszych kempingów. Planowali jakiś napad czy nowe zło-dziejstwo.

Bardzo dziwnie na te słowa zareagowała Bronka.

— Zerwałam? Wcale nie zerwałam z Czarnym Frankiem! — krzyknęła do Krogulca. — Nie zerwałam z nim i nie zerwę, rozumiecie?

Krogulec triumfująco wziął się pod boki.

— No, słyszy pan? Teraz wiadomo, kogo pan karmi w swoim obozowisku.

— Muszę wam zwrócić uwagę, druhowie — odezwałem się — że teren swego obozowiska uważam za neutralny. Bronka korzysta z prawa azylu. Jak wiecie, nie pochwalam waszej wojny z bandą. Bronka tu jest jako moja prywatna znajoma.

Wilhelm Tell z dezaprobatą pokręcił głową.

— Tak nie można, panie Tomaszu. To wcale nie jest postawa neutralna. W końcu wychodzi na to, że pan pomaga bandzie Czarnego Franka. A przecież pan poznał nasze szczere chęci, żeby się z nimi pogodzić. I co się potem stało? Znowu podstępnie zakradli się do naszego obozu i poprzewracali namioty. Teraz już nie ma mowy o pokoju nad jeziorem. Albo my, albo oni.

— Tak jest! — krzyknął Krogulec. — Albo my, albo oni.

Odplynęli.

A ja patrząc za nimi pomyślałem ze smutkiem, że chyba na jakiś czas straciłem przyjaciela, z którym przeżyłem tyle ciekawych przygód.

Zbliżyła się do mnie Bronka. Usiadła na kocu. Tak jak i ja patrzyła w ślad za od-dalającym się kajakiem.

— Mam pretensje do siebie, że opuściłam Franka. Zrobiłam to wtedy, gdy wszyscy go porzucają. W bandzie nikt go już nie słucha.

— Nie będzie miał Franek mapy, nie dostanie pieniędzy od Krawacika — rozważa-łem głośno. — Nie wyjedzie banda do Sopotu, Franek nie odzyska wodzostwa.

— A właśnie że odzyska. Jeszcze dziś odzyska! — oburzyła się Bronka. — Pan nie zna Franka. To wspianiały chłopak.

— Szykuje jakiś nowy łobuzerski wyczyn? — zapytałem z ironią.

— Pan się dowie. I to wkrótce — rzekła przez zaciśnięte zęby. A potem — ni stąd, ni zowąd — rozplakała się.

— Nie lubię beks, ślamazar i mięczaków — powiedziałem trochę szorstko. — Dać ci proszek nasenny? Idź spać. Jutro obudzisz się w weselszym nastroju.

Wzięła ode mnie proszek i pochlipując poszła do namiotu.

O dziesiątej wieczorem czekało mnie spotkanie z Kapitanem Nemo. Postanowiłem, że jeśli tym razem Nemo zdecyduje się ze mną prowadzić otwartą grę, wyjawię mu sprawę zatopionej ciężarówki i postaram się wciągnąć go do współpracy.

W tym momencie przypomniałem sobie o Fałszywym Ornitologu i jego czarodziej-skiej piszczałce.

„A może zabrać ją ze sobą na spotkanie z Kapitanem Nemo?” — pomyślałem.

Spotkanie miało się przecież odbyć na Przylądku Sandacza, gdzie w pobliskim lasku biwakował Ornitolog. Nie oczekiwałem żadnej złej przygody, ale na wszelki wypadek — raczej dla żartu — postanowiłem uzbroić się w piszczałkę. Sięgnąłem do wehikułu, wyszukałem ją i wsadziłem do kieszeni.

Zapadły ciemności, zbliżała się dziesiąta.

Bronka już chyba smacznie spała w namiocie. U moich sąsiadów także panowała zupełna cisza. Włączyłem silnik wehikułu i bardzo wolno, niemal bez szmeru i plusku, wjechałem w jezioro. Nie zapalałem świateł samochodowych, bo przecież Przylądek Sandacza leżał naprzeciw mojego obozu, zdołałem dobrze poznać tę część jeziora.

Płynąłem bez pośpiechu. Nie chciałem przybyć na spotkanie wcześniej, niż przewidywał termin. Ale nie zamierzałem również się spóźnić.

Mimo ciemności nocnych brzeg i drzewa na przylądku rysowały się mocną, czarną krechę, a wkrótce usłyszałem plusk fal rozbijających się na piaszczystej ostrodze. Dziwiło mnie trochę, że nie słyszę warkotu ślizgacza, ale doszedłem do wniosku, że być może Kapitan Nemo trochę spóźni się na spotkanie.

Była punktualnie dziesiąta, gdy znalazłem się na Przylądku Sandacza. Wehikuł wprowadziłem w trzciny i poszedłem na koniec przylądka. Tu usiadłem pod krzakiem nad samą wodą.

Przylądek Sandacza wydawał się bezludny i cichy, tylko delikatnie i monotonicznie szumiał las i pluskały fale jeziora. Dlatego aż drgnąłem, gdy nagle w trzcinach grubym głosem odezwał się stary kaczor. Potem głucho bucząc przeleciał mi nad głową wielki chrząszcz.

Minęło pięć minut, a później dziesięć. Fajka zaczynała przygasać, a Kapitana Nemo wciąż nie było. Czyżby zrezygnował ze spotkania?

Na krótki moment przez chmury na niebie przedarł się skrawek księżyca, podobny do przełamanej na pół złotej monety. Ale zaraz zniknął i ciemności pogłębiły się. Spojrzałem na zegarek. Minęło już piętnaście minut od terminu naszego spotkania. I nagle za swoimi plecami wyczułem czyjaś obecność. Odwróciłem się szybko. Tak, ktoś zbliżał się skrajem lasku. Niska, czarna sylwetka sunęła ku mnie bezszelestnie jak zjawa.

Podniosłem się z ziemi. To był Kapitan Nemo w swym czarnym płaszczu, z kapturem nasuniętym na głowę. Zatrzymał się o trzy kroki ode mnie i gestem dłoni wskazał mi, abym usiadł. On także ukucnął.

Aż do bólu oczu starałem się przeniknąć mrok i dostrzec twarz Kapitana Nemo, aby zapamiętać z niej jakiś charakterystyczny szczegół. Lecz ciemności osłaniały mu twarz tak samo dokładnie, jak czarny płaszcz krył jego ciało, a kaptur głowę i włosy.

Nie zdążyliśmy jeszcze zamienić ani słowa, gdy raptem od strony lasku rozległ się krzyk:

— Łapcie go! Tam jest! Na końcu półwyspu! Chłopaki, łapcie go!

W jednej sekundzie i ja, i Nemo zdaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy otoczeni przez bandę Czarnego Franka. Wrzeszcząc i łamiąc gałęzie, szeroką tyralierą szli na nas od skraju lasu. Zdobyli skądś łódkę i nadpłynęli również wodą, zagradzając nam drogę do wehikułu i ślizgacza, który zapewnił był ukryty w trzcinach.

W mojej głowie zaroilo się od pomysłów ucieczki. Ale żaden z nich nie nadawał się do realizacji. Skoczyć do jeziora? Przecież tam jest łódka, która zaraz nas doścignie. Przedzierać się przez tyralierę i uciec do lasu? A jeśli nas zatrzymają i obezwładnią?

— Już ich widzę! — krzyczał Czarny Franek. — Uwaga, będą chcieli się prze-
drzeć...

A więc domyślali się moich planów i byli na nie przygotowani.

Nemo, który do tej pory stał jak sparaliżowany, raptem zbliżył twarz do mojego ucha i szepnął bezgłośnie:

— Uciekamy oddzielnie. Pan w las, a ja w jezioro...

Zapalił latarkę elektryczną — silny, trzybaterijny reflektor. Promień światła skierował na podpływającą łódkę, oślepiając dwóch znajdujących się w niej chłopaków. Po czym pozostawiając zapaloną latarkę na brzegu skoczył do wody poza zasięgiem światła.

A ja?

Wrzeszcząca gromadka chłopaków i dziewcząt wciąż się zbliżała. Stałem bezradny nie wiedząc, co z sobą począć. Nagle przypomniała mi się dziwna piszczałka. I to może śmieszne, ale skoro każda próba ucieczki wydawała się skazana na niepowodzenie... Przyłożyłem piszczałkę do ust i gwizdnąłem z całych sił.

Wydała dźwięk przeraźliwy, przejmujący do szpiku kości.

— Co to? Co oni robią? — usłyszałem niespokojny głos Czarnego Franka.

A w tym momencie, z lasu, rozległ się donośny głos:

— Usłyszałem wołanie. Biegnę na pomoc!

I Ornitolog, on to bowiem odpowiedział na głos piszczałki, zaczął zbliżać się przez lasek z takim łomotem i trzaskiem gałęzi, jakby to nie jeden człowiek biegł, ale zbliżał się słoń, tratujący wszystko po drodze.

— Kto to? Co się tam dzieje? — padały okrzyki chłopaków z bandy. Tę chwilę ich niepewności zdecydowałem się wykorzystać. Kilkoma susami wybiegłem im naprzeciw. Siłą rozpędu wpadłem na jakiegoś chłopaka. Przeskoczywszy przez leżącego rzuciłem się w kierunku, skąd zbliżał się z łomotem Ornitolog.

— Uciekają! — wrzasnął Czarny Franek.

Krzyczeli też inni chłopcy. Piszczały dziewczyny.

Nikt z bandy nie zdawał sobie sprawy, że Nemo skoczył do wody. Dostrzegli tylko moją ucieczkę, sądzeni więc, że Nemo wciąż jeszcze kryje się na końcu półwyspu. Pobiegli w tamtą stronę.

Tymczasem do piaszczystego cypla przybiła łódka, z której wyskoczyli dwaj chłopcy i zgasili latarkę, pozostawioną przez Nemo. Zapadły ciemności, ktoś kogoś wziął za Nemo, zaczęli się szarpać między sobą, krzyżąc przy tym nieludzko.

Długą chwilę trwało, zanim ustała wreszcie ta kotłowanina i zorientowali się, że nie ma wśród nich Kapitana Nemo.

— Uciekł wodą — usłyszałem głos Franka. — Wy czterej wsiadajcie do łódki i latarkami oświetlicie jezioro. Nie mógł odpłynąć daleko. A ja i reszta popędzimy szukać tego drugiego faceta.

W ciemności wpadłem na Ornitologa.

— To ja! To ja! — wołałem ostrzegawczo, nie chcąc, aby w ciemnościach wziął mnie za kogoś innego.

Zatrzymał się sapiąc głośno. Był uzbrojony w sękaty kostur.

— Uff, uratował się pan jednak. Czego oni chcieli od pana?

— To nie o mnie chodziło, tylko o Kapitana Nemo. Jego chcieli schwytać.

Nie było czasu na rozmowy. Mieliśmy już na karku bandę, która przeszukiwała skraj lasu.

— Chodźmy stąd — szepnąłem. — Są chyba bardzo rozjuszeni, bo Nemo im uciekł.

Nie spiesząc się, ostrożnie przedarliśmy się przez mały las aż do obozowiska Ornitologa.

— Zapali pan? Ornitolog wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów.

Usiedliśmy przed jego trójkątnym namiocikiem. Drżącymi ze zdenerwowania palcami wyjąłem z paczki papierosa.

— Jestem niespokojny o Nemo — rzekłem. — Nie wiem, czy udała mu się ucieczka.

Podał mi ognia.

— A jednak moja piszczałka na coś się przydała, prawda? — zaśmiał się.

— A tak — stwierdziłem. — Czy pan jest może mistrzem czarnej i białej magii?

— Nie mistrzem, tylko czeladnikiem — odparł skromnie. — Zagadka jest zresztą łatwa do wyjaśnienia. Kładłem się już spać, gdy usłyszałem w lesie jakieś głosy. Zaniepokoiło mnie, bo to miejsce jest w nocy zawsze bezludne. Postanowiłem trochę rozejrzeć się i stwierdziłem, że przez las w stronę przylądka skrada się duża grupa chłopaków i dziewcząt. Poszedłem ostrożnie za nimi, a potem usłyszałem głos piszczałki.

Wstałem z ziemi.

— Muszę już wracać. Martwię się o Kapitana Nemo. To ja naraziłem go na niebezpieczeństwo.

Przedarliśmy się przez lasek i wyszliśmy na Przylądek Sandacza. Bandy już tam nie było. Na brzegu jeziora panował spokój.

— Wyznaję, że nie bardzo orientuję się w tych wszystkich dziwnych sprawach — rzekł do mnie Fałszywy Ornitolog. — To jezioro powinno nazywać się Diabelskie. Ciągłe toczą się jakieś wojny, podjazdy, najazdy. Jak nie harcerze z bandą, to znowu banda z harcerzami. Jak nie Kapitan Nemo, to znów tajemniczy facet z samochodem, który pływa po wodzie jak motorówka. Jakieś pułapki, zasadzki, polowania...

— Jakiś Fałszywy Ornitolog — dorzuciłem. — Bo przecież nie istnieją ptaki kiwiki. Marta pana zdemaskowała.

— Co się pan mnie czepia? — oburzył się. — Wierzy pan tej dziewczynie tylko dlatego, że wymyśliła ptaka kiwika? Wiedziałem, że ona żartuje, ale ponieważ mam poczucie humoru, starałem się odpowiedzieć również żartobliwie. Zresztą — wzruszył ramionami — nie zależy mi na tym, aby pan wierzył, że jestem ornitologiem.

Uśmiechnąłem się.

— Jeśli panu to sprawia przyjemność, zachowam wiarę w pańską znajomość ptaków. Mam wobec pana moralne zobowiązanie. Piszczątka jest rzeczywiście cudowna. Czy mogę ją jeszcze zatrzymać?

— Ależ tak. Proszę z niej korzystać.

— Na mnie już pora — powiedziałem i wyciągnąłem rękę do Ornitologa.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY [\[top\]](#)

ROZMOWA ZE SZPIEGIEM • KTO KOGO OSZUKAŁ • KOMEDIA PANA ANATOLA • WIZYTA BRODACZA • KOGO ŚLEDZĘ I KOGO CHCĘ OBRABOWAĆ • O MIŁOŚCI DO SAMOCHODÓW • PRZY KIOSKU Z PIWEM • CO SIĘ STAŁO Z CZARNYM FRANKIEM • KSIĄŻĘ SPINNINGU I BRODACZ DAŻĄ UPARCIE DO CELU • ZOBOWIĄZANIA

Bronka wstała bardzo wcześnie. Jeszcze mocno spałem, gdy ona wykapała się w jeziorze, ubrała i nawet przygotowała śniadanie. Dopiero potem delikatnie zapukała w szybę mego wehikułu.

W milczeniu jadłem śniadanie, obserwując delikatną twarz dziewczyny. Nie pytała o nic, nie zdradzała zainteresowania wypadkami wczorajszego wieczoru. Jakby nie miała pojęcia o zasadzce na Przylądku Sandacza.

— Czarny Franek nie będzie dowódcą bandy powiedziałem nagle.

— Skąd pan wie?

— Znowu nie udało mu się jego przedsięwzięcie. Nie sądzę, aby banda przebaczyła mu nową kompromitację.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi...

Zacząłem z innej beczki:

— Opowiedz mi dokładnie, jak to było z listem, który znalazłaś przed moim namiotem. Podejrzywałem wtedy, że go otwierałaś.

— To nieprawda. Ja go nie otwierałam i nie czytałam! — zawołała.

Pokiwałem smutnie głową.

— Oni jednak mieli rację...

— Kto?

— Marta i harcerze. Ostrzegli, że jesteś szpiegiem i mnie zdradzisz. A ja przecież nie zrobiłem ci nic złego, przeciwnie, chciałem jak najlepiej i dla ciebie, i dla Czarnego Franka.

Zaczerwieniła się, ale nie powiedziała ani słowa. A ja ciągnąłem dalej.

— To był list od Kapitana Nemo.

— Ja tego listu nie czytałam...

— Kapitan Nemo wyznaczył mi w tym liście dzień, godzinę i miejsce spotkania. Ja nie zdradziłem tajemnicy, on tego również nie zrobił. A jednak Czarny Franek wraz ze swoją bandą zaczął się na nas w wyznaczonym przez Nemo miejscu. Ale nie udało mu się zasadzka i na nic nie przydała się twoja zdrada.

— Przysięgam, że ja tego listu nie otwierałam, nie czytałam — powtarzała z twarzą czerwoną ze wstydu.

— Ale wczoraj wiedziałaś, że Czarny Franek spróbuje schwytać Kapitana Nemo. Nie zapieraj się. Twój wczorajszy niepokój wynikał właśnie z tego faktu. Imponuje ci Kapitan Nemo i nie pragniesz, żeby schwytała go banda Czarnego Franka, bo nią gardzisz. Ale z drugiej strony chcesz, aby Czarny Franek znowu rządził bandą, a do tego celu potrzebne było schwywanie Nemo. Wpadłaś w rozterkę i aż beczeć zaczęłaś, nie wiedząc, co począć. Tak było czy nie? — podniosłem głos.

— Tak. Ale ja tego listu... — zaczęła płaczliwie.

— Domyślam się — przerwałem jej. — Tego wieczoru, gdy zerwałaś z bandą, Czarny Franek przyszedł tutaj razem z tobą. Ciągłe cię przekonywał, abyś nie porzucała bandy. Przed moim namiotem znaleźliście list. To nie ty, lecz Czarny Franek otworzył go i przeczytał.

— Prosiłam, żeby listu nie ruszał — szepnęła.

— Być może, nawet prosiłaś go o to. Ale on cię nie posłuchał. Przeczytał, a potem list zakleił. Czy powiedział ci, czego ten list dotyczy?

— Mówił, że list jest od jakiejś dziewczyny...

— Pytałem cię, czy list był otwierany.

— Nie chciałam mówić o Franku. Bałam się, że pan straci do mnie zaufanie i nie będzie chciał przyjąć mnie do swego obozu.

— Rozumiem. A wczoraj na Bukowcu powiedział ci, że jednak znowu będzie dowodził bandą, bo wie, w jaki sposób schwytać Kapitana Nemo. Czy tak?

— Tak.

— Oszukałaś mnie mówiąc, że nikt nie otwierał listu. A Czarny Franek ciebie oszukał, bo nie powiedział ci, że wykorzystał twoją osobę dla swoich własnych celów; dla siebie pozostawił rolę bohatera, któremu uda się schwytać Kapitana Nemo, a tobie dał do odegrania podłą rolę dziewczyny, która zdobywa zaufanie po to, aby je zawieść.

Milczała dłuższą chwilę. Czekałem cierpliwie, dając jej czas do namysłu.

— Nigdy już nie spotkam się z Frankiem — oświadczyła z mocą.

Przecząco pokręciłem głową.

— Nie składaj przysięg, których nie będziesz w stanie dotrzymać. Żal ci Czarnego Franka. Wiem, że będziesz starała się pomóc mu tyle razy, ile razy będzie ci się wydawało, że mu pomóc potrafisz.

— To nieprawda — zachnęła się.

— Ja wiem lepiej. Zdziwisz się, jeśli ci powiem, że wcale cię za to nie potępiam. Powiem więcej: podoba mi się to. Nie wolno przyjaciół opuszczać w potrzebie. Ale musisz zdać sobie sprawę, że pomoc, jaką do tej pory okazywałaś Czarnemu Frankowi, nie przydała mu się na nic. Powiedz mi, czy chcesz mu naprawdę pomóc?

— Tak...

— Niekiedy tak się dzieje, że gdy się naprawdę pomaga przyjacielowi, który znalazł się na złej drodze, on zarzuca nam zdradę lub wrogość. Dopiero potem zaczyna rozumieć, że to, co jemu wydawało się wrogością, było właśnie pomocą wynikającą z przyjaźni. Powtarzam: jeśli chcesz naprawdę pomóc Czarnemu Frankowi, zaufaj mi i rób, co ci każę. I rób to, chociaż on nazwie cię swoim wrogiem. Czy rozumiesz mnie?

— Tak.

— Więc teraz pakuj nasze manatki. Opuszczamy to miejsce — powiedziałem rozkazująco.

Nie pytała o nic, bez słowa zabrała się do roboty. Zwinęliśmy namiot, zapakowaliśmy do samochodu śpiwory, materac i naczynia kuchenne. Pan Anatol i pan Kazio z odrobiną niepokoju obserwowali nasze czynności, a kiedy zorientowali się, że opuszczamy ich towarzystwo, podeszli do mnie zatroskani.

— Przenosi się pan? Czy można wiedzieć, dlaczego porzuca pan to miejsce?

Nie miałem zamiaru wyjaśniać im prawdziwej przyczyny mej decyzji. Zrobiłem wieloznaczną minę.

— Nie podoba mi się tutaj. Okolica wydaje mi się podejrzana.

— Co pan mówi? — przestraszył się pan Anatol.

— Niestety, opuszczam te strony — powiedziałem. — Kręcą się tutaj jakieś dziwne typy. Czy widział pan ogromną dziuplę w dębie rosnącym tam dalej, na brzegu? Wczoraj wieczorem ktoś się w niej krył. A minionej nocy, czy słyszał pan krzyki na Przylądku Sandacza?

— A tak, słyszałem...

— Banda Czarnego Franka usiłowała schwytać tajemniczego Kapitana Nemo. Wczorajszej nocy łowiłem węgorze na Przylądku Sandacza i byłem świadkiem okropnych rzeczy. Wyjeżdżam stąd, bardzo mi przykro.

— A ta dziewczyna? — wskazał wzrokiem Bronkę, zajętą układaniem naszych rzeczy w wehikule.

— Ona jedzie ze mną.

— Nie o to mi chodzi. Przecież ona jest z bandy Czarnego Franka.

— No to co?

— Ech — machnął ręką — pan chyba sam nie wierzy w to, co pan mówi. Niby to pan odjeżdża z powodu bandy i podejrzanych osobników, ale dziewczyna z bandy mieszka w pana obozie. Ciagle mówi pan „tajemniczy Kapitan Nemo”, ale on dla pana nie jest wcale tajemniczy. Którejś nocy widziałem przez szparę w drzwiach mojego namiotu, że Kapitan Nemo przywiózł pana tutaj swoim ślizgaczem. Pan nas uważa za ludzi bardzo naiwnych i mało spostrzegawczych — uśmiechnął się chytrze.

— Czyżby podejrzewał mnie pan o coś złego? — zrobiłem obrażoną minę.

I nagle doszedłem do wniosku, że to nie ja, tylko właśnie pan Anatol odgrywa komedię. Udawał, że go niepokoi mój wyjazd, a po prostu chciał wiedzieć, dlaczego nagle zwinąłem swoje obozowisko i dokąd się przenieść. Ale dlaczego, u licha, stał się taki dziwny?

Zaraz się wszystko wyjaśniło.

— Wczoraj wieczorem — ciągnął pan Anatol nie zwracając uwagi na moje pytanie — jak pan odpłynął gdzieś swoim samochodem, a ta dziewczyna już spała w pana namiocie, brzegiem przyszedł tu przyjaciel księcia spinningu. No, wie pan, ten Brodacz. Obudził nas i zaczął wypytywać o pana. Czy nie wiemy, kim pan jest, co pan tutaj robi i tak dalej.

— A co mu pan powiedział?

— Prawie nic, bo przecież nic o panu nie wiem. Podzieliłem się tylko swoimi spostrzeżeniami. Powiedziałem mu, że wędkarzem to pan nie jest, więc chyba na ryby pan nie przyjechał. Ale szybko porobił pan znajomości. Jedna dziewczyna łowi dla pana ogromne ryby, a druga jest z bandy Czarnego Franka. Przyplýwali tu także jacyś harcerze. Doszedłem więc do wniosku, że chyba jest pan nauczycielem, bo tak łatwo nawiązuje kontakty z młodzieżą.

— A nie mógł go pan zapytać, co go obchodzi moja osoba?
— Zrobiłem to, naturalnie. Wyjaśnił, że pan ich... śledzi. To znaczy, i on, i księżę spinningu odnieśli takie wrażenie.

— A w jakim celu miałbym to robić? — spytałem uprzejmie.

— Żeby ich... obrabować.

— No wie pan, coś podobnego!... — aż mnie zatkało z oburzenia.

— Ba, jeszcze więcej powiedział. On sądzi, że pan kieruje młodzieżowymi gangami nad jeziorem, a właśnie jeden z tych gangów obrabował księcia spinningu, kradnąc mu mapę łowisk. Pytali mnie, czy nie widziałem u pana tej ich skradzionej mapy.

Miałem dosyć tych oskarżeń.

— Żegnam panów — ukloniłem się panu Anatolowi i panu Kaziowi. — Życzę dużej ryby. Myślę, że poczuje pan ulgę, gdy taki niebezpieczny człowiek wyprowadzi się z tej okolicy.

— Ależ ja... ależ ja pana o nic nie oskarżam — bronił się pan Anatol. — To ten Brodacz tak mówił. Ja tylko powtórzyłem jego słowa.

Odwrociłem się na pięcie i poszedłem do wehikułu. Moje rzeczy leżały już na tylnym siedzeniu, w wehikule czekała Bronka. Z ponurą miną zasiadłem za kierownicą, przekręciłem kluczyk w stacyjce.

— Proszę pana, dokąd teraz pojedziemy? — zapytała Bronka.

— To ja ciebie pytam: dokąd? Chcę się spotkać z Czarnym Frankiem. I ty mi wskażesz drogę do niego.

Zaniepokoiła się.

— Ja nie wiem, gdzie jest nowy obóz bandy.

— Nie o bandę mi chodzi, tylko o Czarnego Franka. Zapomniałaś już o naszej porannej rozmowie? Przecież ci nie uwierzę, że rozstałaś się z Frankiem na zawsze. Chyba wyznaczycie sobie jakieś miejsce na spotkania?

— Mówił, że w południe będzie na Bukowcu, przy budce z piwem. Ale nie obiecał, że będzie na pewno.

— To nic. Zaczekamy tam na niego — zdecydowałem.

Przejechałem nadbrzeżną łąkę i wydostałem się na polną drogę biegnącą do wsi Wieprz. Z tej wioski, po grobli, można było zajechać na wyspę Bukowiec, zasiedloną przez zmotoryzowanych turystów i zabudowaną domkami kempingowymi.

Nie dziwiłem się, że właśnie Bukowiec przyciąga różnego rodzaju obieżyświatów i trampów. Do domków kempingowych dostęp był stosunkowo łatwy, namioty zmotoryzowanych turystów w ogóle nie miały zamknięć. W przystaniach nad zatoką kołysało się wiele łódek, kajaków i motorówek, w których turyści zazwyczaj pozostawiali najróżniejszy sprzęt. Krótko mówiąc, był to wspaniały teren dla młodzieńców w rodzaju Czarnego Franka.

Na Bukowiec jechaliśmy wolno, ponieważ droga była wyboista, pokryta głębokimi koleinami chłopskich furmanek. Trzymałem wóz na drugim biegu, silnik więc wył jak potępieniec. Wolna jazda męczyła silnik wehikułu i jeśli już musiałem zachować ślimacze tempo, pozostawiałem wóz na niskim biegu, ale starałem się utrzymać wysokie obroty.

— Słaby wozik — stwierdziła Bronka. — Tak wolno jedziemy, a on aż się dusi z wysiłku. Staroświecki — dodała, a miało to chyba znaczyć, że wóz jest starego typu.

— Nie jest aż taki stary — odrzekłem. — Tylko że wyglądu ładnego nie ma.

— Śmieszny wozik. Taka landara.

Pokręciłem głową.

— Piękne samochody są dla ludzi bez wyobraźni — oświadczyłem tonem filozofa.

Bronka roześmiała się.

— Muszę to powtórzyć Czarnemu Frankowi. Bo on, proszę pana, kocha się w pięknych samochodach. Gdy zobaczy piękny wóz, to go oderwać od niego nie sposób. On bardzo chce mieć samochód. Ech, żeby pan miał wspaniałą limuzynę to on chętnie za przyjaźniłby się z panem. A gdyby tak pan pozwolił mu zasiąść za kierownicą...

— Na szczęście nigdy do tego nie dojdzie.

— Dlaczego pan mówi: „na szczęście”?

— Na szczęście dla przechodniów i innych kierowców. Takim ludziom, jak Czarny Franek, zabroniłbym w ogóle dawać zezwolenie na prowadzenie pojazdów. Stosunek do życia, do społeczeństwa powinien być także brany pod uwagę przy udzielaniu zezwoleń. Jeśli ktoś w życiu codziennym lekceważy prawa i obowiązki obywatela, to i za kierownicą będzie się zachowywał podobnie. Zacznie łamać przepisy drogowe tak, jak łamie inne prawa. Lecz powtarzam, na szczęście tacy chłopcy nie mają samochodów. Mogą o nich najwyżej marzyć. Śmieszne to zresztą marzenia.

— Dlaczego śmieszne? Marzenia nigdy nie są śmieszne — powiedziała.

— Nigdy nie będzie miał pięknego samochodu, jeśli nie weźmie się do nauki, do ciężkiej pracy. Teraz może tylko marzyć, że ukradnie komuś samochód, przejedzie się nim kawałek, a potem albo sam się nim rozbije o drzewo, albo kogoś rozbije.

— Ech, pan zaraz przewiduje najgorsze.

— Znasz przecież Czarnego Franka. Gdyby zasiadł za kierownicą bardzo szybkiego wozu, czy potrafiłby wstrzymać się, aby nie pędzić z największą szybkością? A przecież nie ma żadnego doświadczenia. Chuligani kradnący samochody z reguły powodują wypadki.

— Pan się chyba nie musi obawiać kradzieży? — parsknęła śmiechem. — Pana wóz można dogonić choćby na rowerze. To z powodu tego wozu przezwano pana Panem Samochodzikiem? A swoją drogą dziwię się panu. Jak się z panem rozmawia, to pan się wydaje człowiekiem poważnym. Ale jak pan wsiądzie do tego wozu, zaraz się chce każdemu śmiać. Czy pan nie czuje, że taki samochód ośmiesza właściciela?

Aż się we mnie zagotowało ze złości.

— Nie popełniaj zasadniczego błędu młodości, nie sądź ludzi i rzeczy zbyt pochopnie. Powiadam ci, że być może wkrótce mój samochód przestanie ci się wydawać śmieszny...

Tymczasem minęliśmy wieś Wieprz i wjechaliśmy na wąską groblę łączącą wyspę Bukowiec z lądem stałym. Zobaczyliśmy rozległą zatokę z kilkoma przystaniami wodnymi, gdzie stało zakotwiczonych kilkanaście dość sporych jachtów, a nawet dwa rzeczne stateczki. Dostrzegłem także przycumowany u brzegu biały jacht Wacka Kwacika. Co oni tu mogli robić?

Bronka wskazała mi budkę z piwem stojącą tuż przy wyjeździe z grobli na wyspę. Zaraz za kioskiem rozciągał się niski niewielki lasek. A za laskiem — osada kolorowych domków kempingowych jakiegoś olsztyńskiego zakładu pracy.

— Schowam wehikuł w lasku — powiedziałem do Bronki — bo Czarny Franek może się spłoszyć. Ty usiądź w pobliżu kiosku i czekaj na niego. A ja będę krążył w najbliższym sąsiedztwie i gdy was zauważę podejdę.

Zbliżało się południe, chmury rozpiezchły się po niebie, słońce przygrzewało bardzo mocno.

Kolejka przy kiosku była dość długa, lecz znajoma postać natychmiast wpadła mi w oczy. Białowłosa Edyta z jachtu Wacka Krawacika kupowała w budce papierosy.

Postanowiłem zainscenizować przypadkowe spotkanie. Cofnąłem się na brzeg zatoki i potem pomaszerowałem w stronę kiosku.

Natknęliśmy się na siebie w połowie drogi. Na mój widok pannie Edycie wypadły z ręki cztery paczki papierosów.

— Dzień dobry pani — powiedziałem uprzejmie, przyklękając i podnosząc je z ziemi.

— O Boże, Boże! — szeptała przestraszona. — Pan także jest tutaj! To pan, naprawdę?

— Tak jest, we własnej osobie — odrzekłem, znowu uprzejmie się kłaniając.

Już podczas pierwszego z nią spotkania doszedłem do wniosku, że jest osobą bardzo naiwną. „A nuż uda mi się uzyskać od niej jakąś cenną informację?” — myślałem.

Była naprawdę przestraszona widokiem mojej osoby, co wyraźnie rysowało się na jej twarzy. Po chwili jednak strach zniknął, a pojawił się tak samo wyraźny i szczery gniew.

Tupnęła nogą.

— A więc Wacek ma rację: pan nas śledzi. A dlaczego, proszę pana? — ujęła się pod boki. — Jakim prawem pan nas śledzi?

Bezradnie rozłożyłem ręce.

— Przysięgam pani, że to nieprawda. Znalazłem się tutaj, ponieważ szukam na Bukowcu niejakiego Czarnego Franka.

— Zginęło coś panu?

— Yhm — skłamałem.

— To nie ma pan tutaj co robić. Musi pan jechać do milicji w Łławie. Dziś rano milicja urządziła tutaj obławę na łobuzów i włóczęgów, i zabrała ze sobą tego Czarnego Franka i Romana. Wacek i Janusz też pojechali do Łławy.

— Jachtem? — zdumiałem się, bo przecież widziałem jacht przycumowany do brzegu wyspy.

— Nie. Samochodem Wacka. We wsi Wieprz zaparkował on u pewnego rolnika swój samochód.

No właśnie, że też nie przyszło mi to do głowy. Oczywiście, Wacek Krawacik miał nie tylko piękny jacht, ale i samochód.

— Już wiem, po co pojechali do Łławy. Czarny Franek obiecał im, że odnajdzie tego, co ukradł mapę — powiedziałem.

— Nie. Pojechali w sprawie Romana.

— Po co Wackowi Roman? — zdziwiłem się.

Dopiero teraz obudziła się w niej podejrzliwość.

— Dlaczego pan o to pyta? Wacek zakazał mi rozmawiać z panem. Niczego się pan ode mnie nie dowie. Niczego! — krzyknęła groźnie.

— Ależ ja nic nie chcę wiedzieć — zapewniałem ją. — I muszę już iść, przepraszam panią.

To mówiąc wcisnąłem jej w ręce paczki papierosów, ukloniłem się grzecznie i popędziłem ścieżką w stronę kiosku z piwem.

— Odjeżdżamy! — zawołałem do Bronki i ruszyłem w stronę wehikułu.

— Co się stało? — dopytywała się zdziwiona, biegnąc za mną. — Pan już nie chce się spotkać z Frankiem?

Wciągnąłem ją do wozu, zapuściłem silnik.

— Czarny Franek jest w ławie. W areszcie milicyjnym — wyjaśniłem Bronce.

Zakryła twarz dłońmi.

— Czułam, że to się tak skończy — rzekła z rozpaczą. — Teraz on odpokutuje za wszystkie przewiny bandy...

Ogarnęła mnie złość.

— No tak przytaknąłem z ironią. — Franeczek jest niewinny. To tylko zła banda chuliganów nad jeziorem. A przypadkiem nie ów Czarny Franek dowodził tą bandą? A wtedy gdy się chuliganowało, zabijało owce na wyspie, kradło butle z gazem, to się nie myślało o odpowiedzialności przed prawem.

— Więc pan mu nie pomoże? — odjęła ręce od twarzy. Miała zaciśnięte usta.

Nie odezwałem się. Udałem, że jestem pochłonięty jazdą po wiejskiej drodze. Czeakało mnie kilkanaście kilometrów takiej trudnej drogi przez Gubławki, Ulpity, aż do Karczmisk, skąd do ławy prowadziła asfaltowa szosa.

— Dokąd jedziemy? — zapytała znowu.

— Na spotkanie przygody — odrzekłem beztrzesko.

— Nie chcę żadnych przygód. Nie wierze w żadne piękne przygody. Postanowiłam wrócić do domu, przeprosić rodziców i na przyszły rok wziąć się do nauki. Tylko żeby udało się pomóc jakoś Frankowi... Przecież pan go tak chyba nie zostawi, prawda? — rzekła błagalnie.

— A jak mu mogę pomóc? Mam powiedzieć milicji, że przestępstwa bandy Czarnego Franka są nieprawdziwe? Mam powiedzieć, że Czarny Franek to porządny chłopak, który nie dowodził bandą łobuzów?

— On już w tej bandzie od dawna nie rządził...

— No to co? Ale brał udział w wielu chuligańskich rozróżkach. I ty też. Przecież było do przewidzenia, że to się właśnie tak skończy. I ty o tym najlepiej wiedziałaś, dlatego między innymi porzuciłaś bandę. Ja zaś obiecałem ci wspaniałą przygodę i dotrzymam obietnicy.

Nie interesowała jej już przygoda. Myślała o Czarnym Franku.

— Schwytano całą bandę, czy tylko jego?

— Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że w areszcie jest także Roman.

Znowu zakryła twarz dłońmi.

— Co będzie z Frankiem?...

— Chciałem mu pomóc, gdy to było możliwe, dopóki sam, z własnej woli, mógł się wycofać z bandy. Teraz najwyżej jestem w stanie dostarczyć mu do aresztu trochę jedzenia czy słodyczy. Nie zapomnij, że on już siedział w domu poprawczym. To recydywista, a takich czeka surowa kara.

Rozplakała się. Nie, nie była beksą, tylko nagle zdała sobie sprawę z beznadziejności sytuacji, w jakiej znalazł się Czarny Franek.

Wjechaliśmy w uliczki miasta. Ława jest bardzo piękna, nowoczesne domy stanęły na miejscu gruzów i rumowisk z czasów wojny. Miasteczko ma charakter wczasowiska,

bo rozciąga się nad przesmykiem Jezioraka. Nad jeziorem są domki kempingowe, bary, kawiarnie, piękna restauracja o nazwie „Kormoran”.

Ale nie pora była na kontemplowanie uroków ławy. Znalazłem duży dom Komendy Miejskiej Milicji Obywatelskiej i zaparkowałem przed nim swój wehikuł.

Bronka była w takim stanie ducha, że gdybym ją zawiózł na dworzec kolejowy i wykupił bilet do Warszawy, bez słowa protestu wsiadłaby do pociągu i pojechała do domu. I być może powinienem był tak właśnie uczynić. Ale pomyślałem, że powróciłaby do domu skruszona i pełna dobrych chęci, lecz na jak długo starczyłoby tej skruchy? Bałem się, że jedyną naukę, jaką wyciągnie z lekcji, którą jej teraz dawało życie, będzie: człowiek nie powinien robić źle, bo może go aresztować milicja. A przecież chcemy wychować pokolenie, które nie będzie czyniło zła nie z lęku przed odpowiedzialnością, tylko z poczucia, że zło narusza ład, który sami sobie narzuciliśmy. Pragnąłem, aby przekonała się, że najniespokojniejszy nawet duch znajdzie przygodę i możliwość wyżycia się w ramach społecznego porządku, nie krzywdząc nikogo i nie wchodząc w kolizję z prawem.

— Zaczekaj na mnie — powiedziałem.

I zostawiwszy ją w wehikule poszedłem do komendy, prosząc o skontaktowanie mnie z oficerem dyżurnym.

Młody porucznik milicji przyjął mnie w pokoju bardzo skąpo umeblowanym. Oprócz stołu, dwóch krzeseł, szafy ogniotrwałej i dużego orła na ścianie — nic więcej nie było.

Pokazałem mu dowód osobisty i legitymację Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, w której byłem społecznym inspektorem służby drogowej. Ta legitymacja wyraźnie zjednała mi jego sympatię. Byłem przecież także milicjantem, tylko służącym ochotniczo w rezerwie.

Zapytałem o Czarnego Franka i Romana. Interesowały mnie powody, dla których zostali zatrzymani przez milicję.

— Tego Franka i Romana — odpowiedział porucznik zatrzymaliśmy pod zarzutem włóczęgostwa, choć zdaje się, że i poważniejsze wykroczenia mają na sumieniu. Ci chłopcy nie mieli przy sobie grosza, z czego więc tu żyją, jeśli nie z kradzieży? Postanowiliśmy po prostu wysiedlić ich z tego rejonu. Chcemy im dać bilety do miejsca stałego zamieszkania i zagrozić, że jeśli się tu jeszcze raz pokażą, trafią przed sąd dla nieletnich. Ów Franek, zwany Czarnym Frankiem, dowodził tu młodzieżową grupą chuliganów, której, niestety, nie udało się nam schwytać. Chłopak twierdzi, że zerwał z bandą i postanowił nająć się do pracy u miejscowych rybaków. Nie wiem, czy mamy prawo mu uwierzyć. Faktem jest jednak, że zatrzymaliśmy go samego, bez bandy. Chłopak siedział pod jakimś drzewem na Bukowcu i trząsał się z chłodu, bo ranek był zimny. Nasze tereny cierpią na brak rąk do pracy. Taki młody chłopak przydałby się w którymś gospodarstwie rolnym czy w spółdzielni rybackiej. Naprawdę nie zależy nam na tym, żeby siedemnastoletniego chłopca pakować do domu poprawczego. Ale musimy mieć gwarancję, że on się zmieni. Jeśli znajdzie się ktoś poważny, odpowiedzialny, kto podpisze nam zobowiązanie, że Franek od tej chwili weźmie się do uczciwej pracy, nie widzimy przeszkód, aby znalazł się na wolności.

— A Roman? — zapytałem.

— On już opuścił areszt. Pół godziny temu dwóch wczasowiczów podpisało zobowiązanie, że na okres lata wezmą go pod swoją opiekę.

— Wacek Krawacik i Brodacz — wyrwało mi się.

— Jeden z panów miał na imię Wacław. A drugi rzeczywiście nosił brodę — uśmiechnął się porucznik.

Wyznaję, że nic z tego nie rozumiałem. Dlaczego Krawacik i Brodacz tak zainteresowali się Romanem? Czyżby wyszły na jaw jakieś nowe okoliczności związane z mapą łowisk?

— Zanim podpiszę zobowiązanie, o którym pan wspomniał — powiedziałem do porucznika — chciałbym porozmawiać z Frankiem. Może on nie zgodzi się, abym go wziął pod swoje skrzydła.

— To zrozumiałe. Ale nie bardzo wiem, dlaczego pan chce wziąć na siebie aż taki obowiązek?...

— Obserwowałem go trochę. To w gruncie rzeczy ciekawy chłopak. Jest pewna szansa... Ale to długa historia, wiem, że pan jest zajęty...

Rzeczywiście, był bardzo zajęty. Raz po raz odwoływano go do telefonu, raz po raz do pokoju, gdzie rozmawialiśmy, zaglądał jakiś milicjant.

— Poproszę, aby sprowadzono tu tego chłopca — zdecydował porucznik i wyszedł na korytarz.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY [\[top\]](#)

DLACZEGO FRANEK PRZEGRYWAŁ, CZYLI ROZMOWA O CIASNYM UBRANIU • PAN MUZEALNIK • DLACZEGO UPUŚCIŁEM NÓŻ • ROMAN UJAWNIA SWOJE WARUNKI • GDZIE JEST TAJEMNICZA MAPA • BIADA PYSZAŁKOWI! • ZRZUCAM MASKĘ • POŚCIG • FORTEL PANA ZAGŁOBY • CO SIĘ STAŁO Z TAJEMNICZĄ MAPĄ

— Poznajesz mnie, prawda? — zapytałem Czarnego Franka.

Specjalnie przeszedłem na „ty”, aby odczuł, że go uważam za smarkacza.

Bez słowa skinął głową. Porucznik wyszedł pozostawiając mnie sam na sam z chłopcem.

— Kilkakrotnie zapraszałem cię na rozmowę — powiedziałem. — Ale wciąż weszylesz w tym jakiś podstęp. Aż wreszcie zaistniała taka sytuacja, że możemy sobie swobodnie pogadać.

— Czego pan chce ode mnie? — burknął opryskliwie.

Zdziwiłem się:

— Wciąż jeszcze uważasz się za największego cwaniaka? Żadnych nauk nie wyciągasz ze swojej obecnej sytuacji? Czy nie przychodzi ci na myśl, że nieustannie przegrywasz? Zrób rachunek, z łaski swojej. Dowodziłeś bandą i odebrano ci dowództwo. Darzyła cię sympatią Bronka i straciłeś tę sympatię, ba, postąpiłeś jak nicpoń, bo nadużyłeś jej zaufania. Zacząłeś wojnę z Kapitanem Nemo i przegrałeś. Nawet ze mną się nie udało, nie licząc, że wymknęła ci z rąk sprawa mapy łowisk. A wreszcie siedzisz w areszcie milicyjnym, podczas gdy Roman jest już na wolności.

— Uciekł? — okazał zainteresowanie.

— Wacek Krawacik i Brodacz podpisali oświadczenie, że biorą go na swoje utrzymanie i milicja zwolniła Romana z aresztu.

— A to cwaniaki! — wyrwało mu się.

— Ty też uważasz się za cwaniaka i mądralę. Jeśli tak jest, to spróbuj mi odpowiedzieć, dlaczego wciąż przegrywasz?

Lekceważąco machnął ręką.

— Mam pecha, proszę pana.

— Nie, kolego. Po prostu jesteś jak człowiek, który już wyrósł z ubrania; kiedy tylko zrobi jakiś szybszy ruch, ono pęka w szwach. Dlaczego odebrano ci dowództwo w bandzie?

— Roman intrygował przeciw mnie.

— Nie, mój drogi... Aby dowodzić bandą chuliganów, trzeba być wśród nich największym chuliganem. A tobie — nie wiem z jakich względów — ale przestało to odpowiadać. Chciałeś dowodzić bandą — tylko żeby ta banda nie kradła i nie chuliganiła. Po prostu nosisz już nie swój kostium. Pora go zmienić, przyjacielu, na inny.

— Do czego pan zmierza?

— Wacek Krawacik i Brodacz zobowiązali się wziąć pod opiekę Romana. Ja mogę zrobić to samo w stosunku do ciebie. Podpiszę zobowiązanie, że biorę cię na okres lata, no, nazwijmy to, w charakterze adiutanta. Mam w tych stronach pewne zadanie do spełnienia i potrzebuję pomocników. Zapowiada się kilka fajnych przygód.

— Pan jest... z milicji?

— Nie, chłopcze. Z muzeum.

Widać było, że z największym trudem powstrzymał się, aby nie parsknąć śmiechem.

— No, tak — westchnął kpiąco. — Powinienem się domyślić po tym pańskim muzealnym samochodzie. A może — ożywił się — pan z muzeum archeologicznego? Słyszałem od chłopaków, że kilku z nich pracowało u archeologów na wykopaliskach. Pan może potrzebuje robotników?

— Nie jestem archeologiem tylko historykiem sztuki.

Znowu się rozczarował.

— No, więc jak? Podpisać zobowiązanie? — zapytałem.

— Jak pan chce, panie muzealnik — odrzekł lekceważąco. — Wolę być pana adiutantem, niż siedzieć w celi albo wrócić do Warszawy.

— Ale pamiętaj. Będziesz robił tylko to, na co otrzymasz ode mnie zezwolenie.

Jeszcze raz wzruszył ramionami:

— To się wie, panie muzealnik. Będę grzeczny jak baranek. Nudy się tylko boję. I morałów.

Zbyłem milczeniem jego docinki i wyszedłem na korytarz, aby odszukać porucznika.

Porucznik wygłosił do Franka dość długie przemówienie, z którego wynikało niezbić, że choć za chwilę chłopak znajdzie się na wolności, to jednak śledztwo przeciw niemu toczyć się będzie w dalszym ciągu, jest bowiem podejrzany o współudział w zabiciu owcy oraz kradzieży lampy gazowej wraz z butlą turystyczną.

— Z dobrego serca radzę ci — zakończył swoje wywody porucznik — abyś od tej chwili zachowywał się jak najprzyswoiciej. Najlepiej zrobisz, biorąc się do uczciwej roboty. Jeśli zdobędziesz się na właściwą postawę, będzie to miało duży wpływ na tok śledztwa przeciw tobie.

Po pięciu minutach szliśmy z Frankiem do wehikułu. Aż drgnął, zobaczywszy Bronkę. A ona, o dziwo, zamiast okazać ogromną radość, czego można się było spo-

dziewać, bardzo chłodno przywitała się z chłopakiem. „Mądra dziewczyna — pomyślałem. Zaczęła sobie zdawać sprawę, że dotychczasowy jej zachwyty dla jego postępów tylko go rozzuchwalał”.

— Podpisałem zobowiązanie, że odtąd Franek przestanie być włóczęgą, a będzie pomocnikiem w moich poczynaniach. Czy nie masz nic przeciwko temu, żeby przyłączył się do nas? — zapytałem Bronkę.

Spojrzała na chłopaka niemal pogardliwie.

— Oby tylko nie nadużył pańskiego zaufania, jak to zrobił z moim — odpowiedziała.

Franek zaczerwienił się, jakby ktoś dał mu w gębę. Nie odezwał się jednak i usiadł na tylnym miejscu wehikułu, bo Bronka zajmowała miejsce obok mnie.

— Zjemy obiad — zdecydowałem.

Podjechałem do restauracji „Kormoran” znajdującej się już prawie za miastem, w najbliższym sąsiedztwie osiedla kempingowego. Restauracja mieściła się nad samym brzegiem jeziora, odgradzona od wody złocistą plażą z kąpieliskiem i przystanią. Przez wielkie szyby widziało się szarą toń Jezioraka i białe trójkąci żaglówek.

Przed „Kormoranem” stało kilkanaście samochodów. Franek nie mógł się powstrzymać, aby nie pogłodzić pieszczotliwie maski białego fiacika.

— Z Warszawy — stwierdził, zerknąwszy na tablicę rejestracyjną. — Fajny wozik. Chciałbym mieć taki. A pan, panie muzealnik, nie mógłby sobie takiego zafundować?

— Mój jest lepszy — odrzekłem.

Przyjął to jako żart. Weszliśmy do sali i zajęliśmy stolik tuż przy drzwiach. Znajdował się on przy ścianie, która o dwa metry dalej załamywała się, otwierając przestrzeń głównej sali, gdzie był parkiet i podium dla orkiestry.

Jedliśmy obiad w zupełnym milczeniu. Między Bronką a Frankiem wciąż trwała wyrażna niechęć, a ja rozmyślałem o swoich sprawach. Nagle aż nóż wypadł mi z ręki. Niemal od sąsiedniego stolika dobiegł mych uszu podniesiony głos Wacka Krawacika:

— Nie dostaniesz więcej piwa, smarkaczu. Co ty sobie właściwie wyobrażasz? Masz nas za idiotów? Nie dość, że wyciągnęliśmy cię z więzienia, to jeszcze jakieś warunki stawiasz? Mów konkretnie, gdzie jest mapa?

— Spokojnie, spokojnie panowie — usłyszałem piskliwy dyszkancik młodego chłopaka.

Położyłem palec na ustach, dając tym do zrozumienia Bronce i Frankowi, aby milczeli i nie zdradzili naszej obecności. Widocznie Wacek i Brodacz po załatwieniu sprawy w komendzie przyjechali tutaj na obiad.

Teraz wrzasnął Brodacz:

— Wacek, trzymaj mnie, bo jak ja tego szczeniaka złapię za kark, to mu kości połamię. Co on sobie wyobraża? Ukradł nam torbę z mapą, a teraz jeszcze się stawia?

Wacek chyba zmytygował przyjaciela, bo rozmowa odtąd stała się cichsza. Ale gdy już wiedzieliśmy, kto siedział za załomem ściany, całe fragmenty potrafililiśmy wyłowić z lekkiego pogwaru, jaki wypełniał restauracyjną salę.

Mówił Roman:

— Jeżeli panowie będziecie mi grozić, to się ze mną nie dogadacie. Już wczoraj podałem wam swoje warunki. Ja o żadnej torbie ani mapie nic nie wiem. A jak się panom nie podoba moje zachowanie, mogę wrócić do aresztu. Co mi tam! Posiedzę ze dwa dni, a potem mnie odeślą do domu, do Warszawy. Żadnego przestępstwa ani milicja, ani wy, panowie, mi nie udowodnicie. A w cztery oczy, a raczej w sześć oczu to

wam powiem... Nie wiem, kto ukradł tę torbę z mapą. Ale myślę, że mógłbym ją odnaleźć. Nawet z całą pewnością, jakbym się przyłożył, to bym ją odnalazł. Panom bardzo na tym zależy, więc ja to mogę zrobić dla panów, oczywiście nie za „Bóg zapłać”. Panowie przecież pięć kawałków chcieliście dać Czarnemu Frankowi za zwrot mapy.

— Zamierzamy pobić rekord Polski — burknął Brodacz.

— No cóż, mnie to wszystko jedno. Ale rzecz stawiam tak jak wczoraj: dostanę pięć tysięcy i powiem wam, gdzie jest torba z mapą. Panowie tę mapę wezmą, a ja prysnę do Zakopanego. Zgodnie z waszym zobowiązaniem będę nadal na waszym utrzymaniu i nieźle sobie pożyję w Zakopanem za te pieniądze.

— Trzymaj mnie, bo ja tego smarkacza!... — znowu wrzasnął Brodacz.

Wacek i tym razem zdołał go uspokoić.

— Dostaniesz trzy tysiące — rzekł do Romana. — Ale najpierw musimy mieć tę mapę.

— O tak! — zaśmiał się chłopak. — Ja wam dam mapę, a wy mi kopniaka? Nie, panowie, tak się nie bawię. Pieniązki dostanę zaraz i powiem wam, gdzie szukać torby z mapą.

— Ty pieniądze weźmiesz, a my torby nie znajdziemy!...

— Pieniązki dacie mi zaraz. Ja je schowam w kieszeń i pojedę z wami na Bukowiec, gdzie jest ukryta ta torba z mapą. Zgoda?

Wacek miał już zdaje się dosyć kłopotów z mapą.

— Zgoda — rzekł. — Masz tu pieniądze. Nabierzemy benzyny i jedziemy po mapę.

Zaszurały odsuwane krzesła. Obawiałem się, że Brodacz i Wacek nas zobaczą, gdy będą szli do samochodu, ale oni powędrowali do drugiego wyjścia obok podium dla orkiestry.

— Nie darzę tych typów sympatią, ale muszę przyznać, że z Romana jest kawał drania — powiedziałem. — To przecież na pewno on im ukradł torbę.

— Łajdak! — warknął Franek. — Ukradł tę torbę, ale żadnemu z nas o tym nie powiedział. Tylko dlaczego dopiero wczoraj skontaktował się z Krawacikiem?

— Nie domyślasz się? Chciał najpierw ciebie wykończyć w oczach bandy. Kiedy mu się to udało, zaczął działać.

Zapłaciłem kelnerce rachunek i wyszliśmy z restauracji.

Postanowiłem zobaczyć, dokąd pojedzie Wacek Krawacik. Liczyłem, że może jakoś uda mi się zerknąć na tę mapę. W uszach ciągle brzmiały mi słowa: „Ta mapa zwróci nam wszystko z nawiązką”.

Ze stacji benzynowej odjeżdżała właśnie wielka cysterna. W czasie gdy tankuje się paliwo do wielkich zbiorników nie wolno wydawać benzyny i dopiero teraz zaczęto jej sprzedaż. Przy pompie stał czarno-biały wartburg. Wacek Krawacik, Brodacz i Roman wysiedli z wozu i czekali, aż obsługujący stację włoży wąż do baku. Zatrzymałem się tuż za wartburgiem Wacka.

— O, Franek! — Roman pierwszy nas zauważył.

Brodacz i Wacek Krawacik obrzucili mnie podejrzliwymi spojrzeniami.

A Roman, widząc że Franek nie zareagował na zaczepkę, ciągnął dalej:

— E, ty, Franek, kosmonautą się robisz, że taką rakieta pędzisz? Ten pan wziął cię chyba na popychadło do swojego pojazdu. A może do ślubu z Bronką jedziecie tą karetą?

Dałem znak Frankowi, żeby milczał. To podjudziło również Wacka Krawacika.

— Pan szanowny — odezwał się do mnie z uprzejmą ironią — aż do Ławy odważył się wybrać tym straszylłem? A nie obawia się pan, że ono rozleci się po drodze?

Brodacz rzucił jakby od niechcenia:

— Dam wam zagadkę do rozwiązania. Ile dni trzeba jechać, żeby tymi taczkami dostać się na Bukowiec?

— Trzy dni — zachichotał Roman.

— Tak jest — z powagą przytaknął Brodacz. — Trzy dni i trzy noce, często zmieniając konie.

Nawet obsługujący stację benzynową uśmiechnął się pod nosem. A Roman wciąż usiłował dopiec Frankowi:

— Chciałeś tę mapę, Franek? Myślałeś na niej zarobić. Ale na mądrzejszego trafiłeś. Czy wiesz, gdzie była ta mapa? Teraz ci mogę powiedzieć, bo już sprawa nieaktualna. Ona leżała pod twoim nosem. W lisiej jamie, w korzeniach tego suchego drzewa na Bukowcu, gdzie kiedyś mieliśmy swój biwak. To ja i Lisia Skórka zwędziliśmy tę torbę.

— Stul pysk! — wrzasnął na niego Brodacz.

Chłopak umilkł przestraszony. Wacek Krawacik zapłacił za benzynę, wsiedli do wartburga i wolno ruszyli ze stacji. Teraz ja podjechałem pod pompę.

Franek splunął w bok, manifestując w ten sposób swoją pogardę dla Romana.

— Ech, żeby pan miał lepszy wóz — powiedział — pogonilibyśmy ich trochę. Przydałby się im taki kawał: przyjeżdżają, a tu już torby z mapą nie ma. Jeszcze karteczkę można by im zostawić z napisem: adios pomidory.

Ogarnęło mnie drżenie, które zawsze odczuwałem, gdy zapowiadała się nowa przygoda. Rozmyślałem:

„Nie zabiorę im tej mapy, choć to nie ich własność. Ukradli ją człowiekowi, który siedzi w więzieniu. Ale nie znam go i nawet nie wiedziałbym, w jaki sposób mu ją zwrócić... Mam jednak prawo... zerknąć do niej”.

Ile trwało tankowanie paliwa? Najwyżej trzy minuty.

— Trzymajcie się dobrze! — krzyknąłem do Bronki i Franka.

Ze stacji benzynowej wyskoczyłem jak z procy, na najwyższych obrotach silnika. Z piskiem opon wyszedłem z zakrętu ulicy i wpadłem na szosę do Karczmiska.

— On jednak nieźle ciągnie — zauważył Franek.

Wacek Krawacik i Brodacz nie spodziewali się pogoni. Dogałem ich dwa kilometry za Ławą.

I wtedy się zaczęło. Krawacik zobaczył mój wehikuł i zaczął dodawać gazu. Osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt, potem sto kilometrów na godzinę. Wreszcie przycisnął gaz do deski, mój licznik wskazywał sto dwadzieścia kilometrów na godzinę.

Wacek zdał sobie chyba sprawę, że w ten naszej pogoni coś się kryje. A może nie miał tego rodzaju podejrzeń, tylko po prostu żyłka sportowca nie pozwalała mu dać się wyprzedzić przez samochód, który powinien był jechać na Bukowiec „trzy dni i trzy noce, często zmieniając konie”?

Sto dwadzieścia kilometrów na godzinę to było zdaje się wszystko, co potrafił wyciągnąć ze swojego samochodu. Trzy cylindry wartburga dawały z siebie maksymalny wysiłek. Krawacik przycisnął pedał przyspieszacza aż do oporu i jego gaźnik tłoczył tyle benzyny, na ile pozwalała mu jego konstrukcja.

A w moim wehikule? Dwanaście cylindrów, wielkich jak garnki, jeszcze nie osiągnęło nawet połowy swojej mocy, trzy gaźniki dwukanałowe tłoczyły do nich taką ilość benzyny, że pedał gazu zaledwie był przyciśnięty. Przy tej szybkości mogłem dopiero wrzucić czwarty bieg.

Jego silnik już wył na najwyższych obrotach, cała karoseria zapewne leciuteńko dygotała od okropnego wysiłku. A mój wehikuł dopiero zaczynał „czuć się dobrze”, była to jego robocza prędkość, przy której najmniej palił benzyny i najmniej się grzał.

— Boże mój... co pan wyprawia? — jęknął radośnie Czarny Franek, gdy zobaczył jak szybko doganiam Wacka, choć na liczniku strzałka szybkościomierza osiągnęła liczbę sto dwadzieścia.

Bronka powiedziała półgłosem:

— A ja tak źle mówiłam o pana samochodzie...

Rozpierała mnie duma. Czuję się jak ktoś, kto zmuszony do noszenia brzydkiej maski nareszcie może ją zrzucić i ukazać swoje prawdziwe oblicze. Wybaczcie mi tę słabość, ale i ja lubię czasem zaimponować. Czyż nie po to z takim spokojem znosiłem częste drwiny z mego wehikułu, aby przeżyć tę jedyną wspaniałą chwilę: pokazać, jakie możliwości kryje mój brzydki samochód?

— Podobno znasz się na markach samochodów? — powiedziałem do Czarnego Franka. — Czy słyszałeś o ferrari 410?

— No pewnie. To jeden z najszybszych turystyczno-sportowych samochodów produkowanych we Włoszech, na prywatne zamówienie.

Kiwnąłem głową.

— I to jest właśnie ferrari 410.

Usłyszałem tylko westchnienie zachwytu.

Nie mogłem jednak w pełni upoić się triumfem. Nie jechałem przecież, autostradą, tylko wąską asfaltową szosą. Nawet przy stu kilometrach na godzinę kierowca czuje się niepewnie, bo może spowodować wypadek. Po wąskiej szosie chodzą kury, jeżdżą furmanki i motocykliści, na szosę wybiegają dzieci, a nierzadko spotkać można podchmielonego rowerzystę.

Przycisnąłem klakson, dając Wackowi znak, że żądam, aby usunął się z drogi, zamierzałem go bowiem wyprzedzić.

Ale jego wóz nie ustąpił ani na metr. Może Wacek Krawacik jeszcze nie ochłonał ze zdumienia? Może wciąż nie mógł pojąć, że ta pokraka, którą wyśmiewał, nie tylko go dogoniła, ale zamierza wysforować się do przodu?

A sygnał miałem potężny — śpiewny i dźwięczny.

Znowu przycisnąłem klakson, tym razem na dłużej.

— Łajdak! — mruknął Franek, widząc, że wartburg jeszcze zjeżdża na lewą stronę drogi, aby uniemożliwić mi wyprzedzenie.

Pędziłem z przyciśniętym klaksonem, rycząc jak karetka pogotowia jadąca do wypadku. Wacek Krawacik jednak nie ustępował z drogi.

Być może zrozumiał już, że chcemy go wyprzedzić, aby przed nim dopaść Bukowca i zabrać z lisiej jamy torbę z mapą łowisk. Starał się więc nie pozwolić nam na to. Domyślałem się, że jeśli wreszcie ustąpi mi z drogi, zrobi to w takiej odległości od Karczmiska, że nawet osiągając wielką prędkość nie zdołam wiele zyskać na czasie. Przybędzie na Bukowiec najwyżej w dwie lub trzy minuty po mnie. A to za mało, abym zdołał zawładnąć torbą.

Mój sygnał samochodowy grał dźwięcznie jak orkiestra.

— Ustępuje! — wrzasnął radośnie Franek.

Ustępował, jednocześnie zwalniając szybkość.

„To jakaś pułapka” — pomyślałem, i dojrzałem znak ostrzegawczy, że za chwilę wjedziemy w ostry wiraż.

Kto się odważy przebyć ostry zakręt z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę? Chyba tylko samobójca.

Wartburg zwolnił do dziewięćdziesięciu, ale i tak siła odśrodkowa zniosła go na prawą stronę. W ten sposób lewa pozostała na chwilę otwarta i pojąłem, że muszę wykorzystać tę szansę. Nie, nie będę wyprzedzał na zakręcie, lecz zrobię to gdy — jak to się mówi w języku kierowców — zaczniemy wychodzić z wirażu. Wtedy bowiem odciłek szosy przede mną będzie już znowu widoczny.

Zwolniłem do stu i nagle na zakręcie dodałem gazu. Ach ci, którzy tak drwili z kształtu mojego wehikułu, przezywając go „rozkraczoną żabą”! Gdybyż oni go w tej chwili widzieli! Przy tak ogromnej szybkości dzięki temu swojemu rozkraczeniu znakomicie trzymał się szosy i nie dał się z niej wyrzucić sile odśrodkowej.

Tylko jego cztery gumy straszliwie zapiszczały i chyba mocno się naddały.

Przez krótki moment jechaliśmy z Wackiem tuż obok siebie. A potem ja przycisnąłem jeszcze pedał gazu i runąłem do przodu. Sto dwadzieścia, sto trzydzieści, sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Wartburg został w tyle, jakby nie miał silnika, jakby był samochodem-zabawką popychaną do przodu przez pedały.

Wyobrażam sobie, jak oni się czuli: Wacek, Brodacz i Roman, gdy widzieli mnie oddalającego się od nich coraz bardziej i bardziej.

Zdawałem sobie jednak sprawę, że choćbym włączył piąty bieg i zwiększył szybkość do dwustu kilometrów na godzinę, to i tak nie zyskam więcej niż parę minut przewagi. Do Karczmiska pozostało bowiem zaledwie kilka kilometrów asfaltowej szosy. Dalej ciągnęła się wiejska droga, na której będę musiał jechać nie szybciej niż dwadzieścia kilometrów na godzinę.

„Więc trzeba zastosować fortel. Jak pan Zagłoba” — pomyślałem.

I nagle zdjąłem nogę z gazu.

— Dlaczego pan zwalnia? Co się stało? Czy zepsuło się coś? — zmartwił się Czarny Franek.

— Nie obawiaj się, przyjacielu — odparłem uspokajająco. — To była tylko pierwsza lekcja dla tych panów. A teraz nastąpi lekcja druga.

Szosa biegła tutaj lasem, za nami została wieś Sapy, przed nami była wioska Urowo. Mój zwyczaj wkuwania na pamięć mapy okolic, gdzie będę działał, i tym razem zdawał egzamin. Nie musiałem wcale zaglądać do mapy, aby przypomnieć sobie, że lada chwila powinna się pokazać leśna droga w lewo.

Zwolniłem jeszcze bardziej. We wstecznym lusterku znowu dojrzałem wartburga, a i Wacek Krawacik musiał mnie zobaczyć przed sobą. Zapewne uradował się przypuszczając, że może zepsuł mi się silnik albo guma nawaliła.

Skręciłem raptem w lewo na leśną drożynę, po której zacząłem jechać bardzo wolno ze względu na wystające z ziemi grube korzenie. W lusterku widziałem, że wartburg zatrzymał się na szosie i siedzący w nim ludzie obserwowali, jak zagłębiam się w las.

Wiedziałem, że zaniepokoi ich ta decyzja porzucenia asfaltowej szosy. Przewidywałem nawet tok ich rozmowania: „Dlaczego on skręcił w las? Czyżby nie zamierzał jechać na Bukowiec po naszą torbę?... A może on zna krótszą drogę? Najlepiej zrobimy trzymając się jego śladu. Jeśli okaże się, że on jednak nie jedzie na Bukowiec, to najwyżej zawrócimy spokojni o los naszej torby...”

I oto wartburg Wacka Krawacika skręcił na leśną drogę.

— No, dam ja wam szkołę! — mruknąłem.

Droga stawała się coraz uciążliwsza. Już nawet dwudziestką trudno było jechać. Raz po raz trafiały się głębokie, pełne błota wądoły. Z ziemi wyłaziły grube jak ludzkie ramię korzenie sosen i grabów.

Byłem chyba pierwszym na świecie kierowcą, który cieszył się z takiej właśnie drogi. W myślach już obliczałem, ile czasu straci Wacek Krawacik na powrót do asfaltowej szosy. Piętnaście? Dwadzieścia minut? Może nawet pół godziny.

— Nic nie rozumiem — pokręcił głową Czarny Franek. — Przecież mieliśmy jechać na Bukowiec po tę mapę...

Ach, ta moja słabość do triumfów. Czy nigdy już się z tego nie wyleczę? Chwalipięta. Lecz nie mogłem się powstrzymać, aby nie oświadczyć z dumą:

— Nie słyszeliście, że przezywają mnie Panem Samochodzikiem? Mój wehikuł w tej przygodzie odegra niepoślednią rolę. Uważajcie!... — krzyknąłem.

Las skończył się raptownie. Przed nami roztoczyła się niebieska i nieco pomarszczona od wiatru toń. To była Kraga, długa odnoga Jezioraka, wrzynająca się w łąd aż pod Karczmisko, skąd prowadził kanał do Miłomłynna i dalej: aż do Elbląga. Brzeg Kragi schodził w tym miejscu łagodnie do wody otoczonej niskimi, lesistymi wzgórzami. Drugi brzeg leżał od nas nie dalej niż pięćset metrów. Wodą do Bukowca było stąd około dwóch kilometrów.

A łądem? Należało najpierw wrócić po wyboistej drodze do asfaltowej szosy, potem kilka kilometrów do Karczmiska i znowu po wądołach wiejskiej drogi kilkanaście kilometrów do wsi Wieprz. A dopiero stamtąd, po grobli, wjeżdżało się na Bukowiec.

Czy Wacek Krawacik i Brodacz zdawali już sobie sprawę, że zostali wciągnięci w pułapkę?

Jeszcze nie. Podobnie jak Bronka i Czarny Franek również oni nie rozumieli mojego manewru. Albowiem nikt z nich nie miał pojęcia, że mój wehikuł to amfibia.

— I co teraz będzie? — zaniepokoił się Franek, patrząc na Kragę, która zagradzała nam dalszą drogę.

Zatrzymałem wehikuł o kilka metrów od linii wody. We wstecznym lusterku widziałem nadjeżdżającego wartburga. Wacek Krawacik i Brodacz już chyba dojrzeli jezioro i zapewne ogarnęła ich radość, że sam siebie oszukałem. Chciałem skrócić drogę na Bukowiec i nie przewidziałem, że leśną przesiekę zamyka jezioro.

— Zdaje mi się, że oni będą pierwsi na Bukowcu — szepnęła Bronka.

I jakby pragnąc mnie pocieszyć dodała:

— Ale i tak było bardzo klawo. Nigdy nie zapomnę tej szalonej jazdy.

— Tak, to wspaniały samochód — przytaknął ze szczerym podziwem Czarny Franek.

Uśmiechnąłem się pod nosem.

— Trzymajcie się — powiedziałem.

Poczekalem, az wartburg bedzie blisko. Potem wychyilem sie przez okno, zwracajac twarz w strone nadjezdzejacych. Wesolo, jak na wycieczce, pokiwalam ruka Wacowi i Brodaczowi.

Wlaczylem pierwszy bieg, dodalem mocno gazu i jednoczesnie dosc gwaltownie puscilem sprzeglo.

Moj wehikul skoczyl do przodu jak rumak spiety ostroga.

— Och! — jeknela przestraszona Bronka.

Nie, tego sie nigdy nie spodziewali. Wehikul wjechał do jeziora, na moment niemal cala maska znalazla sie pod woda. Lecz jeszcze chwila i oto sruba zaczela pracowac. Wehikul poplynal, z cichym szumem rozbijajac przed soba ton. Struga bialej piany znaczyła naszą droge przez jezioro. Brzeg z leśną przesieka pozostawal w tyle, coraz dalej i dalej...

Widzialem w lusterku, ze wartburg zatrzymal sie o metr od wody. Wskoczyli z niego Wacek Krawacik, Brodacz i Roman. Brodacz cos wołal w moim kierunku, Wacek grozil mi piescia. Potem szybko zawrocili.

— Pan jest wspanialy! — stwierdzila Bronka, ochlonawszy ze zdumienia.

— Takiego cudu jeszcze nie widzialem — powiedzial Czarny Franek. — To przechodzi ludzkie pojecie... Zeby moje chlopaki to widzialy...

— Pan jest wspanialy! — powtorzyla Bronka.

— To nie ja. To moj samochod — odrzeklem skromnie.

Posypalo sie mnostwo pytan. Skad mam taki samochod? Jakie przezyłem z nim przygody?

— Czy na pewno trafisz na miejsce, gdzie mieliście kiedyś swój biwak? — upewnilem sie Czarnego Franka. — Pamietaj, ze bedziemy mieli najwyzej kwadrans przezwagi. Przez ten czas trzeba znalezc torbe, ja musze przyrzec sie mapie, a potem torbe i mapę musimy wlozyc z powrotem do jamy. Potrzebujemy tez troche czasu, zeby sie ulotnic z Bukowca. Nie chialbym, aby mieli pewnośc, ze ja tę mapę ogladalem.

— Kwadrans? Wystarczy piec minut — rzekl Czarny Franek.

Prowadzenie wehikulu po wodzie — nawet przy jego najwiekszej szybkości nie wymaga tyle uwagi, co jazda na szosie. Moglem wiec opowiedziec Bronce i Frankowi historie mego samochodu.

Wspomnialem chwile, gdy niespodziewanie otrzymałem od adwokata wiadomosc, ze moj zmarly wuj Gromilo, znany w rodzinie dziwak i zapalony wynalazca, pozostawil mi w spadku, w Krakowie, garaż murowany i samochod. Widok tego wehikulu, przerażającego w swej brzydocie, tak mną wstrzasnal, ze nawet nie zasiadlszy za kierownica zdecydowalem sie woz sprzedac. Dopiero podczas sprzedazy zdalem sobie sprawe, ze stanowi on polaczenie wspanialego silnika z karoseria domowej roboty. Oczywiscie wehikulu nie sprzedalem i postaralem sie zgledbic jego tajemnice. Wkrotce poznalem historie samochodu, dowiedzialem sie o Wlochu, który jadac do Zakopanego wozem ferrari 410, rozbil sie na niebezpiecznym zakrecie. Moj wuj odkupil wrak rozbitego wozu, w którym nie ulegly zniszczeniu silnik i skrzynia biegow. Dorobil karoserie i tak wlasnie powstal ow dziwolag „skrzyzowanie czolna z taczkami” jak mowili zlosliwi. Samochod byl jednak wspanialy, przezyłem z nim wiele pieknych przygod.

— O przygodach opowiem wam innym razem — zakonczylem.

Przed nami lezala juz wyspa Bukowiec z jej osiedlami domkow kempingowych, przystaniami i osadami namiotow.

Czarny Franek doradził mi, abym dopłynął do wyspy od strony zachodniej, to jest od wielkiej wody Jezioraka.

— Widzi pan to duże suche drzewo pod górką? — wskazał mi ręką kierunek. — Tam właśnie mieliśmy swój biwak.

— Nie będziemy wyjeżdżać na brzeg. Tu pełno turystów i wczasowiczów. Nie chciałbym zwracać uwagi na wehikuł. Niech myślą, że to trochę dziwaczna motorówka. Dobijemy do brzegu i wyskoczymy na płycznę.

U zachodniego brzegu zobaczyliśmy szereg wyciągniętych na brzeg kajaków, na głębszej wodzie cumowało kilka łodzi motorowych i nieduży jachcik. Ostatnio zapanowała moda pływania na tratwach, na przeróżnych pontonach, na dziwacznie skonstruowanych łodziach. Na nikim więc nie zrobił wrażenia widok motorówki z tęym dziobem i reflektorami.

Nie spiesząc się, aby nie zwracać niczyjej uwagi, pomaszerowaliśmy do suchego drzewa. Między korzeniami dostrzegłem dwie dziury, pozostałość po lisiej jamie.

Czarny Franek przyklęknął i wsunął głęboko rękę w pierwszą, a potem w drugą dziurę.

— Nic tu nie ma... — powiedział rozczarowany. — Tylko ten papier.

I podał mi dużą, trochę pomiętą kartkę wyrwaną z notatnika. Na kartce nagryzmo-lone było kolorowym długopisem:

Roman, zabrałem tę torbę. Gdy wyrwiesz się glinom, to szukaj mnie na Płaskim. Lisia Skórka

— Ładna historia! — mruknąłem. — Schowaj tę kartkę do nory, bo Wacek Krawacik pomyśli, że ukradliśmy torbę. I dajemy drapaka, zanim oni przyjadą.

Tak więc los znowu okazał się dla mnie niezycliwy. Miałem wyraźnego pecha.

— Do licha! — mruczałem wracając do wehikułu. — I znowu nic z tego. Ale jedno jest pocieszające: przynajmniej wiemy, gdzie ich szukać. Na Płaskim. Chociaż ty i tak chyba znałeś nową melinę bandy? — zapytałem Czarnego Franka.

Pokręcił głową.

— Nie, proszę pana. Nie miałem pojęcia, gdzie jest ten nowy obóz. Ja przecież ciągle kręciłem się na Bukowcu, żeby odnaleźć mapę. Nawet nocowałem na tej wyspie. Zresztą, jak nie udało się schwytać Kapitana Nemo, Roman zrobił zebranie bandy i wypędzili mnie. A później Roman przeszedł z Lisią Skórką na Bukowiec, żeby dogadać się ostatecznie z Krawacikiem. Ale właśnie tego ranka milicja zrobiła obławę na Bukowcu i zatrzymała mnie, Romana i jeszcze kilku chłopaków. Lisia Skórka zapewne zaszył się w porę w jakąś dziurę i milicja go nie nakryła. A swoją drogą, dlaczego pan tak bardzo interesuje się tą mapą? Co ona zawiera, proszę pana?

Wzruszyłem ramionami.

— Naprawdę nie mam pojęcia. Ale chyba coś w niej jest, skoro tak bardzo zależy na niej Krawacikowi i Brodaczowi. I dlatego chciałbym ją zobaczyć.

Już siedziałem za kierownicą wehikułu, gdy nagle przyszło mi na myśl coś ważnego. Wyjąłem z marynarki swój długopis i powróciłem na pagórek z suchym drzewem.

Po chwili znowu siedziałem za kierownicą.

— Co pan tam robił? — zaciękała się Bronka.

— Z listu wykreśliłem dwa słowa: „na Płaskim”. Trzeba Krawacikowi i Romanowi trochę utrudnić poszukiwania, bo przez to ja będę miał większą szansę.

ROZDZIAŁ SZESNASTY [\[top\]](#)

ZDUMIENIE HARCERZY • UKŁADAMY PLANY ZDOBYCIA MAPY I ROZGROMIENIA BANDY • REKONESANS NA JEZIORO PŁASKIE • HISTORIA CZARNEGO FRANKA • NEMO W TARAPATACH • NA RATUNEK • KIM JEST NEMO • ZASKOCZENIE

Zaparkowałem wehikuł na skraju lasu, pozostawiając w nim Czarnego Franka i Bronkę, a sam poszedłem do obozu harcerskiego, powiadamiając wartowników, że chciałbym zobaczyć się z Tellem. Na szczęście chłopiec był akurat w obozie — w towarzystwie Krogulca i Baški wyszedł mi na spotkanie. Usiedliśmy na trawie tuż za bramą.

Zapytałem ich o przebieg wojny z bandą.

Krogulec skrzywił się, jakbym mu dał do połknięcia gorzką pigułkę. Baška podrapał się po głowie, a Tell westchnął i rzekł:

— Już dwa dni straciliśmy, szukając bandy Czarnego Franka po wszystkich dziurach i kątach. Jakby się w ziemię zapadli. A jednak działają. Leśniczemu z Jerzwałdu skradli blaszaną łódź. Trzymał ją obok leśniczówki, na malutkim jeziorku połączonym kanałem z Jeziorem Płaskim i Jeziorakiem. Nie wiadomo zresztą, czy to na pewno oni... Podpłynęli też do zastawionego na Płaskim żaka należącego do rybaka Plity z Jerzwałdu. Rybak dopiero co zastawił żak, więc ryb w nim nie znaleźli. Ze złości podarli żak i zawlekli go w trzciny.

Krogulec wybuchnął z goryczą:

— Są, działają, szkodzą. A pan w dalszym ciągu uważa, że należy ich za to gaskać po głowie?

Uśmiechnąłem się.

— Zaczynam zmieniać zdanie. Te łobuzy chyba naprawdę przebierają miarę. Ale sądziłem, że gromada dzielnych chłopców — nie mogłem się powstrzymać, żeby nie wpakować im szpilki — już sobie poradziła z bandą. Tak znakomity zwiadowca jak Baška wytropił chyba obóz bandy, a żandarm Krogulec już chwycił herszta.

Tell znowu westchnął.

— Nie możemy znaleźć ich obozu.

— Łatwo sztydzić, ale trudniej złapać Czarnego Franka — dorzucił Krogulec.

Lekceważąco machnąłem ręką.

— Dałem sobie z nim radę bez wielkiego trudu. Może jednak moje metody są lepsze?

— Co pan ma na myśli? — ożywił się Baška.

— Czyżby pan?... — zainteresował się Tell.

— Nie, pan żartuje — burknął Krogulec.

Podniosłem się z trawy i pokazałem wehikuł zaparkowany na skraju lasu.

— Tam siedzi Czarny Franek — powiedziałem skromnie.

Jak jeden mąż rzucili się w kierunku samochodu. Ale ich zatrzymałem w połowie drogi.

— Spokojnie, druhowie — powiedziałem. — Ja wzięłem w niewolę Czarnego Franka, jeśli tak to można nazwać, ja nad nim sąd odbędę i wyznaczę mu rodzaj pokuty. Zresztą, on nie brał udziału w kradzieży łódki i w zniszczeniu żaka. W tym czasie nie było go już w bandzie. Mój wywiad poinformował mnie, że obecnie dowodzi

bandą niejaki Roman, stokroć niebezpieczniejszy od Czarnego Franka. Romana znaleźć można na białym jachcie przycumowanym do wyspy Bukowiec. Jacht ten należy do Wacka, zwanego Krawacikiem, jako że jego mama ma sklep z krawatami w pawilonach na Marszałkowskiej.

— O rany! Pan wszystko wie — zdumiał się Baśka.

Tell z dumą popatrzył na swoich kolegów.

— A mówiłem wam, że Pan Samochodzik to człowiek niezwykły. Trochę mi nie wierzyliście. Twierdziliście, że on unika walki z bandą, bo woli jej nie wchodzić w paradę. No i co? Kto schwytał Czarnego Franka? Kto ma takie dokładne informacje o bandzie?

Krogulec zerknął na mnie z zachwytem, połączonym z odrobiną niedowierzania.

— A może pan wie również, gdzie jest tajny obóz bandy? — zapytał podchwytliwie.

— Dokładnego miejsca nie znam. Ale mogę określić rejon, w którym się znajduje.

— Ale pan nam nie zdradzi tego miejsca? — zapytał Krogulec z nadzieją, że może jednak im powiem.

— Ba, nawet pomogę wam w odnalezieniu obozu i rozgromieniu bandy. Postawię jednak pewne warunki.

Trapił ich i zarazem irytował widok Czarnego Franka, siedzącego w moim wehikule. Mieli ochotę podejść bliżej do wozu, zagadać do chłopaka, może nawet odrobinę się z nim podrażnić. Nie mogło im się pomieścić w głowie, że ten ich nieuchwytny dotąd przeciwnik siedzi w wehikule jako mój przyjaciel.

— W jaki sposób go pan schwytał? — z ponurą miną zagadnął Krogulec. — Czy musiał pan go obezwładnić?

— Wsiadł do wozu potulnie i grzecznie.

— Och, panie Tomaszu! — wyrzekł tylko Tell. Ale w tych słowach brzmiała duma, że okazałem się takim, o jakim opowiadał swym przyjaciółom harcerzom. I trochę zazdrości, że dokonałem tego, czego oni nie potrafili.

— To jedynie sprawa metody — wyjaśniłem skromnie. — Moja metoda perswazji okazała się w tym wypadku bardziej skuteczna niż wasza.

A gdy wreszcie usiedli, z oczami wciąż utkwionymi w wehikuł, zapytałem Tella:

— Nie widziałeś Człowieka z Blizną?

— Nie, panie Tomaszu...

Tym razem ja westchnąłem, bo nie jest przyjemnie upewniać się po raz któryś, że mądre rachuby i przewidywania zupełnie zawiodły.

Opowiedziałem im o Wacku Krawaciku, Brodaczu, Romanie i historii z tajemniczą mapą łowisk. Zrelacjonowałem przygodę na drodze z ławy, zakończoną odnalezieniem kartki napisanej przez Lisią Skórkę.

— Rozwiązanie zagadki mapy łowisk jest dla mnie tak samo ważne, jak dla was uporanie się z bandami chuliganów nad Jeziorkiem. Wy pomożecie mi zerknąć do tej mapy, a ja wam pomogę w poskromieniu bandy.

— Zgoda! — wykrzyknęli niemal jednocześnie. — Zamiast jednej będą dwie przygody. Może ta mapa rzeczywiście zawiera jakąś wielką tajemnicę? Pięć tysięcy złotych chcieli dać za jej zwrot, to naprawdę podejrzane.

Tell zapytał rzeczowo:

— Jakie pan ma dla nas konkretne zadanie?

Odparłem po chwili namysłu:

— Przyjadę po was jutro i wspólnie wyruszymy na Jezioro Płaskie.

Zasalutowali, powiedzieliśmy sobie: „Cześć, czuwaj” i harcerze wrócili do obozu, a ja do wehikułu.

Po chwili płynąłem przez jezioro w kierunku Przylądka Sandacza.

Zbliżał się wieczór — ciepły, bezwietrzny. Jezioro — zazwyczaj tak ruchliwe, jak gdyby żywe — teraz wydawało się martwe. Nawet najdrobniejsza fala nie wybiegała na brzegi. Woda zastygła jak ogromna kałuża gorącego ołowiu, w której promienie skłaniającego się ku zachodowi słońca pozostawiały ślad podobny do stygnącego żaru.

Lecz do nocy było jeszcze daleko. Dlatego postanowiłem choć na chwilę wypłynąć na Jezioro Płaskie i zorientować się, jak ono wygląda. Nie byłem na nim nigdy, znałem je tylko z dokładnej mapy.

Dlaczego nazwano je Płaskim? Czy bywają jeziora niepłaskie, pagórkowate lub pochyłe? Czemu w ogóle potraktowano je jako coś odrębnego, choć łączył je z Jeziorakiem przesmyk szeroki na sto metrów?

Wpływając z Jezioraka na Płaskie, ktoś nie obeznany z mapą, w ogóle by nie zauważył, że znalazł się na innym jeziorze. Ot, Jeziorak raptem zwężył się na krótkim odcinku, podobnie jak tylekroć w pobliżu ławy, a potem znowu rozlewała się ogromna toń, pełna wysp i wysepek. To chyba na którejś z nich znajduje się obozowisko bandy Romana...

— Niech pan uważa, tam są sieci — zwrócił się do mnie Czarny Franek, gdy usiłowałem płynąć wzdłuż wschodniego brzegu. — Porwie je pan albo śrubę straci.

To nie były sieci, tylko ogromny żak. Wbite w płytkie dno gałęzie zaznaczyły jego końce, na wodzie leżało kilkanaście pływaków utrzymujących żak na określonej głębokości.

Ominąłem pułapkę i zawróciłem w stronę przesmyku. A potem posłałem ostatnie spojrzenie na Jezioro Płaskie. W lekkiej szarzyźnie zapadającego wieczoru ze swą nieruchomą, trochę złotawą powierzchnią i kępami drzew na wyspach wyglądało bardzo tajemniczo. Może wrażenie to powodowała jego martwota? Nie widziało się przecież na nim żadnej łódki i żagla, nie słyszało się jazgotu motorówek. Niedostępne, zarośnięte lub bagniste brzegi odstręczały turystów, przez co pozwalały jezioru zachować dziki, pierwotny urok. Wczasowicze z Bukowca lub Siemian rzadko tu zagładali.

„Sprytnie uczyniła banda, sadowiac się w tej okolicy” — pomyślałem wpływając w przesmyk, gdzie na zachodnim brzegu stał samotny dom — gajówka z czerwonej cegły. Od tego miejsca w kierunku północnym, to jest wzdłuż Jeziora Płaskiego, rósł gęsty las, ciągnący się aż do pierwszych zabudowań wsi Jerzwałd. Również na kilkanaście kilometrów w głąb lądu teren pokryty był przepastnym lasem. Całymi godzinami można było po nim kluczyć, nie spotkawszy człowieka, tylko małe, leśne jeziorka. Znakomita kraina dla tych, którzy nie życzyli sobie spotkań z obcymi.

Dobiliśmy do Przylądka Sandacza. Przygotowanie kolacji powierzyliśmy Bronce. A ja z Czarnym Frankiem zabraliśmy się do budowy obozu. Najpierw rozstawiliśmy namiot dla Bronki i nadmuchaliśmy dla niej materac. Miałem w samochodzie jeszcze drugi materac (zawsze śpię na dwóch, żeby od ziemi tak nie ciągnęło), więc ten drugi przeznaczyłem dla Franka. Przydała się także wojskowa peleryna, tak zwana pałatka; z dwóch takich pałatek można zbudować zgrabny namiocik. Franek, wykorzystując pałatkę i płachtę brezentową, którą na dłuższych postojach okrywałem wehikuł, zbudował dla siebie wygodne domostwo.

Zjedliśmy kolację — jajka sadzone na boczku, popiliśmy herbatą. Zanim zupełnie zapadł zmrok, przespacerowałem się po lasku, gdzie miał swój namiocik tajemniczy Ornitolog. Ale znalazłem tylko miejsce po jego obozowisku, zgniecioną trawę i dołki po namiotowych kołkach. Na drzewie pozostał także wyrysowany w korze sosnowej maskaron. „Tajemniczy Ornitolog wyniósł się tajemniczo” — pomyślałem.

Bronka zaraz po kolacji poszła spać do namiotu. Czarny Franek usiłował łowić węgorze. Miał w kieszeni haczyk, żyłkę i spławik, a wędzisko wyciął z leszczyny. Nie schwycił jednak ani jednej ryby, choć próbował aż do nocy.

Nie kładłem się spać. Siedziałem na dość wysokim, trawiastym brzegu jeziora i obserwowałem powolną wędrówkę księżyca, który wylazł zza Czaplego Ostrowa i teraz tkwił nad miejscem, gdzie miał biwak pan Anatol. Księżyc świecił tylko połówką swej tarczy, lecz i tak noc była widna.

Znudzony nieudanym połowem Czarny Franek usiadł obok mnie.

— Czy tak nie jest lepiej? Spokojniej, bezpieczniej? — zapytałem go.

Nic nie odrzekł. Tacy jak on, młodzi ludzie, albo zbyt szybko i gorliwie wyznają swoje winy i przez to nasuwają się podejrzenia, że nie zrozumieli do końca i nie przeżyli zbyt głęboko swych błędów, albo obcęgami trzeba z nich wyciągać wyznania, które ich boją. Przyznam się, że wolę tych drugich, a do nich się chyba zaliczał Czarny Franek.

— Opowiedz mi o sobie — poprosiłem. — Nie pytam przez zwykłą ciekawość. Może będę mógł ci jakoś pomóc?

— Mnie żadna pomoc niepotrzebna. Dam sobie radę. Potrafię się chyba jakoś urządzić — odrzekł.

„Jeszcze się jeży” — pomyślałem. A głośno rzekłem:

— No, dobra. Ale o sobie chyba możesz mi coś powiedzieć? Czy twoje życie to aż taka tajemnica?

Wzruszył ramionami.

— Przecież pan wie, kim jestem. Przezywają mnie Czarny Franek, tak jak pana — Pan Samochodzik. Pan naprawdę pracuje w muzeum?

— Mam ci pokazać legitymację? — roześmiałem się.

— Chciałbym mieć taki samochód, jak pan ma. I w ogóle, wolałbym być w pana skórze niż we własnej.

— Przecież możesz zmienić skórę. Właśnie chciałbym ci w tym pomóc.

— Eee, dam sobie radę — machnął ręką.

— Ile ukończyłeś klas?

— Niewiele, proszę pana. Tylko podstawówkę.

— Nie chciało ci się uczyć — stwierdziłem.

— Wcale nie jestem leniwy — oburzył się. — To z winy ojca. Bo moi rodzice się rozwiedli. Dwie siostry wzięła matka, a mnie ojciec, który się drugi raz ożenił i z tą drugą żoną ma troje dzieci. Tylko on pracował, w domu była bieda, bo ojciec trochę pije. Więc ciągle mi powtarzał, że jak tylko skończę podstawówkę, muszę iść do roboty, żeby mu nie być ciężarem. Najpierw byłem gońcem. Znudziło mi się to i wyjechałem z grupą chłopaków zbierać jagody w Bieszczadach. To była grupka trochę starszych ode mnie chłopaków, też taki gang. Zbieraliśmy jagody przez dwa tygodnie, a potem w „rajzę” po Bieszczadach. Okradaliśmy turystów, no i pan wie. Odsiadywałem poprawczak. Jak z niego wyszedłem, kazali mi się uczyć na ślusarza. Ale to nie dla mnie, nie ciągnie mnie taka robota. Ja wolałbym pracę niebezpieczną albo jakąś taką trudną... Nie potrafię

tego nazwać. No, chciałbym być marynarzem albo iść do milicji. Wszędzie jednak trzeba mieć większą szkołę i, wie pan, nieposzlakowaną opinię. A ja mam za sobą ten poprawczak. Pracowałem potem w stolarni, na budowach, wszędzie po dwa, trzy miesiące. Ale to nie przez lenistwo rzucałem. Po prostu nie ciągnie mnie taka robota i dlatego nie znajdowałem zadowolenia. Czekałem tylko do lata, żeby się urwać z roboty i z chłopakami na wyraj, nad Jeziorak się dostać. Spodobało mi się tutaj...

Urwał. Usłyszeliśmy narastający warkot ślizgacza.

Chłopak drgnął, zerwał się z ziemi, lecz zaraz znowu usiadł. Oto płynął jego wróg, człowiek, który go pokonał w nierównej walce — sam przeciw całej bandzie. Wycie silnika zbliżało się, wydawało się, że ślizgacz jest tuż, tuż, a przecież nie widziało się go jeszcze.

Lecz potem warkot zaczął cichnąć. Narastał spokój wielkiego jeziora, zmałcony tylko kwakaniem kaczorów w trzcinach, nieoczekiwanym pluskiem ryby w wodzie...

— Idziemy spać — zdecydowałem.

Powiedzieliśmy sobie „dobranoc” i rozeszliśmy się. On do swego „domku”, a ja do wehikułu.

Lecz, choć byłem bardzo śpiący, to przecież nie mogłem zasnąć. Moja wyobraźnia pracowała. To właśnie ona w dotychczasowych przygodach odgrywała rolę niepoślednią. Dzięki niej potrafiłem przedstawić sobie sposób myślenia moich wrogów, „wejść w ich skórę” jak to nazywałem, i przewidzieć ich następne poczynania, jak gracz w szachach przewiduje posunięcia swego przeciwnika.

Teraz wyobraźnia przeniosła mnie do nowego obozowiska bandy.

I wtedy zerwałem się z pośłania. Prędko naciągnąłem sweter i spodnie. Zakręciłem starter wehikułu. Już ruszałem, gdy Czarny Franek wskoczył na siedzenie obok mnie.

— Pan płynie na jezioro pilnować żaka — stwierdził.

Jak widać, jego wyobraźnia też pracowała tej nocy.

— Nie popłynę, tylko pojedę — odpowiedziałem. — Usłyszeliby szum motoru i plusk na wodzie. Żak jest w zatoczce przy półwyspie, na którym znajduje się również Przylądek Sandacza. Droga wzdłuż brzegu nas tam zaprowadzi...

Jechaliśmy powoli, bo choć świecił księżyc, brzeg jeziora krył się w cieniu młodego lasu, a blask reflektorów mógł nas zdradzić. W pewnej chwili ciemność stała się tak nieprzenikniona, że Franek musiał wyskoczyć z wozu i nakrywając dłonią zapaloną latarkę elektryczną pilotował mnie wśród pni drzew.

Droga najpierw szła wzdłuż brzegu, potem zataczała lekkie półkole, oddalając się od niego, i znowu podchodziła do jeziora.

— To jest gdzieś tutaj — powiedziałem, rozglądając się po jeziorze.

Wydawało mi się, że widzę zatoczkę, przy której rozstawiono ramiona żaka i zaznaczono wbitymi w dno gałęziami. Teraz, w mroku nocy, niepodobieństwem było odnaleźć je na czarnej toni.

— Fatalny zjazd do wody stwierdziłem. — Wehikuł nie pokona krzaków i trzcin. Musimy wyjść z wozu i znaleźć dogodny zjazd na wypadek, gdyby oni usiłowali dostać się do żaka.

Wyszliśmy z wozu i zrobiliśmy brzegiem chyba ze dwieście metrów. Okazało się, że poprzednio popełniłem omyłkę. Dopiero tutaj otwiera się nowa zatoczka, i to ta z żakiem. Nie, nie widzieliśmy żaka, ale domyśliliśmy się, że musi tam być, ponieważ... w

strudze księżycowego blasku zobaczyliśmy nadpływającą w tym kierunku blaszaną łódkę z chłopakami Romana.

Woda niosła plusk wiosel i ściszone głosy:

— O tam... Bardziej na lewo... Kije z wody wystają... Tam dopływajcie, chłopaki...

Dotknąłem ramienia Czarnego Franka i szepnąłem mu do ucha:

— Pędzimy po wehikuł. Tu jest dobry zjazd. Zaskoczmy ich w chwili, gdy zaczną wyciągać żak z wody.

W tym momencie z pobliskich trzciny rozległ się ryk ślizgacza. Aż skurczyliśmy się, tak nas to zaskoczyło. W jednej chwili ślizgacz znalazł się przy blaszanej łódce. Czarno ubrana postać chwyciła żelazny łańcuch, który zwisał z łódki. Jednocześnie Nemo dodał gazu. Łódką szarpnęło. Chłopcy, którzy w niej siedzieli, zaczęli wyskakiwać jak jabłka z koszyka, którym ktoś mocno potrząsnął.

— Nemo!... Nemo! — rozległy się przerażone wrzaski.

Nie znalazł się ani jeden odważniak, który by pozostał w holowanej przez ślizgacz łódce. Wszyscy salwowali się ucieczką wpław w stronę drugiego bliższego brzegu.

Ale tym razem Nemo popełnił błąd. Zamiast holować łódkę na głębię, zrobił rundę na jeziorze, chcąc pewnie jeszcze bardziej przepłoszyć uciekających chłopaków. Ale zbyt się przy tym zbliżył do zarośli. Ślizgacz wpadł w trzciny, które wkręciły się w śrubę. Motor parsknął raz i drugi, zawył... i umilkł.

Na jeziorze nastała cisza, jedynie fale wywołane przez ślizgacz marszczyły powierzchnię wody ze strugą księżycowego światła, która lekko drgając, przypominała jasną smugę w sierści jakiegoś wielkiego, czarnego potwora.

— Chłopaki... Wracamy! — usłyszałem rozkazujące wołanie Lisiej Skórki. — On uwiąż! Nie ucieknie nam. Teraz go dostaniemy.

Posłusznie zawrócili, kierując się do uwięzionego w trzcinach ślizgacza. Zrozumieli, że Nemo przestał być groźny, że nie poradzi sobie z czterema przeciwnikami.

— Biegnę po wehikuł! — krzyknąłem do Franka.

Lecz Czarny Franek jakby mnie nie słyszał. Bez słowa zrzucił z siebie ubranie i skoczył do wody. Przez sekundę przemknęła mi myśl, że może śpieszy na pomoc swoim dawnym kompanom. Nie było jednak czasu na wątpliwości. Co tchu popędziłem po wehikuł.

A gdy zjechałem nim nad jezioro, oczom moim ukazał się taki widok.

W strudze księżycowego światła widziałem wyraźnie głowy chłopaków z bandy, którzy byli już bardzo blisko ślizgacza. O trzy metry od Nemo znajdował się również Czarny Franek, płynący szybko kraulem. A Kapitan Nemo choć zapewne dobrze zdawał sobie sprawę z groźącego mu niebezpieczeństwa i mógł ratować się ucieczką wpław do brzegu przecież nie uciekał. Stał wyprostowany na ślizgaczu, w potokach księżycowego światła, jakby oczekując, aż chłopaki z bandy podpłyną jeszcze bliżej. A potem zrzucił płaszcz z kapturem i chwycił w ręce spinning.

Kapitan Nemo bez czarnego płaszcza i kaptura. Kapitan Nemo z odkrytą twarzą!

Na ślizgaczu stała drobna, szczupła dziewczyna z długim warkoczem.

Marta.

Na krótki moment chłopaki z bandy znieruchomieli, przestał także płynąć Czarny Franek. Jakby ich sparaliżowała świadomość, kim jest Nemo.

— Tak, to ja jestem Kapitanem Nemo! — zawołała Marta. — To przede mną tyle razy uciekaliście w największym strachu. To ja was tyle razy pokonałam. I teraz też się was nie boję. Zbliżcie się tylko, a mój spinning pójdzie w ruch.

Pomyślałem: „Nemo jak zwykle kocha efekty”. Ale tym razem „go” rozumiałem. Kiedy zobaczył, że będzie musiał ulec przeważającej sile, wołał sam pokazać, kim jest, niż pozwolić, aby z niego zdzierano płaszcz i kaptur. To byłoby zbyt upokarzające.

Czarny Franek krzyknął:

— Nie bój się ich. Ja ci pomogę...

Kilkoma wyrzutami rąk zbliżył się do ślizgacza. Po sekundzie już przelazł przez burtę i stanął obok dziewczyny.

Zapaliłem światła reflektorów, przycisnąłem klakson i zjechałem do wody, kierując się w stronę ślizgacza i łódki.

— Milicja! — wrzasnął ktoś z bandy.

Zapewne wzięli mój wehikuł za milicyjną motorówkę.

I w największym popłochu, nawołując się wzajemnie, zawrócili do brzegu, gdzie oczekiwała ich reszta bandy.

— Dziękuję ci, Franek — powiedziała Marta do chłopaka. — A teraz może będziesz łaskaw oddać mi pierścionelek.

Czarny Franek roześmiał się:

— No pewnie, że ci go zaraz oddam. Ale mam go w ubraniu na brzegu. Najpierw uwolnię śrubę z trzcin.

I wskoczył do wody.

Zatrzymałem wehikuł tuż przy burcie blaszanej łódki. Dziewczyna narzuciła na siebie swój płaszcz z kapturem.

— Skąd się tutaj wzięliście? — zapytała mnie.

— Napotkaliśmy wczoraj ten żak i pomyśleliśmy, że banda spróbuje wybrać z niego ryby.

— To żak mojego ojca — wyjaśniła. — Ojciec bał się, że i jemu go zniszczą jak rybakowi Plicie. Chciał czuwać przy żaku całą noc, ale potem byłby zmęczony i w dzień nie mógłby pracować. Więc ja podjęłam się pilnować.

— Jesteś córką rybaka? — zainteresował się Czarny Franek.

Dalszego ciągu ich rozmowy nie słyszałem, bo odpłynąłem wehikułem w stronę drugiego brzegu. Chciałem zobaczyć, co robi banda. Ale choć płynąłem wolno wzdłuż pasa trzcin, oświetlając ład reflektorami, to nikogo nie zauważyłem. Banda czmychnęła chyba do swego tajnego obozu.

Zawróciłem. Ślizgacz miał już śrubę wolną od trzcin, silnik zapalił bez żadnego trudu, ale Marta nie zamierzała jeszcze wracać do domu.

— Banda chyba nie ma nic do jedzenia — powiedziała. — Gdy nas nie będzie, może znowu zechcą dostać się do żaka? Zaczekajmy tu do świtu.

Podciągnęliśmy ślizgacz i łódkę bliżej lądu. Wyjechałem wehikułem na brzeg. Usiedliśmy na trawie pod drzewami.

Księżyc już zniknął za horyzontem, zrobiło się bardzo ciemno, jak to zazwyczaj bywa na krótko przed świtem.

— I cóż, Kapitanie? — zwróciłem się do Marty. — Czy po tej lekcji zamierzasz dalej prowadzić samotną walkę z bandą? A może jednak warto się zastanowić, czy nie działać w większej gromadzie, z przyjaciółmi?

— Muszę wypędzić stąd tę bandę. Na zawsze. Inaczej nigdy tu nie będzie spokoju — upierała się Marta. A potem szturchnęła w bok Czarnego Franka. — No, oddaj mi pierścionek.

Chłopak wręczył jej go bardzo niechętnie.

— Szkoda, że mi go zabierasz — rzekł. — To byłaby fajna pamiątka po pewnej niezwykłej dziewczynie.

Wzruszyła ramionami.

— Wcale nie jestem niezwykła.

— A twój ślizgacz? To rzucanie spinningiem? To przezwisko Kapitan Nemo? — mówił z zachwytem Czarny Franek.

Lekceważąco machnęła ręką.

— Powiadam ci, że nie ma w tym nic niezwykłego. Mój ojciec jest rybakiem, urodziłam się nad tym jeziorem, nauczyłam się łowić ryby i rzucać spinningiem. Ojciec powiedział, że jeśli po skończeniu szkoły zdam egzamin i będę studiować ichtologię, wujko zrobi mi ślizgacz, a ojciec wyremontował duży motor, który okazyjnie kupił w Olsztynie. A trzeba ci wiedzieć, że mój wujko jest skutnikiem w Ostródzie, a ojciec ma kilka łodzi z różnymi motorami. Zdałam na studia, a gdy ukończę ichtologię, będę rybakiem jak mój ojciec, tylko że wykształconym, prowadzącym gospodarkę rybną na jeziorze. A co do mojego przezwiska, to po prostu moją najulubieńszą książką było *20.000 mil podmorskiej żeglugi* Verne'a. W domu ciągle mówiłam o kapitanie Nemo, aż ojciec przezwiał mnie Kapitanem Nemo. Wykorzystałam to do walki z bandą. Bo przecież zwykłej Marty nikt by się nie bał. A z tajemniczym Kapitanem Nemo to zupełnie inna sprawa.

Nagle dodała tym samym tonem:

— Uwaga! Ktoś jest w krzakach i nas obserwuje...

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY [\[top\]](#)

JAK SCHWYTAŁEM PODSŁUCHUJĄCEGO • NA CZYM POLEGAŁY „NIETAKTY TOWARZYSKIE” • DOBRANA KOMPANIA DZIWNYCH POSTACI • KTO JEST WROGIEM ŚLIZGACZY? • CZYM ZAIMPONOWAĆ MARCIE • MARZENIA • CZY MOŻNA ŁOWIĆ RYBY „NA PUPE” • BUNT PANA KAZIA

Marta miała jakiś szósty zmysł. Długoletnie współzycie z jeziorem i lasem uczyniło ją wrażliwą na każdy niemal szelest. Ale w przeciwieństwie do nieobytego z przyrodą mieszcucha, któremu w lesie każdy szmer lub plusk wody w jeziorze może wydawać się podejrzany, ona nie reagowała zupełnie na pewne rodzaje nocnych odgłosów. Jakby mimo mocnego mroku widziała, że to nie człowiek skrada się po podściółce leśnej, lecz przebiega mysz, że to nie pluszczą wiośła łodzi, lecz ryba rzuciła się w jeziorze.

I teraz, choć nic nie słyszeliśmy, ona wiedziała, że ktoś nas podsłuchuje.

— Prowadźmy dalej rozmowę, jakbyśmy o tym nie mieli pojęcia — szepnęła.

— A ja na chwilę odejdę i spróbuję zająć go z tyłu — odpowiedziałam równie ściszym głosem. Głośno zaś rzekłam:

— Pozwólcie, że popatrzę na drugą zatoczkę. Kto wie, czy banda nie spróbuje od innej strony dostać się do żaka.

To mówiąc podniosłem się z trawy i poszedłem wolno brzegiem jeziora.

Czarny Franek i Kapitan Nemo prowadzili dalej rozmowę, którą mogłem słyszeć nawet z pewnej odległości. Franek pytał Nemo, czy tutejsi rybacy nie potrzebują pomocników i ile taki pomocnik zarabia. Odpowiedzi Nemo już nie dosłyszałem, bo zagłębiłem się w las.

Skradałem się ostrożnie z elektryczną latarką w rękę. Nie chciałem przedwcześnie spłoszyć ukrytego w krzakach człowieka. Należało podejść tak blisko niego, aby schwycić go w promień latarki.

Ale trudno iść bezszelestnie przez młody las, tyle w nim suchych liści, niskich i niewidocznych gałęzi szeleszczących za każdym dotknięciem. Co krok przystawałem i dłuższą chwilę stałem nieruchomo, aby ów ktoś, gdyby usłyszał szelest, sądził, że spowodowało go jakieś leśne stworzenie.

Jeszcze krok i znowu przystanąłem. Znowu krok... i dłuższa przerwa w wędrówce. I znowu krok...

Już byłem blisko miejsca, gdzie Nemo rozmawiał z Czarnym Frankiem. Przykłęknąłem i odtąd posuwałem się tylko na czworakach. Przewędrowałem tak może ze cztery metry, kiedy z prawej strony, najdalej o trzy kroki ode mnie, usłyszałem chrobot gałązki i czyjeś westchnienie.

Zapaliłem latarkę elektryczną i zobaczyłem leżącego na ziemi... Ornitologa.

— Niech pan ją zgasi, do licha! — powiedział, zasłaniając sobie dłonią oczy.

— Witam pana — odrzekłem, gasząc latarkę. — I zapraszam do towarzystwa.

Czuł się chyba bardzo głupio, że go złapałem na gorącym uczynku. Ale nie dał tego po sobie poznać. Wstał z ziemi i wyszedł z lasku z taką niewinną miną, jakbym go spotkał na ławce w jakimś parku.

— To pani jest tym Nemo — stwierdził witając się z Martą.

— A oto Czarny Franek — przedstawiłem chłopaka Ornitologowi.

— To zaś Fałszywy Ornitolog — Marta zaprezentowała go Frankowi.

Radośnie zatarłem ręce.

— Dobrana kompania — oświadczyłem. — Tajemniczy i groźny Kapitan Nemo, Czarny Franek, do niedawna przywódca młodzieżowego gangu. Fałszywy Ornitolog, który kryje się po krzakach i trzeba go z nich wyciągać jak rybę z żaka.

— I tajemniczy dżentelmen zwany Panem Samochodzikiem — uzupełnił wesoło Ornitolog.

— Skąd pan wie, że mnie tak nazywają? — zdziwiłem się.

— O, nawet drzewa szumią o pańskim przydomku — wykręcił się od odpowiedzi.

— A co do tego obserwowania z ukrycia, to po prostu płacę wam pięknym za nadobne. Zdaje mi się, że nie tak dawno schwyciłem was na tym samym.

— Ach, nie bądźmy zbyt drobiazgowi — rzekłem. — Przecież nie będziemy się obrażać o tego rodzaju drobne nietakty towarzyskie.

— Nie jestem skłonny do obrazy — powiedział Ornitolog. — Ale muszę przyznać, że nie jest mi zbyt przyjemnie, gdy ktoś mnie nazywa Fałszywym Ornitologiem. Tłumaczyłem już panu — zwrócił się do mnie z pretensją w głosie — że jednak jestem prawdziwym ornitologiem. Po prostu tylko dla żartu udałem, że nabieram się na opowiadanie o kiwiku.

Wstał. Wrócił w krzaki, skąd nas obserwował. Po chwili zjawił się objuczony gumową tódeczką, w której leżał jego dziwny strój i aparat fotograficzny z ogromną lunetą.

— Jak zwykle przed świtem wybrałem się nad jezioro obserwować budzące się ptactwo. Doszły mych uszu jakieś krzyki, postanowiłem więc najpierw ostrożnie zbadać teren. Dlatego się podkradłem.

— No, ale potem miał pan czas stwierdzić, że to nie rozbójnicy, tylko bardzo porządne towarzystwo siedzi nad jeziorem.

— Owszem — zgodził się. — Ale nie chciałem wam przeszkadzać w rozmowie.

I zachichotał radośnie. Było oczywiste, że buja. Ale również oczywiste wydawało się, że nie wyciągniemy z niego prawdy. Więc już lepiej było obrócić wszystko w żart.

— Mimo wszystko uważam pana za Fałszywego Ornitologa — stwierdził Kapitan Nemo. — I tak będę pana nadal nazywać.

— Może mnie pani uważać za swego wroga — rzekł do Marty Ornitolog. — Albowiem jestem wrogiem wszelkiego rodzaju ślizgaczy i hałaśliwych motorówek na jeziorach. One pływają ptactwo. To zdumiewające, że pani, która tak kocha przyrodę, rozbija się na tej piekielnej maszynie.

Kapitan Nemo kiwnął głową z wielkim uznaniem.

— Przejadł mi się ślizgacz. Chętnie się podporządkuję ustawie zabraniającej używania motorówek na jeziorach. Słyszałam, że wibracje śruby niszczą narybek sandacza. Żeglarstwo to na pewno piękny sport. Ale pożegnaj się ze ślizgaczem dopiero, gdy wypędzimy stąd różnego rodzaju bandy łobuzów.

Świtało. Raptem stwierdziliśmy, że coraz wyraźniej widzimy swoje twarze, a powierzchnia jeziora wygląda jak powleczone czymś perłowym.

— Czas już chyba na spoczynek — ziewnęła Marta. A potem wzięła mnie pod rękę i odprowadziła parę kroków na bok.

— Kapitan Nemo zdradził swoją tajemnicę. A pan? Czy nie pora, abym wreszcie dowiedziała się, po co pan tutaj przyjechał?

— Przepraszam panią, ale tajemnica Nemo sama się wykryła.

— Innymi słowy, ja mam sama wykryć pańską tajemnicę?

Gniewnie potrząsnęła głową i powiedziawszy wszystkim „cześć” wlała do wody. Po kilku minutach jej straszliwie warczący ślizgacz, holując za sobą blaszankę, pomknął w stronę Siemian i Bukowca.

Pozostawiliśmy na brzegu Ornitologa i odjechaliśmy z Frankiem moim wehikułem.

Wspólnie przeżyta wyprawa nastroiła widać Franka do zwierzeń, bo w powrotnej drodze zaczął ze mną rozmowę.

— Chciałbym być na pana miejscu, mieć pana wehikuł, tajemnicę, przeżywać ciekawe przygody. Pan bardzo imponuje Kapitanowi Nemo. Ale ja? Czy ja mógłbym też zwrócić na siebie jej uwagę?

— Przekonałeś się, że jako przywódca gangu nie zaimponowałeś jej — powiedziałem powoli. — Wprawdzie zwróciłeś na siebie jej uwagę, ale tylko na tyle, że postanowiła cię przegnać z jeziora. Możesz mi wierzyć lub nie, ale jej mógłbyś zaimponować naprawdę tylko jednym. Gdybyś nagle stał się zupełnie innym człowiekiem. Zapewne to obudziłoby jej zainteresowanie tobą. Pomyśl, ona przyjedzie tu znowu w przyszłym roku. I kogo napotka? Czarnego Franka, który jest kandydatem na samodzielnie pracującego rybaka, a na razie uczy się tego rzemiosła. Może będziesz miał swoją żaglówkę? Przecież mieszkając i pracując tutaj znajdziesz możliwość zrobienia sobie takiej żaglówki? A kiedyś może zbudujesz dom nad jeziorem i staniesz się rybakiem pełną gębą. Ona tu też wróci, po studiach...

To były głośne marzenia. Może podświadomie wyrażałem swoją własną tęsknotę, aby mieszkać nad mazurskim jeziorem, żyć tutaj, pracować?

Czarny Franek milczał. Czuję, że moje słowa głęboko w niego zapadły. Należał chyba do tej kategorii młodych chłopców, którzy wstydzą się tego, że poddają się magii marzeń. Wydaje im się to mało męskie. A przecież prawdziwy mężczyzna powinien umieć marzyć. Oczywiście nie ograniczać się tylko do marzeń, ale i przeistaczać je w czyn.

W milczeniu, bez słowa rozstaliśmy się. On poszedł do namiotu, ja pozostałem w wehikule. Był już dzień, lecz jego światło nie przeszkadzało mi wcale w mocnym śnie.

I bylibyśmy chyba spali do południa, gdyby nie Bronka. Ona nie miała pojęcia o naszych nocnych przygodach. Wstała o ósmej, wykąpała się w jeziorze i potem leżąc na słońcu, czekała aż się obudzimy. Wreszcie, zgłodniała, zabrała się do przyrządzania śniadania, a zniecierpliwiona naszym snem zrobiła nam pobudkę. Obudziliśmy się niewyspani, w złych humorach, które zniknęły dopiero po śniadaniu. Opowiedziałem Bronce o nocnych przeżyciach i oczywiście wysłuchać musiałem jej ogromnych pretensji, że nie zabraliśmy jej ze sobą.

— A ty wiesz, Bronka, kim się okazał Kapitan Nemo? Nie, nigdy tego sama nie zgadniesz — kręcił głową Czarny Franek.

— Ach, Nemo — westchnęła Bronka. — Chciałabym go jeszcze kiedyś zobaczyć...

— Ona się w nim podkochuje — parsknął śmiechem Franek.

Bronka obraziła się. Tym bardziej że i ja także świetnie bawiłem się jej kosztem.

I byłaby z tej błahej przyczyny wywiązała się kłótnia, lecz oto usłyszeliśmy warkot motoru i na jeziorze ukazała się łódź z płynącą do nas Martą.

— O wilku mowa... — zacząłem.

Ugryzłem się w język, ponieważ Bronka powiedziała, robiąc nadąsaną minę:

— Po co ona tu płynie? Nie lubię tej dziewczyny. Nastawiła przeciw mnie pana Tomasza. I w ogóle uważa, że nie warto nawet ze mną rozmawiać.

Czarny Franek położył Bronce dłoń na ramieniu i powiedział:

— Nie zwracaj sobie głowy Kapitanem Nemo. Oto płynie on we własnej osobie.

Bronka zaniemówiła.

— Ona?... — wyjąkała wreszcie.

— Ona — kiwnął głową.

A tymczasem Kapitan Nemo dobił łodzią do piaszczystego cypla i wygasił silnik.

— Witam was! — zawołała Marta wesóło. — No, co dziś robimy? Będziemy łowić ryby?

— Powinienem chyba popłynąć do obozu harcerskiego... — rzekłem z wahaniem.

— Ta mapa łowisk...

Popatrzyłem na bezchmurne niebo, na niemal szmaragdową toń jeziora, na bladą od słońca zielen trzcin. I trochę mi żal się zrobiło marnować tak wspaniałą pogodę. Czy nie lepiej jednak to skwarne popołudnie spędzić z wędką w ręku?

— A co ze skradzioną łódką? — spytałem Martę.

— Już zawiadomiono leśniczego. Zgłosi się po nią do mojego ojca.

Zza trzcin wyłoniła się łódka z rycerzami spinningu. Jeszcze nie dopłynęli do Przyłodka Sandacza, a już słyszałem gderliwy głos pana Anatola:

— Pan tutaj się przeniósł? Cwaniak z pana. Bliżej rybek, co? Bliżej sandaczyków, prawda?

Dobili do cypla, wysiedli. Pan Anatol od razu pomaszerował do Marty i wycelował w nią wskazującym palcem.

— Na co dziś łowimy, proszę pani? — zapytał groźnie.

Marta dygnęła grzecznie i odpowiedziała z powagą:

— Dziś łowimy, proszę pana, na hokus-pokus.

Pan Anatol zamrugnął powiekami. Lecz chyba postanowił, że tym razem nie da się nabrać. Przedtem też mu powiedziała, że będzie łowić na zakłęcia i złapała wielkiego okonia. Więc pan Anatol tylko pokiwał głową i rzekł zarożumiałym tonem:

— Wiem, co pani myśli. Hokus-pokus? Słyszałem o czymś takim. Bierze się kawałek czerwonego plastyku i moczy w rybiej krwi, a potem zakłada na haczyk jak żywą przynętę.

— A czy „na pupę” pan już łowił?

— Co? — oburzył się pan Anatol. — Pani drwi ze starszego człowieka?

Marta spojrzała na niego z lekceważeniem.

— To dobrze, że pan nie łowił „na pupę”. Bo to niedozwolona metoda.

Pan Anatol odwołał się do mojej osoby:

— Pan nie reaguje, gdy młodzież zachowuje się w ten sposób? To jest obraza.

— Pan nie ma pojęcia o rybaczeniu — stwierdziła oschle Marta. — Każdy rybak wie, że łowienie „na pupę” wygląda następująco: przywiązuje się haczyk z rosówką i żyłką do kawałka białego polistyrenu i swobodnie puszcza na wodę. Ale to niedozwolone — podkreśliła. — Tak łowią kłusownicy, a nie sportowcy.

I wykręciwszy się na pięcie dziewczyna poszła do swojej łódki, a za nią pobiegł, zataczając się ze śmiechu, Czarny Franek. Marta zaczęła wyjmować z łodzi wędziska, dla każdego z nas po jednym.

W tym momencie aż zadrżałem. Oto po raz pierwszy usłyszałem głos pana Kazia, który zawsze żył w cieniu swego przyjaciela, przygłuszony przez niego całkowicie. Pan Kazio powiedział cichutko i nieśmiało:

— Nie masz się o co obrażać, Anatolu. Ja także słyszałem o metodzie „na pupę”.

— Cicho! — tupnął nogą pan Anatol. — Cicho, Kaziu! Jesteś tylko początkującym wędkarzem i nie zapominaj o tym, bo więcej już z tobą nie będę łapać ryb.

Ale tego dnia w panu Kaziu obudził się buntownik.

— Nie, to nie. Pójdę łowić z tą panienką!

I zarzuciwszy na ramię wędzisko takim gestem, jakby to był karabin, a on szedł w gorący bój, pan Kazio zbliżył się do Marty i grzecznie zapytał, czy weźmie go ze sobą na połów.

Pan Anatol łypnął straszliwie oczami, gniew nim miotał.

— A więc to taaaaaak? — mruknął zjadliwie. — Ja już wszystko rozumiem. Ta-aaaaak...

Gniew jego spadł na moją głowę.

— Pan mnie uważa za głupca, co? Pan myśli, że ja nie mam oczu i nie widzę, co się tu dzieje? Pan jest bardzo podejrzanym człowiekiem. Pan w swym obozie ukrywa dziewczynę z młodzieżowej bandy. A kim jest ten chłopak? Myśli pan, że nie poznaję w nim Czarnego Franka, przywódcy bandy rzezimieszków? Mogłem przemilczeć tę sprawę, przymknąć na nią oczy. Ale teraz, pan wybaczy, muszę zawiadomić milicję.

I pan Anatol pomaszerował do swojej łódki.

— O Boże, jak ja się dostanę na drugi brzeg? — zmartwił się pan Kazio. — On gotów odpłynąć beze mnie.

Przyszła mu z pomocą Marta, której bunt pana Kazia sprawił wielką satysfakcję.

— Dostarczę pana na biwak swoją łódką — obiecała.

Pan Anatol urażony do głębi duszy, nie oglądając się na przyjaciela, odbił od brzegu. Widziałem, że skierował się w stronę Siemian, aby zapewne zrealizować swoją groźbę i poinformować milicję o pobycie u mnie Czarnego Franka. Współczułem mu trochę. Do Siemian było kawał drogi jeziorem, biedak porządnie się napracuje wiosłami w letnim skwarze. A jeszcze bardziej go rozgniewa wiadomość, że Czarny Franek znajduje się pod moją opieką za zgodą milicji.

Marta, Bronka, Czarny Franek i pan Kazio przyszykowali sprzęt wędkarski. Za radą Marty postanowili pomaszerować nad Zatokę Krasnopiór. Ktoś jednak musiał przecież pozostać na straży obozowiska. Podjąłem się tego zadania bardzo chętnie. Tymczasem na jeziorze pokazał się kajak, w którym siedział Tell, z daleka machając ku mnie ręką na znak, że ma mi coś ważnego do zakomunikowania.

Zaczekaliśmy więc wszyscy na jego przyplnięcie. A Tell tak się spieszył, że aż zarył głęboko dziobem kajaka w piaszczysty cypel.

— Poddali się! — zawołał radośnie. — Chłopcy wyłapali prawie całą bandę. Próbowali włamać się do naszego magazynu z żywnością.

— Czy jest wśród nich Lisia Skórka? — zapytałem z napięciem.

— Niestety, panie Tomaszu. Lisia Skórka i jeszcze dwóch chłopaków uciekło gdzieś nad jezioro.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY [\[top\]](#)

ZWYCIĘŻENI PROSZĄ O ŁASKĘ • JAK POKONAĆ BANDĘ • WYPRAWA
ODKRYWCZA • OGNISKO NA BINDUDZE • ZDRADA ROMANA • KONIEC BANDY •
POWRÓT ZWYCIĘZCÓW

W obozie harcerskim zjawiłem się w porze obiadu. Przyplnąłem tam swoim wehikułem zaraz po tym, jak Tell nas zawiadomił o rozbiciu bandy.

Członkowie bandy sprawiali nader żalosne wrażenie. Byli obszarpani, wygłodniali i nawet brudni, choć dookoła nie brakowało wody. Mówili, że już od dwóch dni nie mieli w ustach nic gorącego. W ciągu dnia bali się bowiem wychylić nosa ze swego obozowiska mieszczącego się na jednej z bagnistych kęp Jeziora Płaskiego. W nocy zaś nic im się nie udawało ukraść do jedzenia, bo zarówno miejscowi gospodarze, jak i turyści wiedzieli już o istnieniu bandy i bardzo pilnowali swego dobytku. W jednym żaku ryb nie znaleźli, a obrabować drugiego nie pozwolił im tajemniczy Nemo. Ukradli z pola trochę ziemniaków, ale bali się rozpalić ogień. Żyli w ciągłym strachu, że odkryje ich albo milicja, albo harcerze, albo groźny Kapitan Nemo. Próbowali zaspokajać głód jagodami leśnymi, surową marchwią kradzioną na polach, ale młode żołądki trudno oszukać surowizną. Próba włamania się do magazynu harcerskiego była aktem ostatecznej rozpaczy.

Druhowie zaprosili ich teraz do stołu, kucharz obozowy nie pożałował im zupy i ziemniaków z mięsem. Harcerze zgodzili się uszczuplić swoje porcje, byle tylko ci głodni i wynędzniali zostali nakarmieni.

Obserwowałem scenę obiadu; przy jednym stole siedziało siedmioro głodomorów, jedzących chciwie i żarłocznie, a przy pozostałych kilku stołach — długie rzędy umundurowanych, schludnie wyglądających chłopców i dziewcząt. Obiad, zazwyczaj tak pełen pogwaru rozmów, teraz upływał w zupełnym milczeniu. Widok wynędzniałych postaci był tak smutny, że gasił weselsze rozmowy, żarty czy docinki. Wszyscy zresztą wiedzieli, że cała historia musi mieć swój dalszy ciąg zupełnie gdzie indziej. Albowiem sprawiedliwości powinno stać się zadość i tych siedmioro młodych ludzi odpowiadać będzie za zabicie owcy na wyspie, kradzież łódki, zniszczenie żaka oraz wiele innych wykroczeń, których w tak krótkim czasie zdążyli dokonać.

W lesie, na drodze do Siemian, zauważyłem auto milicyjne, a w namiocie harcmistrza Gąsiorowskiego zastałem porucznika milicji, tego samego, z którym zetknąłem się w ławie.

— Jak sprawuje się Czarny Franek? — zapytał mnie z niepokojem.

— Wydaje mi się, że nie będzie z nim już więcej żadnych kłopotów — odrzekłem z głęboką wiarą.

— To bardzo dobrze — ucieszył się. — Ale, niestety, sprawa bandy jeszcze istnieje. I właśnie o tym chciałbym porozmawiać, ustalić plan wspólnego działania.

— A czy i ja mógłbym być pomocny? — zapytałem.

— Naturalnie. Jest pan przecież ormowcem i wchodzi to w zakres pana obowiązków. Sprawa ta nie będzie łatwa. Trzech chłopaków z bandy kryje się w tej okolicy. Linia brzegów jeziora ma chyba więcej niż sto kilometrów, jest tu niezliczona ilość tak świetnych miejsc na kryjówkę, tyle zakamarków, uroczysk, mateczników, że i batalion żołnierzy nie zdołałby odnaleźć chłopaków. Czy to jednak znaczy, że nie potrafilibyśmy ich ująć? Oświadczam panom, że nie minęłoby kilkanaście godzin, a oni już znajdowaliby się w naszych radiowozach. Wystarczyłoby zawezwać oddział milicji i kilka tresowanych psów. Lecz my tego nie zrobimy. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta: takie środki stosujemy wobec morderców, bandytów, włamywaczy. A tu mamy do czynienia z grupką łobuzów i małych złodziejasków w wieku szesnastu lat. Nie będziemy więc brali przeciw nim ani psów, ani robili obławy milicyjnej po lasach. Nasz plan jest następujący, wysłamy w teren więcej patroli. A wczasowicze, harcerze, turyści, społeczność żyjąca nad jeziorem, której przecież najbardziej dokuczyła banda Romana, niech zawiadomią nas, gdy opuszczą oni swoją kryjówkę, aby ukraść coś do jedzenia. Chcemy, aby ci dopiero początkujący przestępcy już u progu swej kryminalnej „kariery” zrozumieli, że mają przeciwko sobie całe społeczeństwo.

Podobały mi się jego poglądy.

— Postanowiłem wraz z grupką młodych ludzi spenetrować Jezioro Płaskie — powiedziałem. — Może trafimy tam na ślady bandy. Wydaje mi się, że sprawy tej nie należy odwlekać. Sytuacja, w jakiej się ci chłopcy znaleźli, może ich doprowadzić do jakiejś grubszej awantury, kolejnego przestępstwa. Moi przyjaciele: Tell, Krogulec i chłopiec z przydomkiem Baśka prosili mnie, abym się za nimi wstawił u druha harcmistrza. Chcą wziąć udział w tej wyprawie. To już duzi chłopcy, a ja zaręczam, że nie dopuszczę do żadnych przykrych historii.

— Tell, Krogulec i Baśka to poważni chłopcy — odrzekł harcmistrz. — Tylko proszę, aby na noc wrócili do obozu.

— Tak jest — obiecałem.

W kilkanaście minut później Tell siedział już w moim wehikule, który płynął w stronę Przylądka Sandacza. Za nami podążał harcerski kajak, a w nim Krogulec i Baśka.

O siedemnastej zero zero, jak napisałby każdy harcerz w swym meldunku, byliśmy gotowi.

Czarny Franek, który pomagał nam w przygotowaniach, kręcił się stale koło mnie, wydawało się, że chce mi coś ważnego powiedzieć. Wreszcie nie wytrzymał:

— Czy... — zająkał się — czy to będzie zdrada, jeśli ja... wycofam się?

— No, tak — burknął ironicznie Krogulec.

Franek błagalnie spojrzał na Martę.

— Zrozumcie — szepnął. — Ja tak nie mogę... To są moi koledzy... To ja tę bandę zorganizowałem...

Rozumiałem go. Może nawet w tym momencie poczułem do niego coś w rodzaju szacunku.

— Oczywiście, masz rację, Franek. I ja tak myślałem. Ty i Bronka musicie zostać, żeby przypilnować obozu.

Franek i Bronka z wyraźną ulgą przyjęli to polecenie. Ruszyliśmy. Mój wehikul holował kajak i łódkę Kapitana Nemo, silnik wehikulu pracował bowiem najciszej, a zależało nam na tym, aby nie hałasować. Dowiedziałem się uprzednio, że połów w zatoczce przyniósł kilkanaście dużych krasnopiór. Pan Kazio również złapał aż osiem ryb, co go wprawiło w taki stan radości, że śpiewał głośno, gdy go Marta przewiozła na drugi brzeg. Podobno pan Anatol bardzo wzgardliwie odniósł się do sukcesów rybackich przyjaciela, ale pan Kazio już się zupełnie tym nie przejmował. Zaraz zresztą zaczęli likwidować swoje obozowisko. Ciekawiło mnie, dlaczego i dokąd tak nagle się przynoszą. Tajemnica tej decyzji sama się wyjaśniła.

W przesmyku zobaczyliśmy zakotwiczony biały jacht Wacka Krawacika. A na prawym brzegu, w tym miejscu, gdzie ongiś dobijał prom, budowali nowy obóz pan Anatol, Kazio i ich małżonki.

— Będą mieszkali blisko Krawacika i wspólnie chyba zaczną łowić ryby — stwierdziła Marta.

Domyślałem się, że pan Anatol, płynąc na Bukowiec, aby zawiadomić milicję o pobycie u mnie Czarnego Franka, spotkał Wacka Krawacika, który mu wyklarował bezpodstawność jego skargi. Być może wspólnie ponarzekali na mnie i to ich zbliżyło. A potem Wacek Krawacik okazał panu Anatolowi swą łaskawość i zezwolił mu na łowienie ryb pod swoim nadzorem.

Spoza zakrętu ukazała się zielona, zwarta kępa drzew — pierwsza wyspa dużego archipelagu na Jeziorze Płaskim.

Skierowałem flotyllę ku brzegom wyspy położonej najbardziej na lewo, zadrzewionej i wyglądającej na niedostępną. Doświadczenie bowiem nauczyło mnie, że wnętrza takich wysp miały zazwyczaj suchy, twardy grunt.

Skrawek ziemi otoczonej wodą powoli wynurzał się z toni jeziora. Tell nie odejmował lornetki od oczu, szukając na brzegach, w cieniu zarośli i drzew — sylwetek ludzkich. Sąsiednia wyspa też już znajdowała się coraz bliżej, obydwie dzielił od siebie dość szeroki przesmyk z tu i ówdzie sterczącymi kępami trzciny. Marta kiwała ku mnie z

łódki ręką, dając mi do zrozumienia, że powinienem wpłynąć w ów przesmyk, gdzie z drugiej strony znajdę dogodniejszą przystań.

W przesmyku łatwo już było zresztą zorientować się co do charakteru obydwu wysp. Ta na prawo okazała się dość duża, z ogromną łysą polaną pośrodku. Ta na lewo — mniejsza — wydawała się ładniejsza i bardziej dzika, choć i ona miała słoneczną polanę, gdzie z rzadka rosły młode sosny.

Zatoka za wyspami wrzynała się w łódź płytko, brzegi robiły wrażenie bardzo bagnistych. Dopiero o jakieś kilkanaście metrów od wody otaczała jezioro zwarta ściana wielkiego kompleksu leśnego.

Z jeziora poderwało się w górę kilkanaście dzikich kaczek, spoza trzciny wyłonił się biały łabędź, ale zobaczywszy nas, majestatycznie odpłynął nieco dalej.

W przybrzeżnych trzcinach odkryliśmy znakomitą przystań. Były to resztki dawnego pomostu rybackiego, który zapadł się w wodę. Przycumowałem do niego wehikuł i po omszałych belkach weszliśmy na łódź.

Zagrodziła nam drogę gęstwina bujnych pokrzyw, na kikucie złamanej przez wiatr topoli siedział wielki czarny kruk i obserwował nas przekrzywiwszy łeb. Tell gwizdnął i ptak odleciał w milczeniu jak duch. Za pasmem wysokich pokrzyw rozciągała się wysychająca na słońcu łąka. Biegło przez nią kilka ścieżek. Stwierdziliśmy, że ścieżka okrąża również wokół całej wyspy. Kręciła się między pniami starych lip obsypanych kwiatami i szemrzących od pszczoł. Na wschodnim brzegu wyspy jedno z drzew złamał wiatr i przechylił jego koronę aż do wody. Lecz drzewo nie umarło, nie uschło. Korona zieleniała nad powierzchnią wody, z wygiętego jak pałak pnia strzelały w górę zielone gałęzie. Wąziutka ścieżyna wchodziła pod pałak grubego pnia jak w naturalną bramę i uciekała dalej, klucząc między drzewami.

— To owce ją zrobiły! — zawołał Baśka, przyglądając się śladom na ścieżce. — Tu całe lato pasie się stadko owiec, tylko teraz schowały się gdzieś w krzakach. Uwięzione na wyspie biegają wzdłuż linii jej brzegów.

Nagle zobaczyliśmy, że po drugiej stronie zatoki, z chaszczki na brzegu snuje się ku górze pasemko dymu z ogniska.

— No, nareszcie... — mruknął Krogulec. I twarz jego nabrała drapieżnego wyrazu.

— Tam znajduje się binduga — wyjaśniła Marta. — To jest takie miejsce, gdzie drwale zwożą zrąbane pnie drzew i potem robią z nich tratwy.

— Więc może to drwale palą ognisko?

— O tej porze? O zmierzchu? Zresztą od dwóch lat w pobliżu nic się nie wyrąbuje — stwierdziła Marta.

Jak zahipnotyzowani patrzyliśmy na siwe pasemko dymu, coraz słabiej widoczne na tle wieczornego nieba. Musieliśmy przekonać się, kto siedzi w chaszczkach przy ognisku.

Miejsce, z którego unosił się dym ogniska, odgradzała od naszej strony nie tylko zatoka jeziora, ale również pasmo trzciny, bagien, a dalej krzaków wikliny. Flotyła nasza bez trudu mogła pokonać zatoczkę, ale jak przedrzeć się przez bagno? Znałem takie tereny. Z daleka wyglądały dość zachęcająco, lecz z bliska okazywały się niezliczoną ilością małych kęp porośniętych sitowiem. Wystarczyło stanąć na kępę, aby pod ciężarem człowieka zapadła się bardzo głęboko.

— Musimy dobić od drugiej strony. Binduga rozciąga się aż do wody, a leży na twardym gruncie — doradzała Marta. — Tylko że być może od tamtej strony banda wystawiła strażnika.

Nie pozostało nam nic innego, jak zaryzykować. Flotylla przepłynęła zatoczkę i pokierowała się wzdłuż bagniska. Przekonaliśmy się, że okala ona niezbyt długi półwysep, który kończył się przesmykiem. Za nim znajdowała się duża kępa z drzewami, stanowiąca jakby przedłużenie półwyspu. Z lotu ptaka półwysep miał zapewne kształt litery „i”, a kępa stanowiła jakby kropkę nad „i”.

Płynęliśmy cicho, starając się robić jak najmniej plusku. Lecz i tak ogromne czaple zrywały się z bagna, a ich niepokój mógł zwrócić uwagę strażnika.

Przebyliśmy przesmyk i — na znowu szerokiej powierzchni jeziora — wyrosła przed nami mała, zielona wyspa. Jeszcze dalej był ogromny półwysep, gdzie czerwieniły się ceglane domy Jerzwałdu.

Bagno i trzciny urywały się nagle. Suchy, piaszczysty brzeg schodził stromo do wody. Zobaczyliśmy leżące w poprzek ogromne bale, po których ścięte pnie staczano w wodę. Z jeziora sterczały obite blachą pale, to do nich przywiązywano gotowe już tratwy.

Teren bindugi z rzadka porastały krzaki; ukryty w nich strażnik mógł świetnie obserwować każdą łódź czy kajak zbliżający się w tym kierunku. Nie wypłynęliśmy więc na otwartą przestrzeń. Flotylla wjechała w trzciny. Wskoczyliśmy do wody i brodząc w niej wyżej kolan wydostaliśmy się na twarde łąd.

W krzakach zrobiliśmy naradę.

— Kto umie się dobrze skradać? Tylko proszę mówić prawdę. Od tego wszystko zależy — powiedziałem szeptem.

Wyszło na to, że wszyscy uważali się za mistrzów w tej dziedzinie.

— Ktoś musi pilnować wehikułu, łódki i kajaka — tłumaczyłem cicho. — Zostań ty, Baśka, i gdyby banda usiłowała dostać się do ciebie, przyciśnij klakson, rozumiesz?

Dym przestał się wzbijać w niebo. Może ognisko podsycono suchymi gałęziami? A może to pogłębiający się wciąż zmierzch okrywał wszystko jednakowo czarną oponą?

— Pamiętajcie — upomniałem chłopaków i Martę. — Podchodzimy do ogniska tylko na odległość, która pozwoli stwierdzić, kto przy nim zasiada. Jeśli zauważymy, że obozuje tam banda, natychmiast robimy odwrót. Potem płyniemy do Jerzwałdu, gdzie jak wynika z mapy, jest poczta i telefon. Dzwonimy po milicję i na tym kończy się nasze zadanie. W żadnym razie nie wolno nam wdawać się w bójkę. Jeśli nas dostrzegą, dajemy drapaką do naszych statków.

Przygięci do ziemi, niemal na czworakach, weszliśmy w gęstwinę krzaków.

Prowadziłem zwiad skrajem lasu i bindugi. Jeśli banda wystawiła strażnika, to zapewne znajdował się od nas bardziej na prawo, skąd mógł obserwować jezioro. Tu, na styku lasu i bindugi, nie należało się spodziewać nikogo z bandy.

Wieczór snuł się między krzakami, na zachodniej stronie niebo miało barwę amarantu. Ożywiły się komary i bzyząc napastowały nasze twarze, ręce. W gałęziach krzaków drobne ptactwo szukało już schronienia; wystraszone przez nas wyfruwało z głośnym szelestem liści i łopotem skrzydeł.

Do naszych nozdrzy doszedł najpierw zapach dymu, a potem smakowita woń pieczonych ziemniaków. Zwiększyliśmy czujność. Im dalej od brzegu, tym więcej było suchego mchu i porostów z głośnym chrzęstem rozsypujących się pod naszymi nogami. Z

każdą chwilą wzrastało niebezpieczeństwo, że zostaniemy odkryci. I raptem tuż zza parawanu krzaków doszły nas głosy:

— Roman będzie się gniewał, że rozpaliliśmy ognisko. Gliny tylko na to czekają...

— A co? Mieliśmy skonać z głodu? On chyba już wziął forszę, kupił chleba i kiełbasy w Siemianach. Najadł się i nie spieszy mu się, żeby nam coś przynieść.

— Dobrze te ziemniaki. Najlepsze są trochę spieczone. Chcesz tego z największego żaru?

— Napiłbym się piwa. Jak myślisz, Roman przyniesie kilka butelek?

— Jeśli dostał forszę... A jeśli nie?

— Powinniśmy stąd wywiać. Najlepiej autostopem do Giżycka. Tam jest życie. Kupa znajomych chłopaków, dużo turystów. Tu już nas zważali.

— Zeszłego lata żyło się łatwiej. A w tym roku wtrącił się ten Kapitan Nemo. To on jest winien naszym kłopotom. Gdy u promu dostaliśmy od niego list, a później zobaczyłem jego ślizgacz, od razu miałem przeczucie, że będzie nieklawo.

— Nemo to przecież dziewczyna. Ta sama, której Czarny Franek zabrał pierścionek. Przed dziewczyną będziemy stąd uciekać? Cała Ochota nas wyśmiej...

— Widziałeś, jak ona rzuca spinningiem? I ten jej ślizgacz...

— Motor ślizgacza można zepsuć.

Za naszymi plecami rozległ się tupot spiesznych kroków i głośny szelest liści. Ktoś biegł tutaj nie kryjąc się. Biegł wprost na nas.

— Padnij! — szepnąłem.

Skryliśmy się pod krzakami, wcisnęliśmy się pod gałęzie. Tupot kroków zbliżał się, już był tuż za mną, już koło mnie. Poznałem Lisią Skórkę.

— Kto tam? Kto tam? — usłyszeliśmy głosy chłopaków z bandy.

Lisia Skórka przedarł się przez krzaki.

— Wy tutaj... — nie mógł z siebie wydobyć głosu — siedzicie spokojnie... a tam... Roman... ucieka z forszą... Zostawił nas, zdradził...

Gęstwina liści i gałęzi zasłaniała mi widok. Lecz przecież łatwo było domyśleć się sceny przy ognisku.

— Mów! Mów wszystko! Co widziałeś? — przekrzykiwali się. Zaniósłem tę mapę Romanowi i byłem przy tym, jak Wacek Krawacik dał mu za nią trzy tysiące złotych. Myślałem, że kupimy coś do jedzenia w sklepie i wrócimy do was. Ale Roman powiedział: „A teraz zwiewaj, chłopcze”. Przypomniałem o was. „Chcesz się z nimi zobaczyć? — zaśmiał się. — Kiedy skończyłem z Czarnym Frankiem, przestaliście mnie interesować. Tylko on mógł być dla mnie partnerem. Pozdrów chłopaków ode mnie. Powiedz, że ta forsa jest tylko moja, a ja spływam nad morze.” A potem znowu zaśmiał się i rzekł: „Zrozum, chłopie, że tej forsy dla wszystkich jest za mało. W sam raz dla jednego.”

— Drań! Złodziej! Zdrajca! Oszust! — krzyczeli. — I gdzie on jest teraz? W Siemianach?

— Schowałem się za drzewem i patrzyłem, co on będzie dalej robić. Poszedł w stronę szosy do Susza. Pewnie będzie chciał autostopem albo pekaesem pojechać na Wybrzeże. A ja do was przybiegłem. On chyba jeszcze nie doszedł do skrzyżowania, możemy tam zdążyć przed nim i zacząć się na niego. Zabierzemy mu forszę i porachujemy gnaty.

Nie zastanawiali się długo. Usłyszeliśmy łomot nóg i trzask łamanych gałęzi.

Zerwałem się z ziemi.

— Musimy dostać się na to skrzyżowanie. Tam dojdzie do strasznej bijatyki! — krzyknąłem.

Chłopcy chcieli biec w ślad za bandą, ale Marta ich powstrzymała.

— Wodą będzie bliżej. Popłyniemy na koniec jeziora, do kanału. Stamtąd jest tylko parę kroków do skrzyżowania.

Już nie kryjąc się popędziliśmy przez bindugę i dopadliśmy naszej flotyli.

Silnikowi wehikułu nadałem najwyższe obroty, lecz przecież ciągnąć musiał łódkę i kajak, dlatego szybkość wciąż wydawała się niewystarczająca.

— Ach, żebym miała teraz swój ślizgacz! — rozpaczła Marta.

Minęliśmy małą wyspę, zostawiając ją po prawej ręce. Nad jeziorem zaczęła unosić się z lekka mgła, która pogłębiła mrok, przyspieszając zapadnięcie nocy. W oknach chałup w Jerzwałdzie tu i ówdzie paliło się światło. Wkrótce tylko te małe iskierek światła pozwalały nam orientować się, jak daleko jesteśmy od brzegu. Dookoła wszystko powoli zaczynało tonąć w białym тумanie, który nie miał granic, jakbyśmy płynęli przez ogromne, sine morze.

Zapaliłem światła samochodu. Mgła stawała się coraz gęstsza i nawet one nie potrafiły jej przebić dalej niż na kilka metrów. Musiałem więc zwolnić szybkość, tym bardziej że o mało nie wpadłem na wielki pał. Wyminąłem go w ostatniej chwili; kajak Tella tylko otarł się o niego.

Lecz do kanału było już bardzo blisko. Znaleźliśmy się w zatoczce i zobaczyliśmy światło żarówki palącej się na podwórzu jakiejś samotnej zagrody na wysokiej skarpie. Płynąłem nieomal po omacku i o mało nie uderzyłem wehikułem w drewniany pomost.

Przybiliśmy do niego, zacumowaliśmy obok czyjejs łodzi motorowej. Potem pobiegliśmy po deskach pomostu, który ciągnął się przez bagna i jakieś rozlewisko aż do suchej łąki.

Przed nami przesunęły się światła samochodu jadącego szosą na wysokiej skarpie. To była szosa z Jerzwałdu do Susza.

Mgła rozpościerała się tylko nad jeziorem. Na wysokości skarpy siny tuman urywał się jak nożem ucięty. Przy asfaltowej szosie było widniej, na drodze pełzały jeszcze resztki amarantowych promieni słońca, które zniknęło za lasem. Natomiast pole, łąki, pomost i jezioro — wszystko zapadło w mroku. Wchodząc na szosę mieliśmy wrażenie, jakbyśmy wychynęli z szarej piany.

Nasze buty zadudniły po betonowym moście. Zobaczyliśmy, że szosa zakręca i ginie w czarnej ścianie lasu.

I nagle w głuchy odgłos naszych kroków wdarł się czyjś krzyk. Ktoś wołał rozpaczliwie. Potem wrzask kilku głosów rozszedł się po polach i odbił echem w pobliskim lesie.

Domyśliliśmy się: chłopcy dopadli Romana na krzyżówce.

Rozpaczliwy krzyk powtórzył się. Ktoś biegł ku nam, a za nim goniła gromada wyrostków. Nie widzieliśmy ich, bo znajdowali się jeszcze za zakrętem szosy. Ale po chwili już wyłonili się z mroku. Najpierw Roman. Biegł szybko, dysząc ciężko i powtarzając: O Boże, Boże, oni mnie zabiją.

Za nim pędziło trzech chłopaków.

Odległość między Romanem a ścigającymi wciąż się kurczyła.

Rozstawiliśmy się na całą szerokość szosy. Pole po lewej stronie odgradzały druty kolczaste, bo był tam paśnik dla bydła. Również po prawej stronie rozciągało się ogrodzenie z żerdzi. Roman nie mógł uciec w bok, musiał wpaść w nasze ręce.

Dojrzał nas. Na krótki moment zwolnił, jakby zastanawiał się, co zrobić. Lecz łoskot pogoni za jego plecami nie pozostawił mu wyboru. Tylko w nas widział swoje ocalenie.

Zatrzymał się trzy kroki przed nami.

— Ratujcie mnie... — skamlał. — Oni mnie zabiją! Ja chcę się oddać w ręce milicji.

Wyszarpnął z kieszeni plik banknotów.

— Oddam pieniądze... Weźcie je — wyciągnął ku ścigającym dłoń z pieniędzmi.

Banda zatrzymała się o kilkanaście kroków od nas. Staliśmy tak naprzeciw siebie, a między nami Roman, trzęsący się ze strachu i bełkoczący:

— Ja chcę na milicję... Musicie mnie oddać milicji... Oni chcą mnie zabić...

Nie można było długo zwlekać z podjęciem decyzji. Chodziło przecież o to, żeby nie doszło do ogólnej bójki.

— Dobrze — powiedziałem do Romana. — Zaprowadzimy cię na milicję.

Teraz wystąpił Lisia Skórka.

— My go sami oddamy milicji — rzekł — i opowiemy wszystko, jak było. To łajdak. Wszystkich oszukiwał i okradał. Nas też, swoich kumpli.

Drugi chłopak dorzucił.

— Niech nas wszystkich zamkną. Chcemy świadczyć przeciw niemu i powiedzieć, jak było naprawdę. To on namówił nas do kradzieży łódki. To on nożem porwał żak na jeziorze...

Czułem, jak rośnie we mnie coraz większa pogarda dla nich wszystkich. Żałosna była ich gotowość zwałenia całej winy na swego dotychczasowego przywódcę. Gdyby przyszedł z pieniędzmi i jedzeniem, uważaliby go za bohatera i nie mieliby skrupułów, aby dalej kraść i rozbijać się po biwakach.

Ależ przecież miał w sobie coś symbolicznego fakt, że właśnie oni sami chcieli oddać Romana w ręce milicji.

Usłyszałem pełen niechęci głos Marty:

— Tu obok jest leśniczówka z telefonem. Niech któryś z was pójdzie tam i zawiadomi milicję.

Lisia Skórka już obrócił się na pięcie, aby wykonać rozkaz Kapitana Nemo. Ale okazało się to niepotrzebne.

Na szosie od strony Susza zajaśniały światła samochodowych reflektorów, a po kilku sekundach stanął przy nas milicyjny radiowóz.

Okazało się, że z Siemian zadzwonił ktoś na milicję i poinformował, że we wsi kręci się chłopak z bandy. Powiadomiono również milicję, że potem chłopak poszedł kamienistą drogą w stronę Jerzwałdu, przyjechali, aby zaskoczyć go na drodze.

Teraz, przez radiotelefon, wezwano z Susza drugi samochód, który miał zabrać całą grupkę chłopaków. Roman błagał milicjantów, żeby go puścili. Przysięgał, że z bandą nie miał nic wspólnego, że znajduje się pod opieką wędkarzy z jachtu, a tutaj zjawiał się tylko przypadkiem.

Nie chciało nam się słuchać jego kłamstw. Zarządziłem odwrót. Rozumieliśmy, że sprawa, która rozegrała się na szosie, będzie miała swój dalszy ciąg. Ale dla nas była ona już skończona.

Zanurzyliśmy się znowu w nadbrzeżną mgłę. Z trudem odnaleźliśmy drewniany pomost przez rozlewisko.

— A jednak szkoda, że nie obejrzałem tej mapy... — powiedziałem, gdy sadowiliśmy się w naszych statkach.

Krogulec przeciął całą sprawę jednym machnięciem ręki.

— Pan ciągle o tej mapie łowisk. Najważniejsze, że rozgromiliśmy bandę i od tej pory nad jeziorem zapanuje spokój. Jutro zdam relację kronikarzom obozowym, niech dopiszą w kronice nowy rozdział.

— A w każdym rozdziale powinno się opiewać chwałę i bohaterstwo druha Krogulca — zachichotał Baśka.

— Ty myślisz, że ja to robiłem dla sławy? — oburzył się Krogulec. — Jestem zwoleńnikiem sprawiedliwości. Postanowiłem w przyszłości studiować prawo. Zostanę prokuratorem.

Jeziro wciąż okrywała gęsta mgła, którą z trudem przebijały światła moich reflektorów. Potem zerwał się leciutki wiatr i zaczął rozganiać mgłę. Zbijała się ona w słupy i ściany, chwilami odnosiliśmy wrażenie, że płynie przez salę jakiejś ogromnej budowli. Był to widok fascynujący, tym bardziej że wysoko nad głowami niebo pozostawało bezchmurne, świecił księżyc i jego promienie jak gdyby strugami rtęciowego blasku spływały po słupach i filarach mgły.

Po powrocie do obozu zdałem dokładną relację z wyprawy Bronce i Frankowi. Przyjęli ją w milczeniu. Dopiero po kolacji Franek przysiadł się do mnie.

— Wiem, że to ja jestem temu wszystkiemu winien. To ja zorganizowałem tę bandę. Ja ją tu sprowadziłem. A teraz oni odpokutują, a ja może uniknę kary. Czy myśli pan, że to sprawiedliwie?

— Zgadza się, że zrobiłeś wiele złego — powiedziałem. — Ale w pewnej chwili spróbowałeś zmienić się na lepsze.

— A oni? Nie zrobiłem nic, żeby ich uratować.

— Nie miałaś już na nich wpływu — odparłem. — Słuchali cię tylko wtedy, gdy zachęcałaś do złego. Kiedy spróbowałaś inaczej, wyrzucili cię z bandy. Dlatego wydaje mi się, że twoje wyrzuty sumienia, jeżeli chodzi o nich, są nieuzasadnione. Skoro jednak poczuwasz się do winy, a sądzisz, że unikniesz kary, ustanów karę sam dla siebie. I tylko tyle ci powiem, że najtrudniej jest się samemu zmienić.

Myślę, że mnie zrozumiał, bo nic już nie powiedział.

— A ja? — nieśmiało odezwała się Bronka.

— Przecież ty sama wiesz, co powinnaś zrobić. Wracaj do domu.

Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że sprawa Bronki już nazajutrz znajdzie swoje rozwiązanie.

Napisała przecież do rodziców, że przebywa nad Jeziorakiem, a list nosił stempel poczty w Siemianach. I rodzice przybyli do Siemian, aby odnaleźć córkę.

Zgłosili się do obozu harcerskiego, aby zapytać, czy wszędobylscy druhowie nie spotkali tu gdzieś dziewczyny o imieniu Bronisława. W kilkanaście minut później Tell przyjechał do nas kajakiem i zabrał dziewczynę do Siemian.

Nie byłem przy spotkaniu Bronki z rodzicami. Dowiedziałem się tylko, że wynajęli oni pokój u jakiegoś rolnika w Siemianach i postanowili spędzić tutaj urlop razem z córką. Bronka kilkakrotnie odwiedzała potem nasz obóz na Przylądku Sandacza, poznałem też jej rodziców, dość zamożnych rzemieślników z Warszawy.

Tak oto zakończyła się przygoda, po którą przyjechała nad Jeziorak.

Ale moja przygoda nie miała jeszcze swego zakończenia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY [\[top\]](#)

PODUSZKOWIEC I ŁÓDŹ PODWODNA • CO SIĘ DZIAŁO NAD PRZESMYKIEM • O CZERWONYCH ROBAKACH SŁÓW KILKA • ZAWODY • KTO JEST KSIĘCIEM, A KTO KRÓLOWĄ • NIESAMOWITY POŁÓW • DRUGI WARIANT CZY DRUGI WARIAT • POSZUKIWANIE FAŁSZYWEGO ORNITOLOGA • WSTRZĄSAJĄCE ODKRYCIE

Wiść o rozgromieniu gangu natychmiast rozeszła się nad Jeziorakiem. Przekazywano ją sobie na biwakach turystycznych, w koloniach namiotów i domków kempingowych. I jak to zwykle bywa z tego rodzaju wieściami, wkrótce urosła ona do rozmiarów legendy, w której grupa harcerzy, Marta i ja odgrywaliśmy niepoślednią rolę. Wyolbrzymiono nasze przygody, wyposażono nas też w niezwykle środki. Ja stałem się osobnikiem, który posiadał wehikuł-poduszkowiec unoszący się nad wodą i lądem, a tajemniczy Kapitan Nemo posługiwał się czymś w rodzaju małej łodzi podwodnej.

Śmialiśmy się słuchając tych opowiadań. Lecz jednocześnie sprawiały nam one niemałą satysfakcję. Widać było, że turyści i wczasowicze nad jeziorem odetchnęli z ulgą. Nareszcie mogli spokojnie zostawić na noc na brzegu swoje łajby i kajaki, a wypływając na jezioro nie musieli martwić się o namioty, w których znajdowały się kuchenki gazowe, pościel i zapasy żywności. Świadomość, że w krzakach nadbrzeżnych i na dzikich wysepkach nie czają się złodziejaszki, stwarzała warunki do prawdziwego wypoczynku. Specjalnie wybrana spośród turystów delegacja złożyła w obozie harcerskim podziękowanie na piśmie i przyniosła kilka ogromnych toreb z cukierkami. I tak jak tego pragnął harcmistrz Gąsiorowski, widok motorowych kajaków z patrolami harcerzy budził wszędzie życzliwość, a nierzadko zdarzało się, że maszerujących harcerzy witali wczasowicze oklaskami.

Nadeszły dni wspaniałej pogody. Upalne słońce i bezchmurne niebo także i nam, biwakującym na Przylądku Sandacza, bardzo uprzyjemniało pobyt. Codziennie z rana przyplływała do nas Marta na swojej starej łajbie (odkąd rozgromiono bandę nie używała już ślizgacza) i uczyła Franka łowić ryby. Nie brałem w tym udziału. Zazwyczaj albo opalałem się nad wodą, albo też odbywałem spacer po lesie, wciąż — nie ukrywam tego — z nadzieją, że spotkam Człowieka z Blizną. Najczęściej jednak podczas tych spacerów trafiałem na Ornitologa, który zaszyty w szuwarach nadbrzeżnych obserwował przez lunetę ptaki.

Niekiedy obchodziłem brzegiem Zatokę Krasnopiór i potem szedłem zarośniętą drogą aż w pobliże miejsca, gdzie ongiś dokonywano przeprawy promem na drugi brzeg przesmyku. Biwakowali tam teraz pan Anatol i pan Kazio wraz z małżonkami, a kilkanaście metrów od brzegu cumował biały jacht Wacka Krawacika. Nie zauważony przez żadnego z nich siadywałem na niewysokim wzgórzu i obserwowałem przez lornetkę życie na pokładzie jachtu. Obserwacje te zresztą nie były interesujące, nic się tam bowiem nie działo ciekawego. Wacek Krawacik i pan Anatol spinningowali od rana do wieczora, Brodacz i panna Edyta opalali się na leżakach na pokładzie albo chłodzili się kąpielą wokół jachtu. Rozsądek mówił mi, że to siedzenie na wzgórkach i męczące oczu szklami lornetki nie ma żadnego sensu, ale intuicja poszukiwacza przygód każdego ranka zmuszała mnie do wędrówki na wzgórek i przesiadywania tam całymi godzinami.

Może zresztą nie była to tylko intuicja? Wciąż gnębił mnie brak odpowiedzi na dwa pytania: dlaczego Wacek Krawacik, odzyskawszy swoją mapę, utknął na dobre w prze-

smyku, zamiast buszować po różnych zakamarkach jeziora, oraz co się kryje za przyjaźnią Wacka Krawacika i pana Anatola, do którego dawniej książę spinningu odnosił się z pobłażliwym lekceważeniem. Pan Anatol był nieznośny nawet dla przyjaciół i na zdrowy rozum Wacek Krawacik powinien był uciec od niego na drugi koniec jeziora. Tym bardziej że — o ile nie myliły mnie moje obserwacje — książę spinningu nie miał większych sukcesów w wędkowaniu, co musiało zmniejszyć stopień uwielbienia, jaki pan Anatol miał dla Jego Wysokości.

Po paru dniach zaproponowałem Marcie, aby zainteresowała się panem Kaziem.

— Jego przyjaciel pozbawił go zupełnie łask — powiedziałem.

— Nie może mu darować faktu, że Kazio złapał wtedy z wami więcej krasnopiór niż on. Zabrał ich wspólną łódkę i łowi z niej ryby razem z Wackiem Krawacikiem. A pan Kazio patrzy na nich smętnie z brzegu i bezskutecznie zarzuca swoją wędkę.

— Czy nie mogłabyś mu pomóc? A przy okazji spróbuj się dowiedzieć, co się kryje za nagłą przyjaźnią Anatola i Krawacika.

— Znowu jakieś podejrzenie? — zapytała Marta.

Ale zaraz roześmiała się wesoło. Zapewne bawiła ją myśl o wypłataniu nowego figla Krawacikowi i Anatolowi.

— Płyniemy do przesmyku — zwróciła się rozkazująco do Czarnego Franka, który teraz był jej posłusznym giermkim.

Wsiedli do łodzi nie uruchamiając silnika. Franek chwycił za wiosło i zaraz odbili od Przylądka Sandacza. A ja, zamknąwszy wehikuł na klucz, poszedłem wolno przez las, wiedząc, że i tak na brzegu przesmyku znajdę się równocześnie z nimi.

Dzień już od rana był niezwykle upalny. Pan Anatol i Kazio przestawili swoje samochody w cień młodych drzew. Małżonki rycerzy spinningu opalały się na kocu tuż nad samą wodą, mogłem więc niepostrzeżenie znowu zasiąść na swoim wzgórku obserwacyjnym. Położony był tak blisko brzegu, że nawet dochodziły do mnie niesione przez wodę kroki na pokładzie jachtu.

Na jachcie, jak zwykle o tej porze, opalała się już na leżaku panna Edyta, a odwrócony plecami do słońca Brodacz zatopiony był w lekturze jakiejś książki. Wacek Krawacik siedział na ławeczce w łódce pana Anatola i rozpiętą na drucie siatką usiłował chwycić żywca.

I wtedy w przesmyk wpłynęła łódka z Martą i Czarnym Frankiem.

Brodacz przerwał lekturę i długo przyglądał się płynącym. Pan Anatol parsknął gniewnie i mruknął coś pod nosem. Wacek Krawacik gwałtownie poderwał siatkę z wody. Przekonał się, że nie ma w niej żywca, i ze złością wyrzucił siatkę na brzeg, mówiąc:

— Skoro nie ma przynęty, będziemy łapać na spinning.

Marta była już bardzo blisko jachtu, usłyszała więc jego słowa. Udała ogromną radość.

— Będzie pan ćwiczył swoje wspaniałe rzuty? Czy można popatrzeć?

Nie czekając na słowa zachęty, dobiła do brzegu, wyskoczyła na piasek. Podeszła do pana Kazia.

— Jak pana połowy? — zapytała uprzejmie. — Czy próbował pan jeszcze łapać krasnopióry?

Pan Kazio bezradnie rozłożył ręce.

— Usiłowałem, proszę pani, ale bezskutecznie. Pani miała wtedy znakomite robaki. Takie bardzo ruchliwe, czerwone, trochę inne niż dżdżownice, które tu kopiemy. I myślę, że krasnopióry wolą pani przynętę od mojej. Czy pani nie ma teraz troszkę tych wspaniałych robaczków?

Pan Anatol nie wytrzymał, żeby nie wypowiedzieć jakiejś nauki.

— Tajemnica sukcesów wędkarskich — rzekł z powagą — zazwyczaj kryje się we właściwie dobranej przynęcie. Ciekawym, co to za robaczki?

Marta aż się wstrząsnęła udając wstręt.

— Ohydne. Zbieram je w pryzmie nawozowej.

Małzonki rycerzy spinningu zapiszczały na swoich kocach:

— Anatolu, nie waż się dotykać tych robaków.

— Kaziu, bo stracę apetyt na cały dzień...

Marta wyjęła z łódki słoiczek z robakami i powiedziała ze wstrętem:

— To są dżdżownice nawozowe, czerwone. Ohydnie śmierdzą. Aż się mdło robi, gdy trzeba je naciągać na haczyk.

— To nic. To nic — cieszył się pan Kazio.

Odnalazł w trawie swoje dziurawe pudełeczko na przynętę i odsypał trochę robaków ze słoika Marty. Pan Anatol chciał zrobić to samo, ale powstrzymał go groźny głos małżonki:

— Anatolu! Przecież możesz rzucać spinningiem...

Pan Anatol zawahał się i zrezygnował z robaków. Zdecydował o tym nie tyle głos małżonki, ile fakt, że jego przyjaciel już stanął z wędką na brzegu, gotując się do wędkowania. Nie chciał naśladować Kazia, którego uważał za nowicjusza.

— Prawdziwy sport wędkarski, proszę pani — rzekł do Marty — to tylko spinning. Prawda, panie Wacku? — zwrócił się do Krawacika.

— Tak jest. Będziemy spinningować — przytaknął Wacek.

Marta radośnie klasnęła w ręce.

— Ja też mam spinning. Czy panowie pozwolą, że spróbuję łowić razem z nimi?

— Nie — burknął Anatol.

Lecz Wacek Krawacik, zapewne wrażliwy na urodę dziewcząt, uśmiechnął się łaśkawie.

— Ależ oczywiście, droga pani.

I teraz nastąpiły chwile, gdy całą siłą woli musiałem się powstrzymać, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Najpierw kilkakrotnie rzucił spinningiem sam książkę. Dwa rzuty mu się nie udały, bo były zbyt bliskie, przy trzecim splątał żyłkę. Za czwartym razem rzucił za daleko i zahaczył o trzciny. Rozgniewał się, szarpnął spinningiem i błyszczka urwała się.

— Chciałem trafić blisko tych nenufarów na wodzie — tłumaczył się.

— Czy to takie trudne? — zdumiała się Marta.

— Cha! Cha! Cha! — roześmiał się pogardliwie pan Anatol. — Czy panienka zdaje sobie sprawę, do kogo pani mówi? Ten pan jest księciem spinningu, ma nieomyłne rzuty. Na taką odległość trafić jest bardzo trudno.

— Chce pani spróbować? — zainteresował się Wacek. — Ostrzegam, że może pani na tych liściach stracić kotwiczkę.

Marta wzięła do ręki swój spinning.

— Czy widzi pan ten trochę żółkły liść? — wskazała Wackowi. — Spróbuję trafić tuż koło niego, a potem zacznę ściągać błyszczkę.

Zamachnęła się bardzo ostrożnie. Kotwiczka trafiła w wodę o kilka centymetrów od żółkłego liścia.

— Hm — chrząknął Anatol. — Jak to mówią: trafiło się ślepej kurze ziarno...

— A teraz pan — zaproponowała Marta Anatolowi. — Widzi pan tam na lewo zieloną gałązkę na wodzie? Niech pan przyciągnie ją kotwiczką.

Pan Anatol wzruszył ramionami.

— Nie jestem cyrkowcem. Ja chcę łowić ryby, proszę pani.

— A ja to zrobię — odezwał się Krawacik.

Rzucił spinningiem. Lecz kotwiczka minęła gałązkę co najmniej o pół metra.

A potem świsnęła błyszczka Marty i po chwili dziewczyna holowała po wodzie zieloną gałązkę.

Z pokładu jachtu rozległy się oklaski. To Brodacz od pewnego czasu śledził zawody na brzegu i teraz oklaskiwał zwycięstwo Marty.

— Wacek — zawołał — będziesz musiał tej panience oddać swój tytuł księżęcy!

Krawacik wzruszył ramionami.

— Tytułów nie otrzymuje się za celność rzutu, tylko za wielkość złowionej ryby. Ja, proszę pani — rzekł dumnie do Marty — zdobyłem brązowy medal PZW.

— Tak? Nigdy bym tego nie sądziła, widząc jak pan rzuca.

— Pani jest zawistna — stwierdził pan Anatol. — W pani wieku należy być raczej skromną. Ten pan naprawdę jest księciem spinningu. Jego fotografia była publikowana w gazetach.

Marta niewinnie spuściła oczy i powiedziała do Krawacika:

— Niech mi pan wierzy, że nie zazdroszczę panu tytułu księcia. Czy królowa to nie jest coś więcej?

— Co pani mówi?

— Mam złoty medal — wyjaśniła Marta. — Zdobyłam go za suma o wadze trzydziestu ośmiu kilogramów.

Pana Anatola aż замуrowało. Wacek zdołał tylko wykrztusić:

— A więc... to pani... jest tą dziewczyną, która na Jezioraku złapała suma?

— Tak — przytaknęła Marta — I to bez żadnej mapy łowisk, proszę pana księcia.

Słowa Marty o jej złotym medalu zrobiły silne wrażenie nie tylko na panu Anatolu i Wacku. Czarny Franek także poderwał się z łódki wyskoczył na brzeg i podbiegł do dziewczyny.

— To prawda? Masz złoty medal?

Jego uwielbienie dla Marty zdawało się już nie mieć granic. A dziewczyna odłożyła swój spinning i mruknęła pod adresem pana Anatola i Krawacika:

— Ci panowie tylko straszą ryby. Chodź, Franek, do pana Kazia. Z niego będzie kiedyś znakomity wędkarz.

Zabrała z łódki zwykłą wędkę i gotowała się do odejścia. Ale Wacek zastąpił jej drogę.

— Pani coś wspomniała o jakiejś mapie łowisk? Nie bardzo rozumiem, co pani miała na myśli? Mapa łowisk? — udał, że pierwszy raz o czymś takim słyszał.

A Marta odparła szczerze:

— Mówiłam o mapie, za którą pan szalał. I za którą zapłacił pan trzy tysiące złotych Romanowi.

Wzmianka Marty o mapie łowisk wprawiła w niepokój również i Brodacza. Zeskoczył z jachtu do wody i przyplynał do brzegu.

Marta dodała jeszcze lekceważąco:

— Zresztą nic mnie nie obchodzi pańska mapa. Nie rozumiem tylko, dlaczego robi pan z niej aż taką tajemnicę?...

I zarzuciwszy wędkę na ramię odeszła brzegiem w stronę pana Kazia, który jak się okazało — bez żadnych okrzyków radości wyciągał z wody jednego leszcza po drugim. I były to niemałe sztuki.

Brodacz wylazł z jeziora, ociekając wodą. Z groźną miną podszedł do Czarnego Franka.

— To chyba pan nie umiał utrzymać języka za zębami?

— Czego pan chce ode mnie? Pan nie powiedział, że to tajemnica.

Brodacz aż poczerwieniał z gniewu, ale Krawacik położył mu rękę na ramieniu.

— Daj spokój. Ostatecznie, to rzeczywiście żadna tajemnica. Co to? Nie wolno nam korzystać z mapy łowisk?

Franek chwycił z łódki swoje wędzisko i pobiegł brzegiem za Martą. Pan Anatol też podreptał w tamtą stronę dostrzegłszy, że Kazio znowu wyciąga z wody wielkiego leszcza. Brodacz burknął do Krawacika.

— Oni się czegoś domyślają, rozumiesz? Może coś widzieli?

— Ciszej — syknął Krawacik. — I nie wpadaj w panikę.

Aby sprawić wrażenie, że nic go ta sprawa nie obchodzi, znowu rzucił na jezioro swoją wielką błyszczkę. Zaterkotał kołowrotek i spinning raptem aż wygiął się.

— Jest! — wrzasnął Krawacik i zaciął kotwiczkę.

— To chyba tylko zaczep — rzekł Brodacz.

— Jest! Jest! Jest! — wrzeszczał Wacek Krawacik.

Kołowrotek zaczął gwałtownie trzeszczeć, co znaczyło, że „coś” chwyczone przez kotwiczkę ucieka na głębie.

Krzyk Wacka Krawacika usłyszał chyba każdy w promieniu pół kilometra. Porzucili swoje wędki: pan Anatol, Marta i Czarny Franek. Usiadły na kocu małżonki rycerzy spinningu. Nawet panna Edyta, dotąd obojętna na wszystko, co się działo wokół niej, podbiegła do burty i wychyliła się przez nią, spoglądając na wodę. Tylko pan Kazio z największym spokojem pakował do siatki kolejnego leszcza.

Krawacik popuścił trochę żyłki na kołowrotku. Ale po chwili spróbował ściągnąć rybę. Musiała to być jakaś ogromna sztuka, bo na środku przesmyku zakotłowało się, jakby za chwilę wynurzyć się miał z wody stukilogramowy sum.

A potem! — widzieliśmy to na własne oczy — wychyliła się z wody ludzka ręka, której palce chwyciły żyłkę i przerwały ją... Przez krótki moment pod powierzchnią wody mignął kształt ludzki. Jeszcze raz wzburzyło się jezioro, lecz zaraz wyrównała się jego powierzchnia. Można było pomyśleć, że ulegliśmy grze wyobraźni...

— Co to było? Widzieliście? — pytał Krawacik.

Nie potrafię opisać wyrazu bezbrzeżnego zdumienia, jakie malowało się na jego twarzy, gdy tak stał na brzegu ze spinningiem w ręku, a żyłka zwisała luźno i opadała na wodę.

— Złapałeś pletwonurka — odezwał się Brodacz.

— No tak. Ale kto to był? Co on tu robił? — bełkotał Wacek.

— Zwijamy manatki — powiedział Brodacz. Chwyć żyłkę, naciągnął trochę i kazał Wackowi nakręcić ją na kołowrotek.

A ja pomyślałem:

„To chyba Ornitolog wypuścił się w przesmyk ze swoim aparatem tlenowym”.

Całe towarzystwo na brzegu głośno komentowało przygodę Wacka, snując różne przypuszczenia związane z obecnością tajemniczego płetwonurka. Nie ulegało wątpliwości, że Wacek swoją kotwiczką zaczepił o niego. Tylko dlaczego płetwonurek — zamiast wychylić się z wody i zrobić awanturę Krawacikowi — wolał zniknąć, gdy tylko uwolnił się od zaczepu?

„W gruncie rzeczy zupełnie nic nie wiem o Ornitologu — medytowałem. — Darował mi śmieszna świstawkę, potem pomógł Nemo i mnie wydostać się z opresji, był wesoły i obudził moją sympatię. Ale przecież przestępca również może być człowiekiem sympatycznym. Szukam Człowieka z Blizną, a może ów Ornitolog jest jego współnikiem albo wynajętym płetwonurkiem, który szuka w jeziorze zatopionego skarbu?”

Moje rozmyślania przerwały odgłosy rozmowy na brzegu.

— Edyta! — półgłosem zawołał Wacek w stronę jachtu. — Zejdź na ląd i spaceruj się po lesie. Może ten płetwonurek wyszedł tu gdzieś na brzeg?

I oto panna Edyta zeskoczyła z jachtu do wody, przypląnęła do brzegu i ruszyła w swym pięknym kostiumie kąpielowym prosto na wzgórek, gdzie się ukrywałem. W ostatniej chwili zdołałem niepostrzeżenie dać drapak w lasek.

Przedarłem się przez młody sośniak i powróciłem na Przylądek Sandacza. Chciałem w spokoju przemyśleć całą sprawę, którą raptem ujrzałem w zupełnie nowym świetle. Z niecierpliwością także oczekiwałem powrotu Marty i Czarnego Franka. Oto nadeszła chwila, gdy nie tylko mogłem, ale już musiałem wyjawić im tajemnicę zatopionej ciężarówki i poprosić ich o pomoc.

Wrócili po niedługim czasie. A w chwilę później przypląnął kajakiem Wilhelm Tell w towarzystwie Bronki.

Marta, nie przypuszczając, że obserwowałem ich ze wzgóрка, zaczęła mi opowiadać o historii z płetwonurkiem, ale jej przerwałem:

— Wiem wszystko. Czego dowiedziała się pani od Kazia?

Niestety, na temat dziwnej przyjaźni Krawacika i Anatola niewiele miała do powiedzenia.

— Pan Kazio również nie bardzo rozumie, co się za tym kryje. Podobno wczoraj wieczorem przypadkowo słyszał rozmowę Krawacika z Brodaczem. Krawacik rzekł, że pan Anatol do szewskiej pasji go doprowadza swoim zarozumiałstwem. A Brodacz odrzekł: „To nic. On się może przydać jako drugi wariant”.

— Wariant? A może drugi wariat. Wszyscy wędkarze są zwariowani — powiedział Franek. — Bo pierwszym wariatem jest Wacek Krawacik.

Roześmiali się. Ale mnie nie było do śmiechu. Znowu czekał mnie trudny orzech do zgryzienia.

Tymczasem Marta i Bronka zajęły się obiadem, a Czarny Franek opowiedział Telowi o wspaniałych rzutach Marty i historii ze złapaniem płetwonurka.

— To był chyba Fałszywy Ornitolog — powiedziała Marta.

— Dlaczego nazywa go pani fałszywy? On twierdzi, że tylko żartował z tym kiwkiem — odezwałem się.

— Och, pan wciąż jest naiwny...

A potem zjedliśmy wspólnie obiad i przy herbatce, leżąc na kocu w cieniu drzew na Przylądku Sandacza, opowiedziałem moim młodym przyjaciółom o zatopionej ciężarówce i Człowieku z Blizną.

— Mogę przysiąc, że Fałszywy Ornitolog szuka tej ciężarówki! — wykrzyknęła Marta.

— Lecz jaką rolę odgrywa w tej sprawie Krawacik? I Brodacz? — zapytałem.

— Oni nie mają z tym nic wspólnego — zdecydowanie stwierdził Czarny Franek. — Krawacik to po prostu maniak wędkarstwa.

Tell, który niejedną przygodę ze mną przeżył i miał trochę więcej doświadczenia, powiedział z wahaniem:

— Nie jestem tego taki pewien. Co miały na przykład znaczyć te ich słowa, że Anatol to ich drugi wariant?

A Marta rzekła w zamyśleniu:

— Ciekawe, dlaczego oni postanowili porzucić przesmyk?

— Co takiego? — zaniepokoiłem się.

— A tak. Gdy płynęliśmy tutaj, słyszałam, jak Krawacik wołał z pokładu do Anatola, że po obiedzie odpływają do ławy.

— To chyba widok płetwonurka tak nimi wstrząsnął, że zdecydowali się opuścić przesmyk. — Pospiesznie odstawiłem kubek z herbatą. — My tu gadamy, a oni uciekają. Bo to przecież wygląda na ucieczkę. Tylko co zrobić w tej sytuacji? Przecież nie mamy żadnego powodu, żeby ich zatrzymać.

— Trzeba odnaleźć płetwonurka i wydusić z niego prawdę! — zawołała Marta. — Pozwólcie mi wziąć w obroty Fałszywego Ornitologa.

— Najpierw trzeba go odnaleźć — zauważyłem.

— Więc chodźmy szukać w lesie jego biwaku. On zaszył się znowu w jakimś gąszczu. — Marta już była gotowa do marszu.

To była chyba rzeczywiście jedyna słuszna myśl. Pospiesznie umyliśmy w jeziorze garnki, w których gotowaliśmy obiad. Zasznurowaliśmy namiot, zamknąłem wehikuł.

Nasz oddział liczył pięć osób. Zrobiliśmy dość szeroką tyralierę i zagłębiliśmy się w las, starając się przeczesać największy gąszcz.

Dobrym miejscem na ukrycie był młody sośniak w samym sercu półwyspu, tuż przy Zatoce Krasnopiór. Ale w słoneczny dzień panowała tam zbyt wielka duchota, dlatego nie wierzyłem, aby chciał się na nią skazać nasz Ornitolog. Przypuszczałem raczej, że na okres upalnych dni zaszył się w zielonym i cienistym zakątku, wśród młodych buków niedaleko przesmyku. W tamtą stronę prawdopodobnie płynął, gdy go na swój spinning chwycił Wacek Krawacik.

Minęło pół godziny, zanim znaleźliśmy się w pobliżu tego miejsca. Było bardzo duszno. Opływaliśmy potem, do mokrych twarzy przylepiały się pajęczyny rozpięte między gałązkami.

Na chwilę odłączyłem się od naszej gromadki i pobiegłem na wzgórek obserwacyjny przy przesmyku. Na jachcie wyraźnie szykowano się do odpłynięcia. Pokazał się na pokładzie Wacek Krawacik umorusany smarem czy oliwą. Miał w ręku francuski klucz, co wskazywało, że z silnikiem jachtu coś nie jest w porządku. Podobnie umorusany pojawił się Brodacz. Zapewne obydwu zależało na odpłynięciu, skoro mimo gorąca męczyli się w ciasnym i dusznym pomieszczeniu, gdzie znajdował się silnik.

Rycerze spinningu również chyba zamierzali opuścić to miejsce.

Wprawdzie namioty stały jeszcze, ale obok na trawie leżały dwa tłumoki, prawdopodobnie ze zwiniętą pościelą.

„Wygląda to na ogólną ucieczkę” — pomyślałem i wróciłem do przyjaciół.

I zaraz znaleźliśmy biwak Ornitologa. Marta odkryła coś w rodzaju ścieżki od brzegu Jeziora Płaskiego w gęstwinę młodych buków. Ukryty w zieleni liści szałas z gałęzi tak świetnie zlewał się ze swym otoczeniem, że trudno go było dostrzec nawet z odległości dziesięciu kroków. Ornitologa w szałasie nie było.

— Umknął — powiedział Czarny Franek.

Nic jednak nie wskazywało na ucieczkę. Przeciwnie, byliśmy pewni, że mieszkaniiec szałasu zaraz wróci, ponieważ pozostawił swój aparat tlenowy, śpiwór, ogromny wór podróżny, który mu kiedyś pomogłem dźwigać. Brakowało tylko gumowej łódeczki i lunety.

— On jest na jeziorze — stwierdziłem. — Ty, Tellu, zaczniesz się na brzegu i dasz nam znać, gdy będzie się zbliżał.

Tell, posłuszny rozkazowi, natychmiast pobiegł w stronę jeziora, a ja jeszcze raz uważnie rozejrzałem się po szałasie.

— Nie widzę tu nic podejrzanego — stwierdziłem. — Właśnie tak wyobrażałem sobie wnętrze szałasu, w którym mieszka Ornitolog. O, popatrzcie. Tu leży nawet książka o ptakach...

Marta wzięła do ręki książkę, przerzuciła stronicę.

— To jest Fałszywy Ornitolog — stwierdziła już nie wiem po raz który. — Właśnie ta książka jeszcze bardziej mnie o tym przekonuje. To przecież tylko popularna broszurka. Z tej książki czerpie on wiadomości, które nam recytował. Prawdziwy ornitolog nie zabierałby z sobą popularnej książki o ptakach, bo sam wie o nich znacznie więcej.

Zmęczona upałem Bronka zaprzagnęła położyć się nieco wygodniej i przesunęła nadmuchiwany materac Ornitologa.

— O Boże! A cóż to za cudo! — usłyszałem jej zdławiony zachwytem okrzyk.

Zobaczyłem, że wieszka sobie na szyi wspaniałą kolię z bursztynu.

— Leżała pod materacem — wyjaśniła. — Ciekawam, gdzie on kupił coś tak pięknego? Jak myślicie, ten naszyjnik jest z prawdziwego bursztynu?

Wzięłem go do ręki. Szczególnie starannie obejrzałem ogniwa. Nie ulegało wątpliwości: zrobiono je ze złota, a robota była bardzo stara. Złoto pokrywał jakby nalot, delikatny zresztą, dający się łatwo usunąć nawet paznokciem.

— Ten naszyjnik — powiedziałem — kilkanaście lat leżał w jeziorze...

Zapadła taka cisza, że słyszeliśmy brzęczenie much na słonecznej polance wśród młodych buków.

ZAKOŃCZENIE [\[top\]](#)

Nadbiegł Tell i powiadomił nas, że zbliża się Ornitolog. Widział go płynącego gumową łódeczką od strony Jeziora Płaskiego. Tell poinformował nas także o odpłynięciu jachtu Wacka Krawacika.

— Czy skryjemy się? — zapytała Marta.

— A po co? Musimy przecież z nim porozmawiać. Nie domyśla się chyba, że znaleźliśmy bursztynową kolię — odpowiedziałem. — Powitamy go uprzejmie i otoczymy ze wszystkich stron.

Marta westchnęła z ubolewaniem:

— Mogliśmy już dawno nakryć tego ptaszka od ptaszków. Ale panu wydawał się on sympatyczny.

Nic nie powiedziałem. Usiedliśmy półkolem, tworząc wolne przejście od ścieżki do szałasu. Ornitolog powinien być wejść między nas.

Tell nie mógł usiedzieć na miejscu. Aż podrywała go niecierpliwość.

— Z panem, panie Tomaszu — rzekł — zawsze coś się musi zdarzyć. Za chwilę sprytny przestępca wpadnie w nasze ręce. Jak w telewizyjnej „Kobrze”.

Bronka uśmiechnęła się do mnie.

— Obiecywał mi pan przygodę i przeżyłam już kilka pięknych przygód. Nigdy nie zapomnę, jak ścigaliśmy samochód Krawacika i jak potem on nas gonił. A teraz? Co się teraz przydarzy?

Czarny Franek zaczął mieć wątpliwości.

— Bursztynowy naszyjnik? Może on go kupił dla żony albo narzeczonej? Są sklepy na Wybrzeżu, gdzie można kupić bursztynowe naszyjniki.

— Tak — zgodziłem się. — Ale czy zwróciłeś uwagę na łańcuch, który spaja bursztyny? Muzeum w E. posiadało wielką kolekcję bursztynu sambijskiego. Znajdowała się tam cenna biżuteria zrobiona z bursztynu oprawionego w złoto. Osobną część kolekcji stanowiły artystyczne wyroby, miniaturki zamków, dawnych statków. Czy widzieliście wystawę bursztynu zorganizowaną w zamku malborskim? Wiele okazów do tej wystawy musieliśmy wypożyczać z zagranicy. Gdybyśmy posiadali kolekcję muzeum w E., nie byłoby to potrzebne.

— A czy ta kolekcja była duża? — zainteresował się Czarny Franek. — Może Fałszywy Ornitolog nie zdołał wydobyć z wody zawartości całej ciężarówki.

— Ja też tak sądzę — powiedziałem. — W ciężarówce wywożono wiele różnych przedmiotów muzealnych; bursztynowa kolekcja stanowiła tylko część całego ładunku. Ale nawet jeśli ukradł z niej tylko okruch zawartości, choćby część zbioru kolii i naszyjników bursztynowych oprawnych w złoto i drogie kamienie, to i tak już zdobył wielki skarb.

Nagle Tell położył palec na ustach.

Ktoś nadchodził ścieżką, usłyszeliśmy szelest liści. Idąc pogwizdywał cicho, ale wesoło.

— Zepsujemy mu dobry humor — mruknął Czarny Franek.

Ornitolog zauważył nas w ostatnim momencie, ale nie cofnął się. Nawet nie wyglądał na zaskoczonego. „Umie się świetnie maskować — pomyślałem. Nie wie zresztą, że my znamy jego tajemnicę”.

— Witam państwa — rzekł kłaniając się uprzejmie i zdejmując z ramienia swoją ciężką lunetę. Łódkę zapewne pozostawił w trzcinach na brzegu.

— Gość nie w porę, gorszy od Tatarzyna. Czy nie tak mówili nasi protoplaści? — zapytałem grzecznie, podając rękę na przywitanie.

I w ogóle wszyscy zaczęli okazywać mu wielką uprzejmość. Marta i Bronka dygnęły przed nim jak małe dziewczynki. Tell i Franek uśmiechali się z taką sympatią, jakby jego

przyjście sprawiło im wielką radość. „Zdaje się, że wszyscy umiemy świetnie udawać” — pomyślałem.

— Zawsze cieszę się na widok gości — rzekł Ornitolog. - Może papieroska? — zaproponował, zwracając się do mnie. — A państwo są głodni?

— Ach nie, dziękujemy — odrzekłem, biorąc już na siebie dalszy ciąg rozmowy. — Nie przyszliśmy tu, aby pana objadać. Chodzi raczej o pewną informację.

— O ptakach?

Marta parsknęła śmiechem.

— Ach — westchnął Ornitolog — pani wciąż myśli, że jestem fałszywym ornitologiem? Nie wiem, jak mam panią przekonać, że zgłębiłem tajniki życia ptaków.

— Wierzę panu — kiwnąłem głową. — Książka, którą widziałem w pana szafie, przekonała mnie, że pan rzeczywiście interesuje się ptakami. Ale zależy mi na innej informacji.

Zdecydowałem się zadać mu cios. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem bursztynową kulię.

— Czy dużo pan tego znalazł? — zapytałem.

Pięć par oczu zawisło na twarzy Ornitologa. Jestem pewien, że dostrzeżlibyśmy na niej choćby najmniejszy cień przestachu lub gniewu. Żelazne nerwy miał ten człowiek. Tyle tylko, że zatrzepotał powiekami jakby odrobinę zaskoczony.

— Niestety, tylko ten naszyjnik...

— A reszta? Co się z nią stało?

Rozłożył ręce gestem największego ubolewania.

— Przypuszczam, że odpłynęła jachtem Wacka Krawacika.

— Pan żartuje! — zawołałem.

— Ależ nie. Jakżebym się ośmielił — odparł kpiąco.

To obudziło w nas gniew. Marta powiedziała podniesionym głosem, grożąc mu palcem:

— Pan jest Fałszywym Ornitologiem. Zdemaskowaliśmy pana. Nurkował pan w jeziorze, poszukując zatopionej ciężarówki.

— Yhm — przytaknął bezczelnie.

— Znalazł pan ją! — wrzasnął Czarny Franek.

— Yhm — zgodził się Ornitolog. — Dziś rano ją wreszcie odkryłem. Trochę za późno, nieprawdaż?

— Za późno? — oburzył się Tell. — Zdążył pan zabrać z niej drogocenną kulię.

— Tylko tę jedną — zaznaczył Ornitolog. — Resztę wydobył Wacek Krawacik. W ciężarówce zostało jeszcze kilkanaście skrzyń, ale przeważnie znajdują się w nich już mocno sfatygowane przez wodę stare gliniane naczynia, zdaje się, że urny muzealne. Te skrzynie są już tak zgniłe, że rozpadają się od nieostrożnego dotknięcia. Zauważyłem także kilka zabytkowych starych mebli, z których już nie będzie żadnego pożytku. Ocalały tylko bursztyn i bursztynowa biżuteria. Zresztą źle się wyraziłem. Nie ocalały. Zabrał te rzeczy Wacek Krawacik. Ten naszyjnik uszedł jego uwagi. A ściślej — nie jego, lecz Brodacza.

— Gdzie jest ta ciężarówka? — przerwałem mu.

— Pan się nie domyśla? — udał zdziwienie. — W jeziorze. To znaczy w przemyku, trochę na lewo od miejsca, gdzie dawniej przepływał prom. Wacek Krawacik dokładnie nad zatopioną ciężarówką zakotwiczył swój jacht.

— Mapa! — krzyknąłem zrozpaczony. — Ta mapa była jednak bardzo ważna. To na niej Krawacik miał zaznaczone miejsce, gdzie leży ciężarówka. Czułem, że to nie jest żadna mapa łowisk, tylko klucz do tajemnicy.

— Hi, hi, hi — zachichotał Ornitolog. — Nieźle pana nabrali. Sądziłem, że pan jest sprytniejszy.

— A pan co? — poirytował mnie jego uszczypliwy ton. — Kim pan jest, u licha?

Uśmiechnąłem się pogodnie.

— Czy ma pan jeszcze tę moją świstawkę?

— Mam.

— To niech pan w nią zagwiżdże.

— Dlaczego? — narastał we mnie gniew, bo ten człowiek w sposób zupełnie wyraźny nabijał się ze mnie.

— Przecież potrzebna panu pomoc. Chce pan odzyskać bursztynowe kolekcję, czy nie?

— Chcę. Ale ta świstawka...

— Mówiłem panu, że ona jest zaczarowana.

— Pan sobie stroi żarty. A sprawa jest poważna.

— No, niechże pan zagwiżdże — poprosił.

— Czy pan wie, że za współdziałanie w przestępstwie... — zacząłem poirytowany.

A on znowu swoje:

— Niech pan zagwiżdże. To pana bardzo uspokoi.

Marta, Tell i Czarny Franek uśmiechnęli się pod nosem.

Więc co miałem zrobić? Wyjąłem z kieszeni tę jego dziwną świstawkę i gwizdnąłem z całej siły.

On zaś przekrzywił głowę, jakby z lubością, słuchając pisku swego instrumentu, a potem rzekł:

— No, dobra. Będzie miał pan wkrótce te bursztyny. Nim Wacek Krawacik dopłynie jachtem do ławy, po drodze zatrzyma go milicyjna motorówka. Milicjanci mają nakaz rewizji jachtu. Wacek Krawacik i jego przyjaciel zapewne powędrują do aresztu.

— Pan jest „głina”! — z triumfem zawołał Czarny Franek. Ale zaraz się poprawił: — Chciałem powiedzieć: pan jest milicjantem.

— A owszem. Nie widzę powodu, aby się wstydzić swojego zawodu — i przymrużywszy prawe oko uśmiechnąłem się do mnie porozumiewawczo. — Ale nie mogłem mówić o tym panu Tomaszowi, bałem się bowiem, że nie ścierpi konkurencji. I tak mi pewnie nie daruje, że to ja, a nie on, odnalazłem zatopione skarby.

Miał rację. Zazdrościłem mu sukcesu. Tyle wysiłku i czasu zmarnowałem w tej sprawie, a tymczasem on przede mną wpadł na ślad zatopionej ciężarówki.

Może rozumiał moje uczucie, bo pośpieszył z pociechą:

— Muszę jednak przyznać, że pan Tomasz bezbłędnie określił drogę, którą uciekali hitlerowcy z ciężarówką. Między Dobrzykami a Jerzwałdem skręcili w lewo na polną drogę. Usiłowali przedostać się przez jezioro w największym miejscu, a więc przez ten przesmyk. I tutaj pod ciężarówką załamał się lód. Pan Tomasz tak dokładnie i przekonująco opisał trasę ciężarówki, że nasi przełożeni pomyśleli: „Może jednak warto posłać tam kogoś z milicji? Może zjawi się Człowiek z Blizną?”

— Nie zjawił się — burknąłem ponuro. — Teraz już domyślam się wszystkiego. To on był zaplątany w fałszerstwo znaczków pocztowych i powędrował do aresztu. A Bro-

dacz ukradł mapę z jego mieszkania i poszedł z nią do Wacka Krawacika, któremu mama ciągle zarzucała, że tyle pieniędzy od niej bierze, a niczym się nie wykazuje. Więc Wacek postanowił mamie zaimponować zrobieniem „wspaniałego interesu”. Przypuszczam, że zeznania Wacka Krawacika i Brodacza potwierdzą moje domysły. A kiedy pan zauważył, że Krawacik wydobywa skarby z ciężarówki?

— Obserwowałem wszystkich, którzy kręcili się w tej części jeziora. A więc i jego. Po to miałem tę wspaniałą lunetę. A jednocześnie sam także nurkowałem, łudząc się, że może uda mi się trafić na ciężarówkę. Ale Wacek i Brodacz urządzili się znakomicie. Zakotwiczyli jacht nad ciężarówką. O świetle zaopatrzonego w akwalung Brodacz zanurzał się pod wodę, a Krawacik spuszczał z burty koszyczek na linie. Robili to wszystko od strony jeziora, tak że nikt z naszego brzegu nie mógł zauważyć ich manipulacji. Zresztą, trzeba im przyznać, wykazali ogromną ostrożność. Wydobywali skarby wczesnym rankiem, i to nie dłużej niż pół godziny dziennie, kiedy pan Anatol i Kazio jeszcze smacznie spali w swoich namiotach. Dopiero dziś rano rozpocząłem obserwacje z drugiego brzegu, i to o brzasku. Dostrzegłem Brodacza zanurzającego się pod wodę, widziałem, jak Wacek wyciągnął z wody koszyczek i jego zawartość niósł pod pokład. Wróciłem tutaj po swój sprzęt, popłynąłem pod jacht i znalazłem ciężarówkę. Ale gdy wracałem pod wodą, Krawacik złapał mnie na swój spinning. Nabrali więc podejrzeń, że ktoś ich śledzi, i na wszelki wypadek zdecydowali się zwinąć interes. A ja przyniosłem tu kolie, wskoczyłem do swojej łódeczki i z poczty w Jerzwałdzie zadzwoniłem do kolegów w Łławie. Krawacik daleko nie popłynął swoim jachtem.

— A ta świstawka? Po co mi ją pan dał?

Roześmiał się.

— Kapitan Jóźwiak powiedział mi, że ma pan detektywistyczną żyłkę. Wydawało się prawdopodobne, że uda się panu trafić na ślad przestępcy, co mogło pana narazić na niebezpieczeństwo. A ponieważ i pan, i ja mieliśmy przebywać w tym samym miejscu, wpadłem na pomysł, aby ofiarować panu fujarkę.

— I przydała się — powiedziałem. — Tylko że, niestety, nie okazałem takiego sprytu, o jaki mnie pan posądzał.

— Przecież najważniejszą sprawą było odnalezienie skarbów — powiedział i spojrzął na zegarek. — Będę się musiał spakować i wrócić do Łławy. Moi koledzy już zapewne zrewidowali jacht. A panu — zwrócił się do mnie — radzę pojechać do Warszawy. Trzeba zawiadomić Ministerstwo Kultury i Sztuki, zorganizować ekipę płetwonurków. Może w tej ciężarówce są jeszcze jakieś rzeczy, które ocalały przed niszczącym działaniem wody...

Bardzo zadowolony z siebie zaczął z szalasu wyciągać swoje rzeczy. Książkę o ptakach wręczył Marcie.

— Na pamiątkę — wyjaśnił. — Szkoda, że nie mam czasu, aby na ostatniej stronie napisać kilka słów o kiwiku. Ale przecież pani zna lepiej ode mnie obyczaję tego śmiesznego ptaka.

Marta stwierdziła z dumą:

— Tylko ja byłem pewna, że pan jest Fałszywym Ornitologiem.

Potem żartowali jeszcze. Mówiła coś Bronka, Tell, Czarny Franek, ale ich słowa coraz słabiej docierały do mojej świadomości. Dojrzewała we mnie myśl, z początku nieśmiała, a później coraz silniejsza. Serce zaczęło mi łomotać w piersiach, jakbym za

chwilę miał otworzyć jakieś drzwi, za którymi kryje się wielka tajemnica. Naszło mnie olśnienie — nagle, niespodziewane.

— A jeśli nie?... — zapytałem półgłosem. — A jeśli nie?

— Co: nie? — zainteresował się milicjant.

— A jeśli to nie pan, lecz właśnie ja zdobędę skarby?

Spojrzał na mnie jak na szalonego. Ujrzałem także zdumienie w oczach swoich młodych przyjaciół.

Zerwałem się z trawy, chwyciłem milicjanta za ramię.

— Idziemy. I to szybko! Musimy odzyskać skarb — mówiłem gorączkowo. — Biegnijmy nad jezioro, bo za chwilę może być na późno. Drugi wariant — zaśmiałem się do siebie.

— Jaki wariat? — zaniepokoił się milicjant. — Czy pan na pewno dobrze się czuje?

— Nie wariat, lecz wariant. Drugi wariant! — krzyknąłem. — Czy pan nie pojmuje, że na jachcie nic nie znajdziecie? Jestem pewien, że przerażeni widokiem płetwonurka zastosowali drugi wariant ucieczki. Nie ma skarbów na jachcie. Szybciej! Za mną! — zawołałem i pobiegłem w kierunku przesmyku.

Po twarzy były mnie gałązki krzaków i młodych drzew. Raz po raz potykałem się o korzenie i zapadałem w jakieś wykroty. Ale nie czułem zadrapań. Nawet nie wiedziałem, czy moi przyjaciele biegają za mną. I dopiero na zarośniętej trawą drodze, która szła do dawnej przeprawy promem, zatrzymałem się na chwilę, uświadomiwszy sobie, że bez milicjanta niewiele zdziałam w obozie pana Anatola.

A Ornitolog — bo tak go będę nadal nazywał — i moi młodzi przyjaciele jeszcze w dalszym ciągu nie pojowali, dlaczego biegnę nad przesmyk. Pędzili jednak za mną, ponieważ w moim głosie było coś takiego, co zmusiło ich do biegu.

Niemal równocześnie wypadliśmy z lasu między samochody pana Anatola i pana Kazia.

Jednym rzutem oka objąłem ich obozowisko. Namioty już były zwinięte. Małżonki rycerzy spinningu układały paczki w bagażniku, a obydwaj panowie przymocowywali paskami swoją łódkę na przyczepie.

Musiałem wyglądać strasznie, bo Myszka pana Anatola aż pisnęła na mój widok.

— Co się stało? Czego pan chce? — zapytał groźnie pan Anatol.

Tylko pan Kazio ucieszył się zobaczywszy Martę.

— Czy wie pani, ile złapałem leszczy? Co najmniej cztery kilogramy.

— Cicho, Kaziu! — huknął na niego Anatol. — Niech ci się nie wydaje, że jesteś wędkarzem.

— Panowie już odjeżdżają? — zapytałem ochryple.

— Tak — pośpieszył się z odpowiedzią pan Kazio. — Bo Anatol mówi, że tu ryby nie biorą. Jedziemy nad Jezioro Nidzkie.

— Za dużo gadasz, Kaziu — burknął Anatol. — Tego pana nie powinno obchodzić, dokąd jedziemy.

Pokiwałem głową.

— Interesuje mnie tylko, w jakim miejscu umówili się panowie z Wackiem Krawackiem.

Nastała cisza. Mars na czole pana Anatola pogłębił się.

Pan Kazio spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

— Nie umówiliśmy się — rzekł nieśmiało.

Pan Anatol wziął się pod boki i wysunawszy ku przodowi prawą nogę, stanął na przeciw mnie jak wódz, który już wysłał swe wojska na bitwę.

— Cicho, Kaziu! — sarknął na przyjaciela. — Nie wtrącaj się. To moja sprawa. Tylko moja — podkreślił. — Mogę się umawiać, z kim chcę i gdzie chcę, a pana to nic nie powinno obchodzić.

Wskazałem ręką leżące na trawie toboły i worki z pościelą.

— Który z tych tłumoków należy do Krawacika?

Dopiero teraz moi przyjaciele pojęli, co oznacza drugi wariant. Z gromadki młodych ludzi wysunął się Ornitolog. Wyjął z kieszeni swoją legitymację służbową. Pan Kazio spytał przyjaciela:

— Ty naprawdę umówiłeś się z Krawacikiem?

— To żaden Krawacik — obruszył się pan Anatol. — To książę spinningu, ty rybacka ciuro. A pani — zwrócił się do Marty - jest fałszywą królową. To niemożliwe, żeby taka młoda dziewczyna potrafiła schwytać na wędkę trzydziestoosmiokilogramowego suma.

— Czy zna pan przepisy prawne? — spytał Ornitolog, podsuwając mu pod nos milicyjną legitymację.

— Szanuję przepisy i prawo — wyprostował się dumnie pan Anatol.

— Czy pan wie, jaka kara czeka tego, kto pomaga w ukryciu przestępstwa? Czy pan wie, co kryją tłumoki, które pozostawił panu Wacek Krawacik?

— Nie... — przeraził się pan Anatol. — On też chce łowić ryby nad Jeziorem Nidzким. Ale jachtem trudno się tam dostać. Więc postanowił pozostawić jacht w ławie i dojechać nad Nidzkie autobusem. Zabraliśmy mu dwa tłumoki z rzeczami, żeby ich nie musiał dźwigać.

— On ma samochód w Siemianach — wtrąciłem.

— Tak? — zdziwił się Anatol. I zaczęło w nim kiełkować podejrzenie.

— Które to tłumoki? Proszę je rozpakować — krótko, ale stanowczo zarządził Ornitolog.

Pan Anatol wskazał wewnątrz łódki na przyczepie.

— Tam są — rzekł pokornie. — Dwie duże i ciężkie paczki.

Po chwili leżały już na trawie przed nami. Ale mimo podejrzeń pan Anatol wciąż miał wątpliwości.

— Przecież pan Wacek nie jest żadnym przestępcą — pomrukiwał.

Przestał mruzczyć i protestować, gdy rozwiązaliśmy sznurki i z grubych koców, które zdawały się kryć pościel i materace gumowe, wysypały się przepiękne kolie bursztynowe, naszyjniki, bransolety, kilkanaście przedmiotów zrobionych ze złota. W drugim kocu znajdowała się stara złota zastawa, którą przed wojną szczyciło się muzeum w E.

— Skąd... on to wszystko... wyłowił? — wyjąkał pan Anatol.

— Z jeziora — odrzekłem.

— Na spinning? — zapytał naiwnie pan Anatol.

Zapamiętałem ogromny wybuch śmiechu, jakim powitaliśmy te słowa rycerza spinningu.